

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MARZEC 2015/2

www.magazynhisteria.pl

NA TROPIE CTHULHU

M. Kołyszko

GOŚĆ SPECJALNY:

WOCIECH
GUNA

PROJEKCJE

S. Grabiński

ROCZNICOWY NUMER

DOM PSÓW | FOBIA | GWIAZDACZ
LUGAL | NAPRAWIACZ LALEK
POKÓJ ANNY | SPIRALA | SPOTKANIE
ŚMIERTNY DĄB | WYRYTE W KOŚCI

SPIIS TREŚCI:

| | | |
|----------------------|--------------------------------------|-----|
| Słowo od redakcji | | 3 |
| Wyznania Histeryczki | | 4 |
| DOM PSÓW | Agnieszka Kwiatkowska | 5 |
| FOBIA | Dagmara Adwentowska, Łukasz Kiełbasa | 13 |
| GWIAZDACZ | Krystian Janik | 30 |
| LUGAL | Dominik Derkacz | 41 |
| NAPRAWIACZ LALEK | Przemysław Karbowski | 51 |
| POKÓJ ANNY | Wojciech Gunia | 56 |
| SPIRALA | Piotr Borowiec | 72 |
| SPOTKANIE | Antoni Nowakowski | 88 |
| ŚMIERTNY DĄB | Dariusz Kick | 99 |
| WYRYTE W KOŚCI | Olga Rot | 113 |
| PROJEKCJE | Stefan Grabiński | 132 |
| Na tropie Cthulhu | Mikołaj Kołyszko | 145 |

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Projekt okładki i skład: Roman Panasiuk

Ilustracje: Dawid Boldys, Paweł Chmielnicki, Marcin Czarnecki, Asia Jedlińska, Stanislav Lament, Roman Panasiuk

Korekta: Dagmara Adwentowska

email: magazynhisteria@gmail.com

Witajcie!

Dwanaście miesięcy temu ukazała się pierwsza Histeria. Od tego czasu wiele się zmieniło. Wydaliśmy sześć numerów, mieliśmy gości specjalnych, zorganizowaliśmy kilka konkursów literackich, nawiązaliśmy współpracę z różnymi partnerami.

Choć nie jest to rozdanie Oscarów, czujemy się w obowiązku podziękować. Komu? Przede wszystkim Wam, czytelnicy, bez których ten projekt straciłby sens. Następnie - Autorom, bez których nie byłoby naszego magazynu. Mówimy tu zarówno o pisarzach, tworzących zapadające w pamięć historie, ilustratorach, którzy okraszają je niezwykle niepokojącymi grafikami, gościach specjalnych, i o wszystkich członkach redakcji. Dziękujemy!

Jubileuszowa Histeria zawiera dziesięć opowiadań (nie)zwykłych śmiertelników. Większość z nich pojawia się na naszych łamach po raz kolejny. M.in. Agnieszka Kwiatkowska, dwukrotna laureatka naszych konkursów literackich, a także druga w historii Histeryczka Miesiąca. W rocznicowym numerze znalazło się również miejsce dla Przemysława Karbowskiego, znanego Wam z opowiadań „Pamiętka z tuberkulozy”, czy „Oratorium” oraz Piotra Borowca, który niedawno wydał zbiór opowiadań „Wszystkie białe damy”.

Na kolejnych stronach znajdziecie również najlepsze trzy opowiadania z konkursu Love Cthulhu, zorganizowanego ku czci H.P. Lovecrafta.

Gościem specjalnym siódmej Histerii jest Wojciech Gunia. Jego niepublikowany dotąd tekst pt: „Pokój Anny” zachwyił nas już po przeczytaniu pierwszych trzech zdań.

Na koniec dwie wisienki na urodzinowym, histerycznym torcie. „Projekcje” Stefana Grabińskiego to utwór, który udowadnia, że polski Poe jest mistrzem nie tylko horroru kolejowego.

Drugą wisienką jest artykuł Na tropie „Cthulhu”. Jego autor Mikołaj Kołyszko przybliżył nam genezę najpopularniejszego Przedwiecznego z literackiej mitologii H.P. Lovecrafta.

Wszystkiego histerycznego,
B. Jaworski i M. Zawadzki



WYZNANIA HISTERYCZKI



Agnieszka
Kwiatkowska

ur. 1978. Dwukrotna laureatka konkursów literackich magazynu „Histeria”. Publikuje też na Szortalu i na blogu „Okiem na Horror”. Finalistka konkursu na dokończenie powieści Janusza Zajdla „Drugie spojrzenie na planetę Ksi”. Pasjonatka Włoch, języków obcych i dobrej grozy.

Zwycięstwo w dwóch naszych konkursach literackich, teraz tytuł Histeryczki Miesiąca. Jak traktujesz takie wyróżnienia?

To działa niezwykle motywująco! Zwłaszcza że do czasu pierwszego konkursu „Histerii”, w którym wzięłam udział, moje literackie wysiłki były... cóż, porażką. Drugie miejsce w konkursie w 2012 roku, a potem cisza. Przez jakieś 1,5 roku pisałam, wysyłałam teksty – raz załapałam się do grona wyróżnień, a poza tym totalna cisza. Zaczynałam się nawet powoli podłamywać i doszłam do wniosku, że może nie mam tak naprawdę nic do przekazania czytelnikowi? Wtedy już chyba tylko przyjaciele we mnie wierzyli, zwłaszcza ci, którzy redagowali mi teksty i cierpliwie, machając tasaczką, cięli ostro. Gdy zobaczyłam ogłoszenie o konkursie na powstańczą opowieść, stwierdziłam, że w zasadzie pomysł mam, spróbować nie zaszkodzi. A tu niespodzianka, wygrałam konkurs, pierwszy raz w życiu. I od tamtej pory nagle odwróciła się karta. Chyba los odkręcił kurek szczęścia.

Skąd pomysł na „Zegar śmierci”?

Najpierw pojawili się bohaterowie, dwójka antagonistów – otyły alkoholik Burroughs i jego oponent, chłodny i przebiegły Slocum. Każde moje opowiadanie zaczyna się od bohaterów, a dopiero potem układa się fabuła. Ci ludzie mówią do mnie, stopniowo ukazują się we własnym świecie. Ta dwójka zaprowadziła mnie do Whitechapel i opowiedziała swą historię – historię zawiści, rozmyślnej krzywdy, wyrównania rachunków. Bo „Zegar śmierci” nie jest tak naprawdę opowieścią o mordercy i ścigających go policjantach. To historia pewnej krzywdy, która mści się na sprawcy po latach.

Jak wyglądała praca nad tekstem?

W sumie tak, jak przy każdym moim tekście – zaczęłam, gdy cała opowieść była już w głowie. Samo pisanie, łącznie z poprawkami, zajęło mi około... dwóch tygodni? Drugie tyle to było dumanie nad fabułą, dialogami. Pisałam dość wolno, bo w którymś momencie nagle się zastopowałam – to była krótka scena biegu po ulicach miasta. Z jakiegoś powodu strasznie ciężko mi się ją pisało, a nie potrafię przeskoczyć do dalszego fragmentu, zostawiając ten problematyczny na koniec. W życiu codziennym nie jestem pedantką, a podczas pisania niestety tak... Jak utknę na jakimś fragmencie, to choćbym miała się z nim morderać przez miesiąc, nie przeskoczę do kolejnej sceny, póki nie poradzę sobie wreszcie z tą wcześniejszą.

Skąd czerpiesz inspiracje do pisania?

Podobno wielu piszących reaguje pianą, gdy się ich o to pyta. A u mnie inspiracje przychodzą z dwóch źródeł. Po pierwsze, z obrazów, zdjęć, widoków. Bywa, że zobaczę na przykład piękne zdjęcie małego miasteczka w deszczu i od razu przychodzi mi na myśl miasteczko, którego mieszkańcy nigdy nie wychodzą z domów w czasie ulewy. I natychmiast machina idzie w ruch: dlaczego tak się dzieje? I nadchodzi najmiłsza część pracy twórczej, czyli układanie fabuły. Drugi rodzaj inspiracji to sny. Miewam bardzo plastyczne, kolorowe sny i kilka razy zdarzyło mi się śnić scenę, która potem stała się załączkiem tekstu. Raz natomiast wyśniłam sobie całe opowiadanie – z wyjątkiem zakończenia, bo się obudziłam i byłam zła jak osa, że właśnie w takim momencie. Ale to był jedyny przypadek, kiedy przyśniło mi się opowiadanie od początku do końca – pamiętam całą fabułę, kolejność zdarzeń, nawet dialogi. Co więcej, mogę opisać w detalach wygląd człowieka, który gonił głównego bohatera. Nie, tego tekstu jeszcze nie napisałam. Ale napiszę, szkoda by było nie uszanować tak miłego snu, który wykonał za mnie część pracy, czyli stworzył fabułę...

Z czym kojarzy Ci się słowo histeria?

Chyba z tym, co wyrabiam, kiedy zbliża się deadline. Mam fatalny zwyczaj robienia wielu rzeczy na ostatnią chwilę. A zwykle wygląda to tak: ostatni dzień na wysłanie tekstu, super, mam jeszcze kilka godzin na przejrzenie, czy po poprawkach nie zostały się jakieś błędy. No to zrobię sobie kawę, chwilkę z kimś pogadam. Aaa, jak to, dziesiąta wieczór, przecież dopiero co była szósta? No więc szybko do czytania tekstu – i nagle literówka, przecinek, to zdanie źle brzmi... Wtedy to jest dopiero histeria.

rys. Dawid Boldys



DOM PSÓW

Agnieszka Kwiatkowska

Gdy nie mogę zasnąć, wstaję i snuję się po domu, czasem aż do rana. Chodzę po ciemnych, pustych pokojach, wsłuchując się w dźwięki – w nocy dom trzeszczy, skrzypi, zdaje się żyć własnym życiem.

Przez drzwi wejściowe widać pole i księżyc. Ale nigdy nie wychodzę przed dom; legenda o człowieku, który zmarł dawno, dawno temu, a teraz wraca, poruszając się po okolicy niczym zwierzę, z grzbietem wygiętym w pałąk, na czworakach, nadal budzi we mnie

niepokój. Patrzą przez szyby w drzwiach, zupełnie jakbym miała nadzieję go wreszcie zobaczyć, zdaje mi się, że widzę go w każdym poruszeniu się trawy.

A gdy wreszcie ogarnia mnie senność, waham się, nim się odwrócę i wejdę na schody. Bo przez chwilę mam nieodparte wrażenie, że już nie jestem sama. I że gdy się odwrócę, ujrzę coś, czego tak naprawdę nie chciałabym zobaczyć.

Babcia Cécile. To imię w formie pisanej brzmi tak łagodnie, a w wymowie jest jak dwa krótkie smagnięcia. Se-sil. Taka właśnie była babcia. Ta córka hodowcy bydła, wiejska dziewczyna gdzieś z Bretanii, przyjechała do domu dziadka jako dziewiętnastoletnia panna młoda. W prostej sukience, tanim kapeluszu i z dużą walizką. Bez sentymentów opuściła rodzinne strony i bez wstydu weszła do domu zamożnego męża, którego poślubiła z rozsądku i przy którym została na zawsze.

A po ślubie poszła do krawca i zamówiła sobie całą garderobę – suknie, kostiumy. Nabyła masę butów, wybrała piękne futro. I z chłodną dumą, ubrana jak z żurnala, w eleganckim kapeluszu, wyszła samotnie na pierwszy spacer po miasteczku. W jednej chwili zostawiła za sobą piętno prostej Bretonki. Pamiętam, gdy będąc dzieckiem, chadzałam z babcią na spacer. Choć z dawnej fortuny pozostało niewiele – dom oraz pewien kapitał – babcia nadal pozostała dawną sobą. Chodziła z niezachwianą pewnością siebie, jakby cała okolica do niej należała. Mężczyźni na jej widok uchylali kapeluszy, a kobiety często zwracały się do niej z prośbą o radę.

Jednej rzeczy babcia nigdy się nie wyzbyła – szorstkości i szczerości, mylonej często z arogancją. Zapytana, zawsze odpowiadała uczciwie i wprost. I mnie również tak odpowiedziała.

– Zgarbiony człowiek? On już od dawna nie żyje – odparła obojętnie, zaciągając się papierosem. I znów zapadła cisza. Babcia nie była rozmowna, ale ja koniecznie chciałam się dowiedzieć więcej.

– Czyli on naprawdę żył? Bo Louis mówił, że to nie legenda.

– Żył, a jakże. Ale wiele lat temu. To był zwykły chłopak, kaleka, choć diabli wiedzą, czy naprawdę taki zwyczajny...

Zamyśliła się. Patrzyła w przestrzeń, jej wzrok błądził gdzieś pomiędzy okapem kuchennym a oknem. Smugi dymu, wydobywające się z jej ust, rozplywały się w półmroku słabo oświetlonej kuchni.

Sięgnęłam po paczkę, wyciągnęłam papierosa. Babcia nie skomentowała, podsunęła mi tylko popielniczkę. Przez chwilę paliliśmy wspólnie – ona z wprawą wieloletniej palaczki, ja raczej na pokaz, z dumą, że mam już szesnaście lat i babcię, która traktuje mnie jak dorosłą.

– Nie pamiętam, jak nazywał się ten chłopak – niespodziewanie odezwała się babcia.
– Widziałam go tylko raz w życiu, w okolicy klifów. Rzecz jasna, krążyły o nim historie. Głównie z gatunku tych, którymi straszy się dzieci, aby były grzeczne i nie wychodziły z domu po zmroku.

Jej wzrok stał się nagle nieobecny.

– Ale coś jest w tych historiach...

Czekałam niecierpliwie. Ciemna, staroświecko urządzona kuchnia potęgowała nastrój.

– Było coś przerażającego w tym chłopcu – powiedziała cicho babcia. – Wskoczył na mnie zza skały, a ja w pierwszej chwili myślałam, że to ogromny pies. Nie wiem, ile mógł mieć wtedy lat. Koło dwudziestu? Nie mam też pojęcia, czemu zamiast chodzić jak normalny człowiek, biegał na czworakach z plecami wygiętymi w pałąk. Mówili, że biega jak pies i z psami, i faktycznie, leciała za nim cała sfera. Ale dla mnie poruszał się bardziej jak małpa.

Wzdrygnęłam się.

– Czemu tak biegał? Był garbaty? Upośledzony?

– Nie mam pojęcia. – Babcia pstryknęła zapalniczką. Czerwona końcówka papierosa rozjarzyła się w półmroku. – Tak naprawdę to nikt do końca nie wiedział, skąd on się wziął ani kim byli jego rodzice. Może po prostu przybłąkał się któregoś dnia i już tu został? A może to dziecko Cyganów? W okolicy bywały tabory, kto wie, chłopiec miał ciemną karnację i czarne włosy...

– Babciu, a on jeszcze żyje? Bo Louis mówił, że czasami kręci się po okolicy – powiedziałam.

– Nie wiem. Chyba nie. – Babcia westchnęła. – Wiesz, jak to jest z małymi miasteczkami. Ludzie często gadają, opowiadają różne historie. Pamiętasz, jak opowiadałam ci o pożarze fabryki?

Przytaknęłam.

– Jakiś czas później ci, którzy mieszkali w pobliżu fabryki, zaczęli twierdzić, że nocami słyszą jęki robotników, którzy spłonęli tam żywcem. Ktoś nawet mówił, że ci spaleni przychodzą nocą pod dom i zawodzą pod oknami. Sama więc widzisz, jak to bywa z opowieściami. Wystarczy wybujała fantazja, cień na ścianie, wiatr wyjący w kominie, i już mamy historię o powracających zmarłych.

Wzdrygnęłam się. Nagle zdało mi się, że w kuchni pociemniało. Zrobiło mi się dziwnie nieprzyjemnie. Wiedziałam, że wiele lat temu fabryka dziadka spłonęła i to był początek problemów finansowych rodziny, ale o tym, że w pożarze zginęli jacyś ludzie, nie miałam pojęcia. Nagle przyłapałam się na tym, że patrzę w okno. Pospiesznie odwróciłam wzrok.

– Nie wierzę w żadne jęczące dusze – dodała babcia. – Wiatr wyjący w zgliszczach, a nie żadni zmarli. Ale z tym chłopcem było coś dziwnego. Zawsze biegał ze sforą. Nie wiadomo, skąd te psy, na pewno nie okoliczne. Te w miasteczku wszystkie zdechły. Tak po prostu.

Zamrugałam.

– Jak to, zdechły?

– Po prostu zaczęły zdychać, jeden za drugim. Jakoś to powiązano z pierwszym pojawieniem się chłopca.

– O Jezu – mruknęłam. Oczami wyobraźni zobaczyłam ulicę miasteczka i trawniki, na których leżą ciała martwych psów. – To straszne! Babciu, ale to niemożliwe! Może ktoś je otruił?

– I przez cały czas by je truił? Tylko psy, a nie koty? – Babcia dołała sobie herbaty. – Zrobiono szereg badań, rzecz jasna, sprawdzano wodę, glebę, podejrzewano też rozmyślnie otrucie. Ale w tym musi być coś więcej. Vianne, ile psów widziałaś tu, w okolicy?

Zastanowiłam się.

– Ja chyba... – urwałam.

– No właśnie. Od kilkudziesięciu lat nie ma tu żadnego psa, nawet domowego. Za każdym razem, gdy ktoś brał psa, nawet zdrowego szczeniaka, ten wkrótce zdychał. I tak już zostało. Nie ma tu psów. Nie ma i nie będzie.

Babcia znów zapaliła, a ja siedziałam nieruchomo i bez słowa. Oczami wyobraźni wciąż widziałam martwe psy, leżące pokotem, w domach, na trawnikach, na drodze. I powykęcaną postać ciemnowłosego chłopca, który biegał wraz ze sforą, a poruszał się jak małpa.

– Mawia się, że psy pojawiają się razem z chłopcem. – Babcia nie zauważyła chyba, jak bardzo wstrząsnęła mną ta historia. – A raczej, że zwiastują jego nadejście. Najpierw pojawia się sfora. A potem podobno powraca i chłopiec. Podobno! – roześmiała się. – I tak powstają legendy!

Tamtej nocy słyszałam wycie. Leżałam w łóżku, w pokoju gościnnym na parterze i nie mogłam zasnąć. Czułam dziwny lęk, a przecież – tłumaczyłam sobie – to tylko historia. Dziwne z tymi zdychającymi psami, ale musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie.

A potem to usłyszałam. Z oddali, jakby niesione wiatrem, dobiegło mnie ciche zawodzenie. Zrazu myślałam, że to wiatr się zrywa. Ale po chwili rozpoznałam w tym dźwięku głos psiej udręki.

I był coraz głośniejszy. Leżałam nieruchomo, a wyobraźnia galopowała – podsuwała mi obraz psa, który z głośnym wyciem drepcze uliczkami, zmierzając prosto do nas, do domu na uboczu. Jest coraz bliżej i bliżej. Lada moment przejdzie przez trawnik i zajrzy prosto w moje okno.

Narzuciłam na głowę kołdrę, skuliłam się. Nie byłam dzieciakiem, miałam szesnaście lat, a w tamtej chwili bałam się tak, jak nigdy w życiu. Pies był już pod domem. Zawodził, to głośniejsze, to ciszej, a jego skowyt wwierał mi się w uszy. A potem coś uderzyło lekko w okno.

Tylko niech nie wybije szyby, prosiłam w myślach. Bo wiedziałam, co to był za dźwięk. Rano obejrzałam uważnie okno – ślady nie pozostawiały wątpliwości. To nie mógł być sen.

Ten pies oparł się łapami o szybę i zaglądał do środka.

Kłopoty ze snem zaczęły się, gdy po śmierci mamy odziedziczyłam dom babci. Pierwszego dnia, gdy już jako pełnoprawna właścicielka odebrałam klucze i przyjechałam z walizkami, skromną częścią mojego dobytku, chodziłam po wszystkich pokojach, w zadumie dotykając mebli, zasłon.

Dom babci Cécile. Mój dom. Smakowałam te dwa ostatnie słowa, ale coś mi w nich zgrzytało. Były puste, nie ma miejsca. Mój dom. Mój. Powtarzałam to sobie uparcie. I czułam się tu coraz bardziej obco.

Se-sil.

Tak. Właśnie tak. Dom Se-sil, której charakter odcisnął na tym domu piętno i wrył się w jego ściany.

A pierwszej nocy, nie mogąc znieść ciszy, od której odwykłam, wstałam i zaczęłam przechadzać się po pokojach. Ciemno, cicho. Dom prawie nie skrzypi. Zawędrowałam do wejścia, stanęłam przed drzwiami. Przez szyby widać było pole, cienki sierp księżyca jaśniał na niebie.

Położyłam dłoń na klamce.

Co to? Coś się poruszyło w trawie? Wytężyłam wzrok. Zdawało mi się, że w wysokiej trawie coś jest – jakieś zwierzę chyba? Położyłam dłoń na klamce, ale nagle coś mnie tknęło. I nie otworzyłam drzwi. Stałam tak i przyglądałam się, jak wysoka trawa porusza się, zupełnie jakby buszowało w niej zwierzę. To *musiało* być zwierzę. Żaden człowiek nie włóczyłby się nocą po polu...

Najpierw pojawia się sfera...

Pierwszy kundelek czekał na mnie koło studni, gdy wyszłam rano nabrać wody. Było bardzo wcześnie, zaledwie po wschodzie słońca. Ale starsi ludzie mają swoje nawyki. Od lat prawie już nie sypiałam.

Nocami chodziłam po domu. Czasami siadywałam w kuchni, robiłam herbaty, zapalałam papierosa. Ale rzadko kiedy zasypiałam. „Bardzo dobrze sypiam”, odpowiadałam za każdym razem, gdy na badaniach kontrolnych lekarz pytał mnie o tryb życia. Kłamałam. Bo nie odczuwałam prawie potrzeby snu. Od... roku, dwóch? A może pięciu? Nie wiem. Rok, dwa, pięć, co to za różnica?

Kundelek patrzył na mnie łagodnie i prosząco. Nie był agresywny. Z trudem schyliłam się, aby go pogłaskać. Zamerdał ogonem, pisnął cicho. Uśmiechałam się do niego łagodnie, a on pozwolił mi się zabrać do domu, nakarmić, nawet wziąć na kolana. Głaskałam zmierzwioną sierść, wsłuchując się w cichy oddech zwierzęcia i uśmiechałam się sama do siebie.

A więc przyjdzie i on. Zgarbiony człowiek, którego nadejście zawsze zwiastują psy. Niech przyjdzie. Ja się go nie boję. Gdy jeszcze sypiałam, przychodził do mnie w snach. Nigdy nie pokazał twarzy – tę zawsze ukrywał pod grzywą czarnych, skołtunionych włosów. Ale odwiedzał mnie w snach, za każdym razem, zupełnie jakby na coś czekał.

A potem pojawia się chłopiec...

Nie nadchodził. Ale czekałam cierpliwie, opiekując się jego przyjaciółmi, a oni przybywali. Sfora gromadziła się, a ja przyjmowałam każdego psa, choć było mi coraz trudniej. Czułam się coraz bardziej osłabiona – nie pomagały witaminy. Każdego dnia wstawałam z trudem, gdy kości protestowały, a oddech niemal zatrzymywał się w płucach. Czasami nawet bolało. Ale co robić, taki wiek.

Psy były wszędzie. Nie wiedziałam, ile ich było, przestałam liczyć koło pięćdziesiątki. Widziałam, jak się tutaj zadomowiły. Dom Se-sil przestał być wreszcie pusty – miałam w końcu wokół siebie gromadę stworzeń, za które byłam odpowiedzialna.

Karmiłam je, kąpałam, brałam na kolana. Zamówiłam też odpowiednią ilość karmy przez Internet. Dostawca patrzył dziwnie, gdy wnosił kupione przeze mnie worki do domu. No i co z tego? Nie mogłam wyrzucić tych psów, żadnego z nich, one zwiastowały nadejście zgarbionego chłopca.

Troszczyłam się o nie, a one o mnie.

Tak jak wtedy, gdy w nocy dopadła mnie gorączka. Byłam już wtedy bardzo zmęczona. Ale sfora nie zostawiła mnie samej. Skrzyknęły drzwi – kundelek, którego znalazłam jako pierwszego, podszedł do łóżka, wspiął się na nie, polizał moją dłoń, a potem przytulił mi się do boku. Za nim nadeszły inne. Te mniejsze i większe. Otoczyły mnie, tuląc się i grzejąc mnie swym ciepłem, dotykały wilgotnymi nosami rozpalonej skóry. A ja wiedziałam, że chcą mi coś przekazać.

Poczekaj jeszcze. Wytrzymaj. On już nadchodzi. Jest niedaleko.

– Ja pierdolę! – wybuchnął aspirant Daquin, gdy wreszcie wyszedł z domu zmarłej i mógł wziąć głęboki oddech. Chryste, w życiu czegoś takiego nie widział. I co za smród! Zapalił papierosa i zauważył, że dłonie mu się trzęsą.

Gdy dołączył do niego lekarz, Daquin był już niemal spokojny. Niemal.

– Nic nie wskazuje na przestępstwo – powiedział tubalnym głosem. – Co najwyżej na straszne zaniedbanie. Czy ta staruszka miała jakąś rodzinę? Ktoś się nią opiekował?

Daquin potrząsnął głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Mieszkała samotnie, rzadko kiedy wychodziła z domu. Taka miejscowa dziwaczka.

Zamrugnął.

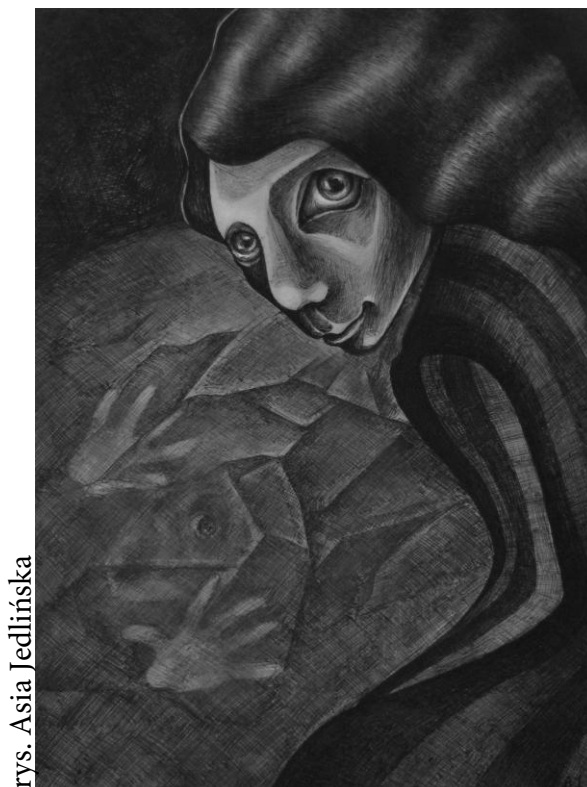
– Czy ona...? – Potarł brodę, starając się odepchnąć od siebie obraz, który, jak podejrzewał, wrył mu się w pamięć już na zawsze. – Czy one ją... No wiesz. Po śmierci czy przed?

– Przed sekcją nic nie powiem na pewno – odparł szorstko lekarz. – A przynajmniej nic, co mógłbyś umieścić w raporcie. – Spojrzał na twarz Daquina, westchnął i dodał: – Nieoficjalnie mówię, że już po śmierci. Leżała w łóżku, na plecach, nie ma śladów, aby się próbowała bronić czy uciekać. A żaden człowiek nie będzie leżał spokojnie, gdy pies wyżera mu żołądek.

Daquin zamknął oczy. Ale wciąż widział ten obraz – jak idzie na górę, stąpając między dziesiątkami zdechłych psów, starając się nie wymiotować z obrzydzenia. Leżąca w łóżku staruszka wyglądała, jakby spała. Miała taką miłą, łagodną twarz, która kontrastowała z obgryzionymi do kości kończynami i wygryzioną jamą brzuszną. Pieprzone psy. Pieprzeni ludzie. Dlaczego nikt wcześniej nie zorientował się, że tej kobiecie może trzeba jakoś pomóc?

Przypominała mu babcię. Podobne rysy twarzy. Cholera. Cholera! Daquin poczuł, że coś szczypie go pod powiekami. Przetarł oczy i aby się uspokoić, spojrzął na rozciągające się przed nim pole.

W wysokiej trawie buszowało jakieś zwierzę.



rys. Asia Jedlińska

FOBIA

Dagmara Adwentowska i Łukasz Kiełbasa

**Opowiadanie i ilustracja pochodzą ze zbioru*

Horror na Roztoczu 2: Insomnia

W nocy przyszła odwilż. Łaty brudnego śniegu topniały na ulicach Tomaszowa Lubelskiego i na rozmięklej ziemi cmentarza, szare i zmięte jak wiekowe całuny. Z nieba sączyła się drobna mżawka, bębniła na powierzchni granitowych nagrobków, perliła na gałązkach iglaków, którymi obsadzono niektóre mogiły. Zaczynała się wiosna, ale nie zaśpiewał żaden ptak. Wszystko wokół przesiąknięte było wilgocią i otumaniona lekami uspokajającymi Agnieszka pomyślała, że cały świat rozpacza nad jej dzieckiem. Płakało niebo i ziemia, łkali zgromadzeni wokół grobu żałobnicy. Nawet w oczodołach zatroskanego anioła w wykuszu zabytkowej bramy cmentarnej zebrała się wilgoć. Młody ksiądz – nastroszony jak gawron na deszczu – drżącymi dłońmi przyciskał Biblię do

przemoczonej sutanny, łamiącym się głosem odmówił modlitwę i próbował wyjaśnić płaczącemu niebu, ziemi i ludziom to, czego wyjaśnić się nie da.

Dlaczego Bóg zechciał zebrać do siebie dziecko? Dlaczego musiał zabić właśnie moje dziecko?

– Działanie Pana w takich wypadkach jest nieodkrytą tajemnicą. Wszyscy zadajemy sobie pytanie, co miał On na celu, zabierając tak wspaniałego chłopca. Syna i brata. Dlaczego zdecydował, aby pozostawić najbliższych pograżonych w żałobie w dniu urodzin Sebastiana i jego brata.

Agnieszka ścisnęła mocniej dłoń drugiego ze swoich synów. Chciała się schylić, objąć go, pocałować, ale bała się, że widok twarzy Kamila znowu doprowadzi ją do hysterii. Że w rysach żywego dziecka zobaczy tylko idealne odwzorowanie tego, które straciła i musiała oddać ziemi. Kamil i Sebastian byli identyczni. Kiedyś uważała, że to zabawne. Teraz, gdy jednego z nich zabrakło, widok tych rysów, koloru ciemnych włosów i brązowych oczu, które współdzielili, był dla niej nieskończenie bolesny. Dlatego tylko ścisnęła małą rączkę Kamila i miała nadzieję, że to wystarczy. Przemek, trzymający drugą dłoń chłopca, płakał. Łkał bezgłośnie i bez łez, jakby mu ich zabrakło, jakby krztusił się rozpaczą. Młody ksiądz nadal próbował wyjaśniać niewyjaśnione i nadać sens bezsensownemu.

– Nasze serca może jeszcze nie rozumieją działania Najwyższego, jednak On miał w tym jakiś cel. Na pewno rodzice zrobiliby wszystko, by utwardzić lód na rzece, który okazał się tego dnia wyjątkowo kruchy. Jednak Bóg chciał inaczej. Wierzymy mimo to, że teraz ma przy swoim boku Sebastiana i przytula go do serca. Wierzymy także, że Sebastian patrzy z góry na swojego brata i już zawsze będzie go wspierał siłą nadzwyczajną. Amen.

To nic nie tłumaczy, pomyślała Agnieszka. To nie daje żadnego pocieszenia. Chcę mojego chłopczyka. Chcę Sebastiana z powrotem.

Tym razem to Kamil ścisnął jej dłoń. Nachyliła się sztywno i go objęła. Przemek ukląkł z drugiej strony, otoczył ich oboje ramionami i wybuchnął wreszcie nieutulonym płaczem. Agnieszka zmusiła się, by spojrzeć w twarz syna. Twarz Kamila. Twarz Sebastiana. Na białych policzkach chłopca wykwitły krwiste rumieńce, jak przy gorączce. Zdziwiło ją, że choć zdawał się wyciszony i smutny, w jego oczach nie było widać łez. Uznała, że pięcioletek jest za mały, by zrozumieć, że śmierć jest na zawsze. Że jego brat nie poszedł do szpitala, że nie wróci za tydzień, by pograć z nim w pchełki i zbudować kryjówkę z poduszek i koców. Że umarł, że jego ciało rozpadnie się w proch w tej niedużej trumnie z bukowego drewna.

Na wieku tej trumny – małej, za małej, trumny powinny być większe, ludzie powinni umierać dopiero wtedy, gdy dorosną i urosną – ksiądz właśnie położył niewielki, drewniany krucyfiks z mosiężną figurką Jezusa. Agnieszka nie mogła sobie przypomnieć, by uzgadniali ten

element ceremonii. Może i tak, ale o tym zapomniała, a może to była prywatna inicjatywa księdza, poruszonego przedwczesną śmiercią Sebastiana. Otepiały umysł kobiety czepił się tego drobiazgu jak tonący podanej dłoni. To pozwalało jej nie myśleć o nieuniknionym. Że zaraz, właściwie już teraz grabarze ujęli liny, na których opuszczą trumnę w dół – zakopią Sebastiana w zimnej, rozmięklej od odwilży ziemi.

– Tato – usłyszała szept Kamila – czy w niebie są transformersy?

Stała jak skamieniała, nie mogąc nawet drgnąć. Nie odpowiedziała, i Przemek też nie odpowiedział. Kiedy nad głowami żałobników popłynęły pierwsze dźwięki marszu pogrzebowego, granego przez wynajętego saksofonistę w profesjonalnej czerni, przemknęło jej przez głowę, że trzeba było wybrać inny utwór niż tę dętą i oklepaną ramotę Chopina.

Przynajmniej gra czysto, pomyślała Agnieszka i znów się rozplakała. A po chwili, wbrew sobie, dała się otulić łagodnymi dźwiękami saksofonu. To mimo wszystko był piękny utwór, oddawał cały ten żal i tęsknotę, którą trudno było wyrazić słowami.

Nagle zawiął wiatr. Sieknął w twarz Agnieszki zimnymi igielkami mżawki. Porwał dostojny marsz na kawałki i cisnął w uszy zgromadzonych zniekształcone dźwięki, kakofonię zgrzytającą fałszem, obcą, niepokojącą i budzącą przerażenie. Saksofonista próbował obrócić się plecami do wiatru, ale nic to nie dało. Wichura grała własnego marsza – wynaturzonego, karykaturalnego i strasznego – i muzyk wreszcie się poddał. Z przepaszającym wyrazem twarzy opuścił instrument.

Jeden z grabarzy także przegrał z wiatrem. Silny podmuch wytrącił go z równowagi. Mężczyzna poślizgnął się na rozmiękniętej ziemi, lina uciekła mu z dłoni. Trumna przekrzywiła się gwałtownie. Uderzyła o brzeg wykopu i pewnie spadłaby na dno grobu, gdyby grabarz nie pochwycił na powrót sznura. Nad głowami żałobników stojących najbliżej mogiły poniosł się przerażony szept, cichy, ale w uszach Agnieszki dźwięczący donioślej niż kolejne porywy wichury.

Krucyfiks położony przez księdza na trumnie zsunął się i zatrzymał dopiero na zdobionej krawędzi wieka, obrócony w dół. Grabarze patrzyli pytająco na Agnieszkę i Przemka, gotowi podnieść trumnę na powrót w świat żywych, by poprawić przekrzywiony krzyż. Agnieszka spojrzała mężowi w oczy i przeniosła przestraszony wzrok na księdza. Duchowny mrugał skonsternowany, jakby w nadziei, że to, co widzi, ulegnie zmianie przepłoszone ruchem powiek. Wreszcie przycisnął Biblię do piersi.

– Pomódlmy się jeszcze gorliwiej za duszę zmarłego Sebastiana – rzekł nieoczekiwanie mocnym głosem. Agnieszka prawie uwierzyła w moc jego wiary. Prawie. Stała dość blisko, by zauważyć, że ksiądz do końca ceremonii z obawą zezował na przekrzywiony krzyż.

Krzyż pokrywała gruba jak zimowe futro warstwa kurzu. Nic dziwnego – przybito go tak wysoko, że szkolna sprzątaczką musiałaby przytargać drabinę, by go oczyścić. Obok za tłustą od brudu szybką rozpościerał skrzydła koronowany Orzeł Biały, a pod spodem papież uśmiechał się łagodnie i wyrozumiale na zdecydowanie najczystszym i najmniej wyblakłym portrecie. Agnieszka prześlizgnęła się po nich zniesmaczonym wzrokiem i wbiła spojrzenie w zaciek, usytuowany na ścianie dokładnie nad głową dyrektora Julii Kosteckiej. Kształt plamy wydawał się znajomy, budził w niej wspomnienia, ale nie mogła sobie przypomnieć, skąd go kojarzy. Potarła skroń koniuszkami palców. Była zmęczona. Julią Kostecką, jej telefonami i wezwaniami na dyrektorski dywanik. Kamilem, który był tych telefonów i wezwań przyczyną. Przemkiem, który za często załamywał nad synem ręce, a za rzadko działał. Życiem, nad którym traciła kontrolę. Sobą. Bezradną, bezwolną i bezzadną sobą. I światem bez Sebastiana.

Usiadła pewniej na rozchybotanym krześle. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca i zmusiła się, by spojrzeć w oczy dyrektorki. Skoncentrowała się na wywodzie Kosteckiej, trwającym już od dłuższego czasu. W końcu chodziło o jej dziecko. Przemek siedzący obok wszedł w tryb machinalnego potakiwania, choć widać było, że kolejne szkolne problemy syna wprawiają go w konsternację.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że państwa syn niedawno stracił brata bliźniaka – tłumaczyła magister Kostecka takim tonem, jakby przepraszała, że musi. Zaraz jednak głos i spojrzenie jej stwardniały i Agnieszka zrozumiała, że to tylko wyćwiczona latami pracy poza. – Mimo to jego zachowanie jest niedopuszczalne. Nie wspomnę o wcześniejszych epizodach z innymi dziećmi, ale dzisiaj przeszedł samego siebie.

Zawiesiła znacząco głos. Przemek dał się złapać na ten stary teatralny chwyt i z wrażenia aż przestał kiwać głową. Agnieszka poczuła się zmęczona, tym razem sytuacją, tym przedstawieniem, które musiała grać. Trzeba to przejść jak najszybciej, zabrać Kamila i wrócić do domu, pomyślała, ujmując dłoń męża wspierającym gestem.

– Co takiego zrobił mój syn? – przerwała ciszę.

– Zaatakował nauczyciela od WF-u – westchnęła Kostecka i w pełnej konsternacji ciszy, jaka zapanowała w gabinecie, opadła ciężko w głąbiny fotela. – Co prawda zdrowiu pana Jaworskiego nic nie zagraża, ale blizna po tym ataku kluczami pozostanie do końca życia. Państwa syn o mały włos nie wydlubał mu oczu. Pan Jaworski poinformował mnie, że oczywiście nie zamierza wyciągać żadnych konsekwencji, ze względu na sytuację rodzinną Kamila. Jednak jesteśmy zmuszeni poprosić państwa o jak najszybszą wizytę u psychologa. Nasz szkolny pedagog już wypisał odpowiednie dokumenty.

Agnieszka zwiesiła głowę jak skarcony uczeń, całkiem jakby to ona zrobiła coś złego. Podniosła spojrzenie dopiero gdy Przemek dotknął jej dłoni. W jego oczach znalazła wsparcie i siłę, której potrzebowała.

– Zauważyliśmy także, że chłopiec ostatnio jest... pojawia się w szkole zaniedbany. Nieuczestny, czasem niedomyty – kontynuowała tymczasem dyrektorka. – Czy w domu państwo także mają z nim problemy?

Ton głosu Kosteckiej był delikatny i pełen współczucia. Jakby faktycznie jej zależało i przejmowała się Kamilem nie tylko zawodowo, jako problemem dezorganizującym pracę szkoły, ale tak zwyczajnie, po ludzku troszczyła się o cierpiące dziecko. Agnieszka w jednej chwili zrezygnowała z karmienia dyrektorki kłamstwami i półprawdami. Nie, powinna wiedzieć wszystko, mieć pełny obraz. Może razem pomogą Kamilowi.

– Tydzień temu – odezwała się niepewnie Agnieszka – przed wyjściem kazałam mu umyć twarz po śniadaniu. Wskoczył na klatkę z butami i tornistrem w ręku, tak się spieszył. Krzyknął tylko, że robi to w szkole.

– On się nie czesze, bo twierdzi, że nie ma potrzeby – dodał Przemek. – Ale gdy chciałem ostrzyć go maszynką na krótko, żeby faktycznie nie musiał, to uciekł z łazienki.

– Unika w ogóle łazienki – przyznała wreszcie Agnieszka. – Dużego pokoju i wnęki z wieszakami w przedpokoju również, swoją kurtkę trzyma u siebie. Ale przede wszystkim nie chce wejść do łazienki.

Dyrektorka pokiwała głową.

– Zdaje się, że tu właśnie leży problem, proszę pani. Z doniesień nauczycieli wynika, że Kamil odmawia wejścia do łazienki... czasami też kłamie, że wykona polecenie. Od tego też zaczęła się przykra sytuacja z wuefistą. Pan trener Jaworski może zbyt ostro nakazał Kamilowi udanie się pod prysznic, chłopiec zaś zareagował... jak zareagował.

– Również zbyt ostro – ucięła temat Agnieszka. – I porozmawiamy o tym z synem.

– Proszę też, aby przed spotkaniem z psychologiem zastanowili się państwo, czy coś łączy te miejsca i czynności, których Kamil zdaje się unikać – wtrąciła jeszcze szybko Kostecka. – Nie chcę niczego, broń Boże, sugerować, ale może w tych pomieszczeniach bawił się z Sebastianem, łączą się w jego wspomnieniach ze zmarłym braciszkiem? W końcu nie minęło tak dużo czasu od... tragedii. Kamil mógł się nie pogodzić ze stratą. To oczywiście tylko moje domysły, jeden z powodów, dla których państwa syn zachowuje się w sposób odstający od normy.

– Przemyślimy to – obiecała Agnieszka. – Dziękujemy pani za troskę i spostrzeżenia.

Uścisnęli ozdobioną zbyt dużym, złotym pierścieniem dłoń dyrektorki. Magister Kostecka odprowadzając ich do wyjścia, zmieniała gładko temat i zaczęła paplać o zbliżającej się uroczystości na cześć patrona, wielce ważnej w życiu szkoły. Agnieszka już nie słuchała, zatopiona we własnych

myślach. Nie umknęło jednak jej uwadze, że gdy wyszli, dyrektorka nie mogła się powstrzymać przed rzuceniem srogiego spojrzenia siedzącemu na ławce naprzeciwko gabinetu Kamilowi. Agnieszce zimny dreszcz przebiegł po plecach.

Jej syn skurczył w sobie, skulił i uciekł wzrokiem, wbijając oczy w pokrytą linoleum podłogę.

Siedział skurczony, z głową schowaną w ramionach i spuszczonego wzrokiem. Nie widziała jego oczu. Nie miała nawet pewności, czy do Kamila dotarło, o czym z Przemkiem mówili od pół godziny.

Gdy wrócili do domu po spotkaniu z Kostecką, próbowali rozmawiać z synem o tym, co wydarzyło się w szkole. Bezskutecznie. Potem zmęczeni pozwolili synkowi obejrzeć bajkę, a sami zasiedli za kuchennym stołem. Zaparzona kawa stygła powoli w kubkach, a Agnieszka i jej mąż analizowali uporczywie, co łączy pomieszczenia, które wzbudzają niepokój i strach dziecka.

– Często przebywali w nich razem, bawili się. Ta nauczycielka ma rację. Przypominają Kamilowi brata – zawyrokował Przemek, ale Agnieszka pokręciła głową.

– Dlaczego zatem nie boi się swojego własnego pokoju? Przecież przedtem... był ich wspólnym. Tam spędzali najwięcej czasu, pełno tam jeszcze zabawek, które dzielili, a jednak śpi w nim bez obaw. Poza tym szalał też w łazience przy szkolnej sali gimnastycznej. A do szkoły... już nie poszli razem. Sebastiana nigdy tam nie było. To musi być coś innego. Może nawet niezwiązanego z Sebastianem? – zasugerowała, ale Przemek zaprzeczył. Nie. To musiało mieć coś wspólnego z ich zmarłym, małym chłopcem.

Na palcach, żeby nie zwrócić uwagi wpatrzonego w przygody Spidermana Kamila, przeszli do przedpokoju. Przemek sięgnął do włącznika. Żarówka zamigotała, wnet w przedpokoju zalało światło. Agnieszka i Przemek spojrzeli w oczy najpierw sobie, a potem swoim sobowtórom, odbiciom uwięzionym w drewnianej ramie lustra.

– Lustra – powiedziała Agnieszka. – W naszym przedpokoju, łazience, w szkolnej szatni pewnie też – wszędzie są lustra. Kamil musi się bać własnego odbicia.

Poczuła jakiś dziwny triumf, satysfakcję, że potrafiła odkryć, co jest powodem dziwnego zachowania, gdy dla nauczycielek po studiach pedagogicznych było to tajemnicą.

– Sprawdźmy to – szepnął Przemek.

Mruknęła cicho na zgodę, pocierając jednocześnie palcem czoło. Nagle rozboleła ją głowa, jakby coś ścisnęło skronie w imadle. Przeszła do dużego pokoju i przykucnęła obok syna. Przemek stanął za nią.

– Co oglądasz, kochanie? – zagadnęła.

– Spidermana – odparł Kamil. Nadal siedział w kucki, nie odrywając wzroku od ekranu.

– On jest chyba bardzo odważny?

– Tak. – Chłopiec ożywił się lekko. – Bo jest bohaterem i ratuje ludzi.

– Musi się codziennie czesać i kąpać – włączył się Przemek. – O, patrz, zdjęcia mu robią.

Jakby to wyglądało, jakby na zdjęciu w gazecie był brudny i potargany? Nikt by nie chciał takiego bohatera.

– Tato... – Kamil odwrócił się od kreskówki i spojrzał ojcu w oczy. – On nosi kostium i maskę na głowie. A poza tym jest nieprawdziwy.

– Ale mój mały Spiderman musi się myć i czesać – nie dawał za wygraną Przemek. – Chodź, bohaterze, czas do wanny.

Położył dłoń na ramieniu syna, ale Kamil ją zrzucił.

– Jeszcze oglądam.

– Powiedziałem: marsz do łazienki! – Przemek uniósł głos.

– Tato, jeszcze chwilkę! – Broda Kamila zaczęła drżeć.

– Synku – spytała łagodnie Agnieszka – czy ty się boisz łazienki? Jesteś duży, wiesz, że nie ma żadnych potworów.

Na ekranie Spiderman właśnie załatwiał potwora. W tle budynki waliły się w gruzy.

– Nie. – Kamil pokręcił głową. – Nie boję się. Chcę tylko pooglądać bajkę.

– Dobrze, misiu. Jeszcze chwilkę.

Agnieszka podniosła się z dywanu. Przeszła do przedpokoju, stanęła we wnęcie obok szafy i wyjęła z torby kilka cukierków w kolorowych, szeleszczących opakowaniach.

– Kamilku, chodź, mam coś dla ciebie.

Chłopiec wstał posłusznie i ruszył do niej. Oczy zaświeciły mu się na widok słodyczy, ale stanął w progu pomiędzy salonem a przedpokojem i ani drgnął. Nieruchomym, martwym wzrokiem wpatrywał się w lustro za plecami Agnieszki.

– Nie, nie chcę – powiedział po chwili z wahaniem. – Zepsują mi się zęby.

– Zęby trzeba myć, to się nie będą psuły! – zakrzyknął Przemek, stając za Kamilem i łapiąc go za ramię. Drugą ręką zapalił światło w łazience.

– Nie! – Kamil krzyknął rozzłością, tak głośno, że aż Agnieszce pisnęło coś w uszach. Chłopiec wyrwał się z uścisku ojca i pobiegł do swojego pokoju. Zanim zatrzasnął z hukiem drzwi, Agnieszka zdążyła zobaczyć w oczach synka rozpacz i łzy.

– Chyba przesadziliśmy – powiedziała cicho do męża i weszła do kuchni. Otworzyła lodówkę i machinalnie zaczęła wykladać na stół ser, wędliny i pomidory na kolację. Smuga światła, sącząca się z pokoju Kamila przez szparę pod drzwiami szybko zgasła.

Agnieszka siedziała po turecku na pufie, zamknięta w bańce pomarańczowego światła rzucanego przez małą lampkę. Skubała wargami koronkowy mankiet koszuli nocnej. Zgarbiona, pochylała się co jakiś czas niżej nad ekranem laptopa i wtedy jej twarz przybierała niezdrowy, siny odcień. Przemek nakryty kołdrą razem z głową oddychał równo, głęboko i charkotliwie. Poruszył się, gdy mała wskazówka zegara powieszzonego obok ich ślubnej fotografii dotknęła jedyńki.

– Jak późno – mruknął, unosząc się lekko na łokciu. – Połóż się już.

Powtórzył to kilka razy, ale Agnieszka tylko pokiwała odruchowo głową i wpisała kolejne hasło do wyszukiwarki. Przemek już po chwili znowu przyknał oczy i zaczął pochrapywać. Nie odwracając głowy, wyciągnęła rękę i przykryła go kołdrą.

Strach przed lustrami. Spectrofobia... Nie. Eisoptrofobia. Lęk przed własnym odbiciem. Nachyliła się do ekranu. Na ciemnym tle zdjęcia ilustrującego artykuł pojawiło się jej lewe oko. Zamrugła gwałtownie, spod powieki wymknęła się łza. Wytarła twarz rękawem nocnej koszuli. Czytała, przeskakując pomiędzy stronami. Gdy wyłączyła komputer, było już po trzeciej. Jeszcze chwilę siedziała nieruchomo w ciemności.

Nie chcę zostać z tym sama, pomyślała. Usiadła na łóżku i pogładziła męża po twarzy. Miała zimną dłoń i Przemek wzdrygnął się pod jej dotykiem, potarł rozspane oczy.

– Coś się stało? – zapytał szeptem.

– Tak. Chyba wiem, co może dolegać Kamilowi. Nie uwierzysz, jak wielu ludzi to ma. Po jakichś traumatycznych przejściach, ale też chorych, zwyczajnie chorych.

– Poczekaj. Uważasz, że Kamil jest niespełna rozumu? – spytał nieprzytomnie Przemek.

– Nie, to nie to. Niektórzy ludzie boją się własnego odbicia, bo wydaje im się, że z ich twarzą jest coś nie tak.

– Aha, znaczy, są wariatami. – Przemek zakrył się ponownie kołdrą.

– Albo zdaje im się, że w lustrze zobaczą potwora, który wygląda im zza pleców.

– Jezu – westchnął sennie w odpowiedzi.

– Podobno chorzy na Alzheimera często na to cierpią. Z początku przestają rozpoznawać samych siebie w lustrze. Rozmawiają ze swoim odbiciem, jakby to była prawdziwa osoba. Ale w końcu, nagle, ta osoba z lustra przestaje być dla nich przyjacielem. Zaczyna być wrogiem, którego trzeba się bać i unikać.

– Yhm...

– To nasunęło mi tę myśl. – Agnieszka przerwała, a potem odezwała się z wahaniem w głosie: – Kogo Kamil widzi w lustrze? Siebie, ale też Sebastiana. Byli przecież identyczni. Mój

biedny, mały chłopiec. Codziennie, setki razy dziennie z lustra patrzy na niego martwy brat. Nic dziwnego, że unika luster. Nikt nie chciałby patrzeć w oczy duchowi.

Zamilkła, bo zorientowała się, że Przemek nie słucha, zresztą chyba od dłuższej już chwili. Zasnął, skulony jak dziecko, przyciskając jej dłoń do policzka.

Otworzył oczy i drgnął w tym samym momencie co ona – na dźwięk skrzypiących desek parkietu w przedpokoju. Brzmiały jak ostrożne kroki kogoś, kto nie chce zostać nakrytym i przyłapanym, kto chce zachować swoją obecność w tajemnicy. Przemek patrzył Agnieszce w oczy bez mrugnięcia i bez słowa. Puściła jego dłoń, wstając. Wyszła na korytarz. Był pusty. Cichy, ciemny i zimny, od parkietu bił chłód i wgryzał się w jej bose stopy. Gdy wróciła do sypialni, Przemek znów spał głębokim, spokojnym snem.

Musiałam się przesłyszeć, pomyślała, wtulając się w ciepłe plecy męża.

– Może jednak masz rację... no wiesz, z czym. – Przemek wrzucił do koszyka paczkę chrupków i nachylił się do ucha żony, by wyszeptać: – Z lustrami.

Zerknęła na synka, czy ich nie słyszy, ale Kamil jak zaczarowany, z oczami utkwionymi w miniaturowy Batmobilu, wędrował już do działu z zabawkami. Mieli chwilę na spokojną rozmowę – o ile zatłoczony supermarket to miejsce na rozmowy o problemach psychicznych siedmiolatka, który stracił brata bliźniaka. Skoro jednak Przemek zdecydował się wreszcie poruszyć ten temat, nie zamierzała odpuścić. Postawiła na podłodze ciężki kosz i odgarnęła włosy z czoła.

– Mam przeczucie, że tak właśnie jest – odpowiedziała również szeptem. – Wydawało mi się, że mnie nie słuchałeś...

– Słuchałem, ale mnie teraz tknęło.

– Aha. Dlaczego właśnie teraz? – westchnęła Agnieszka i sięgnęła po koszyk, tracąc wiarę na konstruktywną rozmowę o Kamilu.

– Bo tam przy wędlinach stoi Kuba, mój kumpel z podstawówki. – Wskazał palcem wysokiego mężczyznę w eleganckim, drogim płaszczu. – W zeszłym roku doktoryzował się z psychologii dziecięcej. Pogadać z nim, czy by nie przyjął Kamila na wizytę? I tak musimy, albo ta wiedźma Kostecka nie da nam spokoju.

Agnieszka kiwnęła głową.

– Idę po małego.

Kamil na jej widok odłożył na półkę samochodzik, którym się bawił i wstał z pachnącej leśnym płynem do podłóg posadzki. Poszedł za nią bez słowa. Odezwał się dopiero na widok ojca rozmawiającego z obcym mężczyzną.

– Z kim tatuś mówi?

– Z kolegą z klasy. Tata też miał przyjaciół, jak chodził do szkoły. Tak jak ty.

– Nie. – Kamil pokręcił głową.

– Co nie, kotku?

– Ja nie mam kolegów.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo Przemek pomachał do nich i ponaglił gestem, żeby podeszli. Agnieszka przywitała się, lekko speszona, gdy Jakub uściskał jej rękę. Miał duże, ciepłe dłonie, przyjazny uśmiech i zielone oczy o miłym spojrzeniu. Musiał posiadać też jakiś naturalny talent, niemal magiczną moc, która sprawiała, że dzieci do niego lgnęły. Kamil, zazwyczaj wycofany, sam wyciągnął do psychologa rękę.

– Kuba twierdzi, że wie, jak pomóc. – Przemek urwał, zerknąwszy na syna. – W naszej sprawie – dokończył gładko i mrugnął do żony.

– Kamilku, idź wybrać sobie samochodzik. Jeden. – Agnieszka popchnęła chłopca delikatnie w stronę działu dziecięcego, a gdy odszedł, zwróciła się do Jakuba:

– Dziękuję. Ratuje pan nam życie. – Złapała go za rękę i ponownie nią potrząsnęła. – Jaką terapię chce pan nam zaproponować?

– Na początek musimy przeprowadzić starcie z lękiem. – Jakub wyzwolił dłoń z uścisku Agnieszki i wyjął z kieszeni smartfon. – W moim gabinecie. Może jutro? Przed czy po południu? Może być nawet później, gabinet jest w moim prywatnym mieszkaniu.

– O osiemnastej – zdecydowała.

– Doskonale. Zatem jesteśmy umówieni. – Psycholog wrzucił do koszyka kawałek szynki i skinął im na pożegnanie.

– Panie doktorze – zatrzymała go z wahaniem Agnieszka – nie wiem, czy to ważne, ale lepiej, żeby pan wiedział. Przy porodzie jednemu z chłopców zanikło tętno i musiał być reanimowany. Czy to może być powodem tego, że...?

Urwała, bo mąż zgromił ją wzrokiem i wymownie rozłożył ręce, przypominając jej, gdzie są. W pełnym przypadkowych ludzi sklepie. Złym miejscu na intymne zwierzenia i pytania.

– Nie. To raczej nie ma znaczenia w tym przypadku – ocenił jednak Jakub. – A teraz przepraszam państwa, naprawdę się spieszę.

Uklonił się uprzejmie i ruszył w stronę kas. Agnieszka poczuła, jakby kamień spadł jej serca. Albo jakby po długiej zimie wreszcie zaczęła się wiosna. Może jutrzejsze spotkanie nic nie da, ale chciała wierzyć, że będzie przynajmniej pierwszym małym krokiem do wyleczenia jej synka. Radości tej nie mącił jej nawet marudzący mąż.

– I po co ten poród wyciągałaś, to nie ty idziesz na kozetkę, tylko Kam...

Uciał zdanie jak nożem i zakaszłał, speszony. Agnieszka odwróciła się, podążając za jego

wzrokiem. Tuż za rogiem regału stał Kamil. Możliwe, że był tam przez cały czas, gdy rozmawiali z psychologiem. Teraz dygotał jak w febrze, twarz miał bladą i wystraszoną, a wokół jego buta rosła kałuża moczu.

Po schodach prowadzących do gabinetu Kamil włókł się pomału, wspierając się ciężko o drewnianą, wygładzoną setkami rąk poręcz. Jakby uciekły z niego wszystkie siły, a jego nogi ważyły tony. Usta zacisnął w wyrazie, który Agnieszka w duchu nazywała ponurą rezygnacją. Nie chciał iść, ale wiedział, że i tak zostanie zmuszony, więc godził się na wszystko, by oszczędzić sobie szarpania z rodzicami. Stosował za to zasady strajku włoskiego i robił wszystko tak wolno i ślamazarnie, jak się tylko dało. Na spotkanie z psychologiem wyszli dwadzieścia minut wcześniej, a Agnieszka już cała była mokra od potu, ze zdenerwowania i z napięcia, od nieustannego napominania i popędzania buntującego się biernie syna.

Wreszcie ujęła klamkę wysokich drzwi, opatrzonych lśniącą, mosiężną tabliczką „dr Jakub Wierzbicki, psycholog dziecięcy”.

– Pospiesz się, synku – poprosiła Kamila, który stanął na piętrze i udawał żywe zainteresowanie wiekowym fikusem ustawionym pod oknem na klatce schodowej. Ociągał się, ale wreszcie zaczął dreptać w jej kierunku. Agnieszka odetchnęła, nacisnęła klamkę i... stanęła twarzą w twarz z ładną brunetką w modnym, kusym płaszczyku w kolorze musztardy. W rękę kobiety pobrzękiwał pęk kluczy, a za jej plecami gabinet ział ciemnością i chłodem.

– Dobry wieczór, pani do doktora? Pani nazwisko? – spytała nieznajoma szybko, zarzucając torebkę na ramię.

– Agnieszka Mastalerz, byłam dziś umówiona.

– Tak, tak. Przepraszam najmocniej. Przyszłam właśnie zadzwonić do wszystkich pacjentów doktora Wierzbickiego. Jestem jego sekretarką. Poinformowałabym i panią, ale nie zapisał mi numeru telefonu do kontaktu, tylko nazwisko. Niestety, doktor dziś pani nie przyjmie. I trudno mi powiedzieć, kiedy będzie to możliwe.

Mocowała się już z drzwiami i zamkiem. Agnieszka pociągnęła nosem. Powoli zdawała sobie sprawę, że szansa na szybkie – już tu, teraz – wyjaśnienie, co się dzieje z Kamilem oraz jego wyleczenie właśnie rozwiewa się jak dym.

– Mamo? To może pojedźmy do kina? Grają teraz taki film...

Spojrzała na syna. Grzebał czubkiem buta w szparze pomiędzy deskami parkietu. Wydawało jej się, że zanim opuścił głowę, na jego twarzy pojawił się wyraz bezbrzeżnej ulgi. Na pewno był spokojniejszy niż jeszcze przed chwilą, kiedy zachowywał się tak, jakby spotkanie z psychologiem

wisiał nad nim jak wyrok śmierci nad skazańcem.

Ciemnowłosa sekretarka przy akompaniamencie zduszonego przekleństwa zamknęła wreszcie drzwi. Schowała klucze do torebki i zamaszystym gestem poprawiła zwichrzoną grzywkę. Rzuciła okiem na stojącą nieruchomo jak posąg Agnieszkę i jej syna, ze skurczonymi ramionami badającego przebieg słoju na deskach parkietu.

– Jeśli to coś, przy czym ważny jest czas, to radzę pani poszukać innego specjalisty – powiedziała ze współczuciem w głosie.

– Byliśmy zdecydowani na Jakuba, znaczy doktora Wierzbickiego. Możemy poczekać tydzień lub dwa.

– To nie będzie tydzień lub dwa. Nie wiem, kiedy doktor wróci do pracy – westchnęła sekretarka. Miał wypadek. Poważny wypadek. Tylko tyle mogę powiedzieć.

– Hm. Dziękuję pani.

Agnieszka nie mogła pokonać uczucia zawodu. Takie nadzieje pokładała w koleźce Przemka! Jej wzrok zahaczył o twarz synka. Tym razem była pewna, że usta małego wykrzywiły się w zadowolonym uśmiechu.

– Idziemy! – huknęła na niego, nagle rozgniewana.

– Do kina?

– Nie, do domu!

Nie odezwała się do syna przez całą drogę powrotną. Chłopiec też milczał i zaczynała podejrzewać, że robił to w odwecie; że milczenie było karą za podniesienie na niego głosu i w ogóle za zabranie go do psychologa. Poczula się zmęczona. Tylko dlatego nie zareagowała, gdy Kamil przywitał się z ojcem, zdjął buty oraz kurtkę i ignorując ją, bez słowa ruszył do dużego pokoju. Po chwili już siedział po turecku przed swoim prywatnym bogiem – telewizorem – i oglądał bajkę.

– Jak poszło z Kubą? – spytał Przemek z kuchni.

– Wcale nie poszło. Bo nie przyszedł.

Przygotowując obiad, opowiedziała o tym, czego dowiedziała się od sekretarki. Przemek, zmartwiony, próbował dodzwonić się do kolegi, ale ten nie odbierał komórki.

– Chyba faktycznie to coś poważnego. Znajdziemy kogoś innego.

– Nie, to bez sensu – mruknęła zrezygnowana Agnieszka.

– Dlaczego? Przecież uzgodniliśmy, że potrzebujemy lekarza. Źle się stało, szkoda faceta

i nas szkoda, bo po znajomości pewnie mniej by policzył. – Przemek rozłożył ręce i uśmiechnął się bez zażenowania. – Ale jak nie ten, to inny. Na pewno nie był jedyny w Tomaszowie. Psychologów jest jak psów!

– Pomyślimy o tym, ale później, dobrze? – Agnieszka potarła czoło dłonią. Znów czuła się zmęczona. Bolała ją głowa. – Nakładaj już, pójdę tylko przemyć twarz.

Idąc do łazienki, zerknęła do salonu. Kamil z przejścia akcją bajki obgryzał paznokcie kciuka. Nie odwrócił się, gdy zawołała, że zaraz obiad. Na ekranie superbohater okładał pięścią bliżej nieokreślonego superzłoczyńcę. Agnieszka miała nadzieję, że złoczyńcę, że ta teatralna agresja ma jakiś powód, choćby przekaz. Ale telewizję to mu ograniczymy, postanowiła.

Ograniczymy ją natychmiast, pomyślała ze zniechęceniem w łazience, gdy uniosła twarz znad umywalki i nie ujrzała swojego odbicia w lustrze, które do połowy wysokości, bardzo dokładnie i sumiennie zostało zamazane czarnym markerem. Poskrobała czarną warstwę paznokciem. Jeszcze miała ochotę to zignorować. Zjeść najpierw obiad, razem, jak normalna rodzina. Jednak wtedy zobaczyła ciśnięte pod umywalkę jeansy i sweter Kamila, poplamione zeschniętym błotem. Poruszyła stosik odzieży stopą, odsłaniając swoją ulubioną, jedwabną bluzkę. Kołnierz ozdobiony falbanami również szpeciły plamy z gliniastej ziemi, która musiała ściec ze spodni Kamila. Agnieszka zaklęła, załapała ją fala bezsilnej wściekłości. Z hukiem otworzyła szafkę, wyciągnęła płyn do mycia szyb i szmatkę. Kiedy w przeczyszczonym z grubsza lustrze było już cokolwiek widać, wiedziała, co powinna zrobić.

– Kamil! – krzyknęła w stronę dużego pokoju. – Kamil, chodź tu!

Przyszedł po chwili, podciągając przyduże spodnie od dresu. Podniósł na nią spojrzenie ciemnych oczu. Takich, jakie miał jego zmarły brat i sama Agnieszka.

– Tak, mam?

Złapała go za kaptur bluzy i wciągnęła do łazienki. Wyrwał się i szarpał, ale była silniejsza. Zastawiła sobą drzwi i zasunęła zasuwkę. Siłą obróciła jego twarz w kierunku lustra. W lustrze zaś widziała jego-Sebastiana twarz. Skurczoną ze strachu, z zaciśniętymi szczelnie powiekami. Nie chciał patrzeć.

– Otwórz oczy! – powiedziała. Kamil krzyczał rozpaczliwie i wierzgał nogami. Do drzwi zaczął dobijać się Przemek, ale go zignorowała. Tu i teraz, to musi się stać. Nie ma na co czekać, to się pogłębia i z każdym dniem jest coraz gorzej. Każdy powinien stawić czoła swoim upiorom. – Zobacz, nie ma się czego bać.

Spokojny ton jej głosu dotarł do walczącego na oślep dziecka. Kamil znieruchomiał w jej uścisku. Pociągnął jeszcze raz nosem. I otworzył załzawione oczy.

Stali obok siebie, wpatrzeni w swoje odbicia. Agnieszka trzymała ręce na ramionach syna. Zobaczyła, że chłopiec w lustrze podniósł ku niej głowę.

– Mamusiu? – wyszeptał Kamil płacząc. Zacisnął rączkę na jej dłoni, tak kurczowo, aż poczuła paznokcie wrzynające się w jej skórę.

Mała lampka nad lustrem zamigotała. Wszystko wokół pociemniało i zszarzało, jakby ktoś sychnął na ściany i sprzęty drobnym popiołem. Ucichł głos Przemka, wołającego ją po imieniu z drugiej strony drzwi. Gdzieś za nią z mokrym plaskiem rozpryskiwały się krople kąpiącej z góry wody. Cuchnęło.

W lustrze trwała zatrzymana w pół oddechu scena, nieruchoma jak obraz. Odbicie Agnieszki w starannym koku, lawendowym swetrze i wąskiej spódnicy, lewą dłonią trzymającej rączkę swojego syna. Prawa spoczywała na jego ramieniu. Na policzku Kamila, w pół drogi do krzywizny zuchwy, zastygła w bezruchu wielka łza. W lustrze otaczały ich kafelki w seledynowe kwiatki, przyozdobione tu i ówdzie naklejkami, poprzyklejanymi przez bliźniaków, gdy jeszcze było ich dwóch. Zwykła łazienka, normalna matka i jej synek, zaraz ona obetrze mu łezkę i umyją wspólnie zęby.

Jednak gdy oderwała wzrok od podobizny samej siebie, ujrzała obraz odmieniony i przerażający. Ściany oblażyły z farby, która łuszczyła się płatami pod wpływem wilgoci. Po suficie śladem zacieku pełzły czarne plamy grzyba. Z sufitu na gołym kablu zwisała żarówka. Było ciemno, kąty pomieszczenia ginęły w mroku, czaiły się w nich cienie. Może przedmiotów, a może czegoś innego.

Jej prawa ręka spoczywała na czymś zimnym i oślizgłym. Wokół lewej dłoni zaciskały się lodowate i lepkie jak galareta, ale przerażająco silne palce. Jeszcze raz rzuciła okiem na lustro. Tam ciągle stała obok syna, w tej samej pozie. Łza na policzku Kamila nie przesunęła się ani o milimetr. Jednak gdy spojrzała w bok, nie zobaczyła synka. Obok niej stała przeraźliwie chuda, długonoga i długoreka, jakby rozciągnięta istota. Jej skóra była czarna, ale była to czerń całkowita, ciemność pożerająca światło. Szczegóły budowy jej ciała umykały postrzeganiu, jakby uciekały przed wzrokiem, chowając się jeden za drugi, w wiecznym ruchu, zapamiętałym niedookreśleniu. Agnieszka nie mogła stwierdzić z całą pewnością, czy ten obcy twór ma twarz, oczy albo usta. Ale wiedziała – czuła to jakimś szóstym zmysłem – że istota właśnie na nią zerka. Badawczo, sondując jej reakcje. Oślizgłe palce przesunęły się po jej dłoni, poprawiając i wzmacniając chwyt.

Dopiero wtedy krzyknęła, wysoko i cienko. Wyrwała dłoń z uścisku obcej istoty. Rzuciła się całym ciężarem ciała na drzwi. Obskurne, czarne i – z czego zdała sobie sprawę dopiero, gdy nacisnęła klamkę – tak samo pulsujące niedookreśleniem formy, uciekające przed pojmwaniem jak skóra stwora, który zajął miejsce jej dziecka.

Na zewnątrz zamiast znajomego korytarza ujrzała ciemny, obły tunel. Po wgłębieniach pokarbowanych ścian ściekał gęsty, przypominający ślinę śluz. Przejście drgało spazmatycznie i miarowo, niczym przełyk jakiejś wielkiej bestii. W głowie Agnieszki kołatała się jedna myśl: jeśli

tam wejść, zostaną pożarta. Pożarta i strawiona.

Za sobą wyczuła poruszenie. Jeden rzut oka wystarczył, by się upewnić, że czarna istota nie znikła. Że nadal tam jest i właśnie dała krok w jej kierunku. Że wyciągnęła drapieżnie dłonie, a każdy ruch był taki jak ona sama – ukradkowy, wymykający się postrzeganiu, jakby zawieszony na krawędzi pola widzenia. Agnieszka odepchnęła się od futryny i skoczyła w wilgotny, ciemny tunel.

Poślizgnęła się na krzywiźnie ociekającej śluzem ściany i padła na podłogę. Poderwała się ze zduszonym krzykiem. To na czworaka, to czołgając się, brnęła przed siebie, byle dalej od skradającego się za nią stwora. Tunel robił się coraz węższy, musiała więc się skulić. Metr za metrem, łkając ze strachu i z wysiłku, posuwała się w głąb lepkiej ciemności, której bała się jednak mniej niż istoty za swoimi plecami.

– Znaleźliśmy pustą skorupę...

Głos nie rozlegał się w tunelu. Zdawał się rozbrzmiewać wprost pod sklepieniem jej własnej czaszki. Ani kobiecy, ani męski, bezosobowy i pozbawiony emocji.

– Znaleźliśmy pustą skorupę i wypełniliśmy ją.

Agnieszką targnął dreszcz: więc przecucie jej nie omyliło. Mówiła o tym Przemkowi i temu psychologowi, ale uznali intuicję matki za pozbawioną znaczenia. A przecież ona pamiętała. Pamiętała siebie pólżącą na łóżku porodowym, swoje stopy w zielonych skarpetkach wycelowane w sufit, ból skurczy targający jej ciałem raz po raz, nawracający jak fala i z każdym uderzeniem silniejszy. Najmocniej utkwiał jej jednak w pamięci moment, w którym ból urwał się jak ucięty nożem. Przemek łkał, a od kafelkowanych na biało ścian odbijał się krzyk tylko jednego dziecka.

To musiało stać się wtedy. Reanimowali go, długo, a Przemek chlipał cicho. I nagle się udało – syn wziął oddech, zapłakał. A ona cieszyła się jak głupia, że jej dziecko żyje. Tylko że to nie było już jej dziecko... Odwróciła się. Czarna istota pełzła tuż za nią, była coraz bliżej. Tak blisko, że Agnieszka mogła zobaczyć pasma śluzu, odrywające się od chudych, rozciągniętych ramion. Z krzykiem przerażenia ruszyła do przodu. Dygoczące ręce ślizgały się jej w gęstej mazi.

– Potrafimy się doskonale ukrywać, ale lustra to nasza bariera – odezwał się w jej głowie płaski głos istoty. – Chcielibyśmy wiedzieć, jak wyglądamy. I ta ciekawość nas pożera.

Požera, pożera, pożera... Choć nadal słyszała to tylko w głowie, stwór zdawał się mówić z coraz bliższej odległości. Stale zmniejszał dzielący ich dystans. Agnieszka przycisnęła dłonie do uszu i skurczyła się na lepkiej podłodze jak skrzywdzone dziecko.

– Ale nie mamy twarzy – kontynuowała pełznąca ku niej długonoga i długoręka istota. – Jesteśmy wielością bytów cierpiących, która pragnie żyć.

Tunel był już tak wąski, że Agnieszka mogła się tylko czołgać. Stwór był niedaleko, chwilami słyszała jego dłonie drapiące ściany tuż za nią, potem poczuła jego palce na swoich

nogach.

– Dlaczego? – załkała. – Dlaczego zabraliście mi syna?

Tego prawdziwego. Mojego Sebastiana. Bo to Kamil nie oddychał po urodzeniu, przypomniała sobie. Przyszedł na świat martwy. Krzyż na trumnie podczas pogrzebu obrócił się dlatego, że on stał obok. Nie, nie „on”. To. Bezwolne naczynie wypełnione nieokreśloną czernią.

Wyrzuciła ręce przed siebie, wbiła paznokcie w miękką tkankę tunelu i próbowała się podciągnąć, wcisnąć choć kawałek dalej. Bezskutecznie. Tunel zwęził się tak mocno, że została uwięziona pomiędzy lepкими ścianami. Szamotała się jeszcze, dopóki nie poczuła lodowatej, długopalczastej dłoni pełzającej po jej kostkach i łydkach, ocierającej się o kolana, muskającej uda. Tak delikatnie, że niemal pieszczotliwie. Jak wąż sprawdzający językiem zapach i smak ofiary.

– Bo rozszyfrował nasz sekret. Dowiedział się, że jesteśmy...

– Że mieszkacie w jego bracie?! – krzyknęła zrozpaczona i wściekła.

– Nie – odparła istota, jej ręce znieruchomiały, a w głosie po raz pierwszy pojawił się cień emocji, rozbawionego zdziwienia niewiedzą Agnieszki. – Że mieszkamy w tobie.

Pierwsze wspomnienie było nagłe i ostre jak błysk słońca odbitego od śniegu, po którym biegli w stronę rzeki Załoki tego strasznego dnia. Sebastian i Kamil dopadli brzegu pierwsi, dwaj jednakowi chłopcy w jednakowych granatowych kurtkach i czapkach ze znakiem Batmana. Obrzucali się śnieżkami, a gdy do nich dopadła, Sebastian siedział okrakiem na bracie i nacierał mu policzki garścią śniegu, obydwaj zanosili się śmiechem. Kamil wyzwolił się wreszcie, odebrał od Agnieszki sanki i popędził z powrotem drogą, którą przyszli. Agnieszka wzięła Sebastiana za odzianą w mokrą rękawiczkę dłoń i wyprowadziła na lód, żeby lepiej widzieć popisowy zjazd z wysokiego brzegu. Poślizgnęła się i upadła, Sebastian próbował ją utrzymać i też upadł. Chichotał, rozbawiony, podciągając się bliżej jej twarzy. Potem spojrzał na to, w co uparcie wpatrywała się jego matka – w odbicie na gładkiej jak lustro tafli lodu. Śmiech zamarł mu na ustach chwilę przed tym, jak Agnieszka złapała go za kark i wybiła głową dziecka przerębel. Zwiotczałe ciało wsunęła pod lód. Wtedy zobaczyła Kamila. Stał tuż obok, niedaleko, skamieniały ze zgrozy. W ręku ciągle ścisnął sznurek sanek, od których płozów na szczyt górki za nim ciągnęły się dwa równoległe ślady. Dopadła go jednym susem, uderzyła z rozmachem w twarz, ale nawet wtedy nie poruszył się, nie wydusił ani słowa. I dobrze, usłyszała swoją-nieswoją myśl. A potem usłyszała samą siebie, jak mówi do syna:

– Jeśli powiesz komukolwiek, zabiję i ciebie.

Zabić. Kolejna myśl w jej głowie, a jednak cudza, dyktowana z zewnątrz, silna i pchająca do działania. Zabić, zanim będzie za późno, myślała Agnieszka pomiędzy wypełnionymi ciasno produktami regałami supermarketu, ścisnąc dłoń Jakuba Wierzbickiego, gdy zgodził się przyjąć Kamila na wizytę. Zabić, zanim odkryje prawdę, kołatało się w jej głowie, gdy po cichu wstała

z łóżka, ubrała się i ukradkiem wyszła z domu. Gdy biegła cichymi, bezludnymi w środku nocy ulicami Tomaszowa, nie myślała już w ogóle. Widziała tylko własne nogi rozbryzgujące kałuże na ulicy. Jednym susem wskoczyła na parapet na drugim piętrze kamienicy, w której psycholog miał swoje mieszkanie i gabinet. Wślizgnęła się do środka i pomknęła przez ciemne pokoje, by wywlec Jakuba z łóżka za nogę. Przebudził się, ale zdążył tylko krótko krzyknąć, gdy wyrzuciła go przez okno. Zeskoczyła za nim, padając w błoto. Leżał już nieruchomo, szklistymi oczyma wpatrując się w nocne niebo. A jednak przeżył. Będzie musiała to naprawić. Na szczęście z synem nie popełniła żadnego błędu.

Nie, nie popełniła. Gdy wróciła do domu, zorientowała się, że jest cała w błocie. Zamknęła się w łazience i pieczołowicie wytarła swoje ubrania swetrem syna, a potem upchnęła je zwinięte razem pod umywalką. Podnosząc się, zobaczyła, że jej odbicie w lustrze uśmiecha się triumfująco.

Tak samo uśmiechało się, gdy stała w łazience, zaciskając ręce na szyi Kamila. Chłopiec wierzgał i próbował się wyrwać, ale nie miał żadnych szans.

– Mamusiu! – zdołał wycharczeć, ale to był już koniec. Wkrótce znieruchomiał i zwiśł bezwładnie w jej żelaznym uścisku. Na jego policzku, w pół drogi do krzywizny żuchwy, zastygła w bezruchu wielka łza.

– Potrafimy ukrywać się doskonale. – Znow usłyszała lepki głos. – Lustro to nasza bariera, ale i z tym umiemy sobie poradzić. I nie musisz się już bać. Nic nie będziesz pamiętała po wyjściu z naszego świata.

Próbowała złapać choć haust powietrza. Chwycić się ściany przed nią, wbić paznokcie w krawędź i podciągnąć się dalej. Lepkie, zimne dłonie zacisnęły się na jej kostkach i szarpnęły w tył.

Kiedy istota wlokła ją za sobą przez ociekający śluzem tunel z powrotem do obskurnej łazienki, Agnieszka odzyskała oddech.

Zaczęła krzyczeć.

rys. Roman Panasiuk



GWIAZDACZ

Krystian Janik

Prolog

Szlachcic w popielatym żupanie i przetykanym złotogłowiem oliwkowym kontuszu rozsiadł się wygodnie przy kominku. Trzaskające płomienie zarumieniły jego poorane zmarszczkami lico, zaś przyprószone siwizną, ongiś ciemnobrązowe włosy nabrały bursztynowej barwy. Mężczyzna otarł czoło jedwabną chustą i począł wyswobadzać swe rozgrzane ciało z niewoli uciążliwego stroju. Uporawszy się z kontuszem, zajął się odpinaniem oprawionych w srebro szafirowych guzów, którymi nabity był jego żupan. Zostawszy jeno w sznurowanej pod szyję lnianej koszuli, w pełni oddał się kontemplacji ognia. Mężczyzna usiłował skoncentrować myśli wokół tajemniczej sprawy Krzyżowca, wbijającego w piersi młodych kleryków żelazne krzyże nagrobne, ale porwał go wiatr minionych dni.

Zaprawdę, głowa tego znakomitego męża pełna była pamiątek, które odpędzane powracały ze zdwojoną siłą, niczym odcięte głowy lernejskiej hydry.

Biała noc

Hieronim Pomian, urodzony w roku wzięcia za żonę przez króla Władysława IV francuskiej księżniczki Ludwicy Marii, był człowiekiem nad wyraz poważnym i stanowczym. W młodocianym wieku studiował nauki humanistyczne w Krakowie, a także nauki prawne i teologię w Padwie. Ówczesne motto uniwersytetu brzmiało: *Universa universis patavina libertas*. Pomimo iż cierpiał z tego powodu, to Padwę opuścił dopiero wtedy, gdy pierwsza w dziejach uniwersytetu niewiasta została absolwentką filozofii. Po powrocie do kraju osiadł w Lesznie, gdzie od czasu do czasu zaglądał do domostwa Wilhelma Janowica – niegdysiejszego wykładowcy astronomii w szkole braci czeskich. Janowic po zamknięciu szkoły w Lesznie resztę swego życia poświęcił na studiowanie przełomowego w dziejach świata dzieła *De revolutionibus orbium coelestium* Mikołaja Kopernika. Z czasem owe wizyty stały się coraz częstsze, albowiem zdolności retoryczne i agitacyjne starego astronoma zaszczyliły w Hieronymusie – jak zwał go mistrz – ideę odkrycia nowego ciała niebieskiego i nazwania go własnym imieniem. Pomian przepędzał noce z okiem utkwionym w lufie teleskopu, wymierzonym prosto w czeluści nocnego nieba. Niekiedy zamykał się w pracowni i tygodniami spoglądał w brązowe zwierciadło. Zasympiał wtenczas, gdy na niebie pojawiło się słońce, a cienkie promienie światła przeciskały się przez szpary w oknach. Budził się w samo południe i wielce rozszonony wyczekiwał powrotu ciemności.

W czerwcu roku Pańskiego 1686, marzenia zaprowadziły szlachcica do Lipska, gdzie poznał wybitnego niemieckiego astronoma Gottfrieda Kircha. Niemiec dokładnie zbadał pobudki swego młodszego kolegi i zaoferował mu gościnę. Nie sposób było nie zauważyć wielkiego szczęścia Hieronymusa, wszakże rok jego przybycia do Lipska zbiegł się w czasie z opuszczeniem przez Kircha Gdańska. Początkowo współpraca obydwu panów nie układała się najlepiej, albowiem Kirch wraz z przyjacielem Christophem Arnoldem penetrował gwiazdozbiór Tarczy, w którym pięć lat wcześniej odkrył gromadę zwiewnie połączonych ze sobą gwiazd. Astronom ciągle żywił nadzieję, że obszar gwiazdozbioru Tarczy nie został dokładnie zbadany, więc traktował po macoszemu sugestie polskiego szlachcica, żeby skupić się na obserwacji Węża.

Pewnej nocy Kirch ujrzał na niebie białą kulę, wielką niczym połowa księżyca, emitującą prosto w okno pracowni strugi jasnego światła, które rozgoniły panujący w pomieszczeniu pomrok. Niemiec podbiegł do Polaka i wyrwał go z wonnych malinowym likworem objęć Hypnosa. Zdezorientowany czeladnik w pierwszej kolejności pomyślał, iż nastał właśnie kres nocy, ale po krótkiej relacji mistrza momentalnie otrzeźwiał i nierównym krokiem pomknął do okna. To, co ujrzał bezwstydnie zmąciło jego racjonalne myślenie.

W piątym dniu lipca roku Pańskiego 1686, przed obliczem Stwórcy stanął starosta tarnowski Władysław Samuel Remar. Mieszkańcami miasta wstrząsnęła śmierć dobrego gospodarza. Przed ich oczyma zarysowała się postać nowego starosty, którym podług woli rodzica miał zostać jego syn Michał – starosta bartny, moczymorda, hulaka i kolaborant.

W ósmym dniu lipca odbył się pogrzeb starosty tarnowskiego Władysława Samuela Remara. Jego syn Michał, podczas ostatniej ziemskiej wędrówki rodzica, nie uronił nawet jednej łzy, co zostało skrzętnie odnotowane w pamięci mieszkańców miasta. Po złożeniu Władysława Samuela w grobie nie wyprawił stypy, lecz wraz z dwoma kamratami – cześnikiem Stanisławem i byłym karczmarzem Andrzejem – udał się do gospody „Pod Baranim Zadem”.

Konsyliarz tarnowski Adam Sakowski – z zamiłowania przyrodnik – zwiedził się, iż na podtarnowskich moczarach osiedliła się *Lithobates catesbeianus*, zwana także żabą barczącą. Urzędnik postanowił spędzić noc z ósmego na dziewiątego lipca na moczarach. Dwa dni później ciało konsyliarza odnalazł, badający właściwości lecznicze bagnistej wody, miejscowy zielarz. Susceptantowi zeznał, że ciało Sakowskiego było całkowicie pokryte malachitowym śluzem, a w zasadzie zmieniło konsystencję i samo przeobraziło się w flegmową substancję. Susceptant podrapał się po głowie, poskubał hiszpańską bródkę i odnotował: „*A capite ad calcem zanurzone w błocie*”.

Dziewiątego lipca o godzinie wpół do drugiej w nocy nad ziemią tarnowską zawisła żarząca się białym ogniem kula. Przesądni mieszkańcy miasta pojawienie się kuli uznali za znak od Boga, będący zapowiedzią wielkiego pożaru. Pewien wiekowy starzec, który nie doczekał końca tej pamiętnej nocy, zanim wyzionął ducha przepowiedział, że tylko przepędzenie z Tarnowa nowego starosty uchroni miasto przed płomieniami.

W dziesiątym dniu lipca astronom Gottfried Kirch przedstawił swemu towarzyszowi Hieronimowi Pomianowi obliczenia, z których wynikało, że biała kula oderwała się od nieba i spadła ponad 700 kilometrów od Lipska, w stronę Rzeczypospolitej.

W jedenastym dniu lipca Hieronim Pomian pożegnał swego mistrza i wyruszył w podróż do Tarnowa. Do miejsca swego przeznaczenia dotarł dziewięć dni później.

Pierwszym zadaniem starosty Michała Remara było powołanie nowego konsyliarza. Wybór padł na Mikołaja Wyszetropa, który ongiś studiował nauki prawne w Krakowie.

Z gwiazd

– Wielmożny panie starosto. – Muskularny mężczyzna położył dłonie na dokładnie wygolonych bokach swej głowy. – Dlaczegoż mię obdarowujecie takim nieszczęściem?

– Ja spełniam jeno wolę rodzica! – odrzekł patetycznie starosta. – Wszakże zapisał w swym diariuszu: „Aczci konsyliarz zemrze, to na urząd powołać należy Wyszetropa, abociem człowiek to światły i roztropny. Trunku, tytuniu aniż dziewczek nie używa z przesadą, a dowcip jego ostry jest wielce”.

– *Fiat voluntas tua* – rzekł Mikołaj Wyszetrop, a następnie przeżegnał się i ucałował swój srebrny sygnet z wygrawerowanym krucyfiksem.

– Waćpan rzekł słusznie! – Michał Remar pogładził się po brzuchu, wziął dwa głębokie oddechy i oznajmił: – Pójdźmy do gospody przypieczętować przejrzenie waćpana apostołem piwa!

Gospoda „Pod Baranym Zadem” została postawiona po tym, jak spłonęła karczma „Obieżyświat”, której właścicielem był Andrzej Gacek. Pożar pijalni trunków wiązano z zagnieżdzeniem się w jej murach strzygonia, z rzadka zwanego wąpierzem, który napastował wracających z karczmy podchmielonych szlachciców i mieszczan. Przesądni mieszkańcy miasta postanowili raz na zawsze pozbyć się problemu i w pewną letnią noc podpalili karczmę. Od tamtej pory nikt nie spotkał potępionego ducha.

Kiedy dwaj tarnowscy urzędnicy przekroczyli gościnne progi gospody, wielce się zdziwili, że odzwierny drzwi im nie otworzył, a gospodarz nie wyszedł ich powitać. Nawet żadna z czterech dziewczek, zajmujących się dogadzaniem łaknącej trunku i rozpusty szlachcie, nie spojrzała w ich kierunku. Szlachetni panowie rozejrzeli się i spostrzegli, że wszystkim lud zgromadził się w najciemniejszym kącie pomieszczenia, gdzie na krześle przeznaczonym dla starosty siedział nieznanym im jegomość. Mężczyzna w prawej ręce dzierżył szklanicę ciemnego piwa z imbirem, zaś w lewej odłamek bazaltowej skały. Starszy z nowo przybyłych chwycił przykucniętego tuż za gromadą odzwiernego, a następnie huknął mu do ucha swym szorstkim głosem:

- Cóż to za jasełka?
- Miłościwy panie starosto bartny...
- Chłopie, chłopie – pogroził palcem tęgi mąż – jam jest starosta tarnowski...
- Ac miłościwy pan wybaczyć raczy...
- Jużci, jużci, atoli rzecz wam muszę, że wyglądacie jak pół Rusin!
- Miłościwy panie, jam się urodził na tej ziemi! – oburzył się odziany w długą sukmanę i czapkę rogatywkę chłopina.
- *Ad rem* człeku – wtrącił młodszy mąż.
- He?
- Mówcie, kto mię stolec zajął! – ponaglił starosta.
- Aaaa, szlachcic, co na miłościwego pana stolcu raczył sieść, to przyjął z Lipska, iżby obaczyć bogi.
- Pletliwyś chłopie, aczkole głupiś – orzekł konsyliarz, poczem zwrócił się do towarzysza: – Chodźmy posłuchać, cóż prawi ów jegomość.

Hybrydyczna istota, będąca skrzyżowaniem skarłałego starca i ośmiornicy, unosiła się nad głowami zrzeszonych wokół oratora mieszkańców miasta. Ciało maskary było wątłe i nienaturalnie powyginane, zaś pozbawioną owłosienia skórę przecinały blizny, które swym regularnym i estetycznym kształtem przypominały hieroglify. Korpus wieńczył nieproporcjonalnie wielki łeb, o wyraźnych kształtach morskiego potwora, którego żeglarze nazywają polipem. Z pyska tej przerażającej istoty zwisały majestatyczne macki, będące przedłużeniem nabrzmiałych nozdrzy. Ślepią hybrydy zdawały się personifikować człowieczy lęk przed niezmiernymi czeluściami kosmosu.

Nieznajomy, niczym wyrobiony w sztuce siania apokaliptycznego strachu kaznodzieja, mówił o przedwiecznych istotach, które władały światem w czasie, kiedy ziemia i kosmos stanowiły jeden organizm. Mówca wbił przekrwione oczy w bazaltową skałę uwieczniającą wizerunek jednego z przedwiecznych i odczytał złowieszczą inwokację:

*la mayyitan ma qadirun yatabaqa sarmadi
fa itha yaji ash-shuthath al-mautu gad yantahi*

Otoczający nieznanego tłum zastygł w przerażeniu. Trwało to nie dłużej niż minutę, wszakże grobowe milczenie przeszył szorstki głos starosty tarnowskiego Michała Remara:

– Przebóg, wżdy to kacerstwo! Jegdy kaznodzieja się dowie, to na wszystkich ekskomunikę nałoży! A i minister dorzuci trzy grosze, abociem są weśrzod pospolstwa protestanty.

– *Odi profanum vulgus...* – skwitował Mikołaj Wyszetrop.

Z nosa oratora wypłynęła strużka krwi. Podłoga, sufit, zawalone mięsiwem stoły, potężne dębowe beczki wypełnione po brzegi słodowym piwem, oniemiałe twarze słuchaczy i majestatyczne macki przedwiecznej istoty zawirowały, poczem niczym cios zadany żelazną rękawicą, powaliły przybysza z Lipska. Zanim jegomość doszczętnie stracił przytomność, zdążył zwymiotować na bazaltową tablicę porcję ciemnozielonego, cuchnącego szlamu.

Konsyliarz otarł grubym kawałkiem wantucha ociekającą szlamem tablicę, bacznie przyjrzał się wyrzeźbionej w skale maszkarze, a następnie przetarł rękawem koszuli swe zmęczone powieki.

– Cóż to za mantykora? – zdumiał się medyk Waclaw Pilch, *notabene* najstarszy mieszkaniec ziemi tarnowskiej. Ów mąż, ostatniego dnia stycznia bieżącego roku, skończył osiemdziesiąt osiem lat.

– Co waćpan rzeczce, jaka mantykora?! – poderwał się starosta. – Wżdy to diabeł! Atoli nie jakiś podrzędny diablík, wszakże jest bezlisz paskudny.

– Astaroth abo Mammon? – podpuszczał starostę medyk.

– Abo sam Lucyfer!

– Aczci waćpanowie mają chciwość na dykteryjki, to niech waćpanowie przystaną do sowizdrzałów – kąśliwie zaproponował konsyliarz. – Panie Waclawie, czymże rzygał omylnik?

– O tym dowiecie się od mego uczennika. Łukaszu, przepowiadajcie!

– Szlachetni panowie, zaprawdę powiadam wam, iż to wielki zaszczyt przepowiać przed tak zacnymi mężami! – Młodzieniec skłonił się przed starszymi wiekiem i przystąpił do wykładu: – Ac waszmościowie przyjrzą się. – Pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym jego prawej ręki pojawiła się niewielka butelecarka, wypełniona ciemnozieloną cieczą. – *Aegrotus* musiał przyśpieć z którejś afryckiej krainy, abociem odkryłem w rzygowinach dwie barwy szlamu – zieloną i szkarłatną, która po przemieszaniu z zieloną jawi się jako czarna.

Takowa farba nie występuje na mokradłach Rzeczypospolitej, atoli w krainach afryckich, co obaczył nasz znakomity przyrodnik Fabian Grabowski.

– Gdzież w tym rozum? – rozłożył ręce Wyszetrop.

– Prawdę rzekłszy, to sam nie wiem – odpowiedział adept medycyny. – Jednakowoż ten sam rodzaj szlamu zoczyłem w żołądku i płucach pańskiego poprzednika – konsyliarza Adama Sakowskiego.

– Mniemam, że na mokradłach załęgły się topielice – nieśmiało oświadczył Remar.

– Pospolstwo waćpan ganisz za wbijanie ócz w polipa, a sam o przesądach i gusłach prawisz, jakoby były prawdziwe – zganiał druha konsyliarz.

– Panie Mikołaju, sam ongiś śmiałem się z diabłów, planetników, dziwożon, nie dawałem wiary w czary i gusła, dopókim nie spotkał wąpierz! – Starosta zacisnął sękate palce swej prawicy w pięść i począł bić się w piersi, poczem dwakroć odetchnął i rzekł: – Onej nocy zmiarkowałem, iż istnieją na tym świecie dziwy potężniejsze niż człowiek. Przeszło trzy roki nie wychodziłem nocą bez naczosanego osikowego kołka.

Konsyliarz ulepił w swym funkcjonującym wyłącznie na racjonalnych prawidłach rozumie soczystą ripostę, ale wypowiedzenie jej uniemożliwił mu przeraźliwy skowyt towarzyszący odzyskaniu świadomości przez przybysza z Lipska. Wyrwany z letargicznego snu jegomość podjął próbę podniesienia się z leszczynowego stołu, lecz pomiarkował, iż jego ręce i nogi zostały doń przykute grubymi łańcuchami. Tak więc uniósł jeno głowę i zmierzył stalowym wzrokiem swych ciemniejszych. Surowy połysk dodawał powagi jego oczom. Twarz miał chropowatą, gładko golone policzki porastała niespełna dwutygodniowa czarna szczecina.

– Niech waćpan się nie szarpie, wszakże przełamię waćpan kręgosłup – ostrzegł jegomością stary medyk.

– Kręgosłup mam nieprzełomiony!

– Kochanieńki... – Starosta wyciągnął w kierunku nieznanego bazaltową tablicę. – Rzeknij mi, jak zowie się ów diabeł?

Hieronim Pomian spojrział na opracowaną przez Gottfrieda Kircha mapę lądowania kosmicznego obiektu i odczytał współrzędne. Wiedział, że zbliża się do miejsca, które na zawsze zmieni jego żywot. Szlachcic rozpostarł ręce i zamknął oczy. Czynił tak zwykle, gdy poczuł potrzebę wyciszenia się i odświeżenia umysłu. W jego głowie krążyły planety. Kontemplację wszechświata przerwało wieńczące gody skrzeczenie samca barczącej żaby.

Drzewa otaczające moczary pozbawione były koron. Hieronimus przez dłuższą chwilę przyglądał się ich wierzchołkom i doszedł do wniosku, że spłonęły w iście nienaturalny sposób. Wyrastające z pni nadpalone gałęzie pokrywała świecąca w ciemnościach skorupa

barwy porcelany. Ongiś monumentalne dęby przypominały teraz uliczne latarnie. Pomianowi wydawało się, że w migotaniu światła został zapisany jakiś tajemniczy szyfr. Poczł, że coś przejmuje kontrolę nad jego percepcją niczym turecki hipnotyzer, którego spotkał ongiś, bawiąc we Lwowie. Otworzył usta i wyszeptał ciąg niezrozumiałych dla siebie samego słów. Coś poruszyło się pod powierzchnią mokradła, aby po chwili wynurzyć się i chlunąć błotem prosto w pomnikową twarz szlachcica.

Czterej mężczyźni rozsiedli się wygodnie na ławeczce z widokiem na wirydarz. Wacław Pilch poczęstował swych gości słodowym piwem i wonną kwiatami wiśni tabaczką, wyrabianą przez tarnowskich bernardynów.

– Słyszeli waćpanowie o podwójnej duszy? – zapytał zebranych adept dziedziny Hipokratesa.

– Młodzieńcze, zalatuje mię to strzygoniem – stwierdził starosta.

– Znakomicie! Weśzrod ludu panuje przesąd o ludziach mających podwójne serca – kiedy jedno ustaje, to budzi się drugie, a człek wychodzi z grobu i włóczy się po gościńcach, złakniony świeżej krwi. Strzygoń, wąpierz, a najczęściej upirz – takie dostaje nazwiska. *Notabene* w opowieściach o upirzach pojawiają się wzmianki o dwoistej duszy. Jednakże żyją na tym świecie ludzie, którzy są podatni na odbieranie sygnałów z minionych dni. Poznałem ongiś ukraińskiego chłopca, który każdego roku, od pierwszego dnia marca aż do drugiego dnia kwietnia, przeobrażał się w wytrawnego poetę. Czy waćpanowie dacie wiarę, jeśli rzeknę, iż ów chłopina nie potrafił się nawet podpisać? Słyszałem także opowieści o heterze, która w dniu Wszystkich Świętych odkrywała w sobie niewysłowny talent malarski. Niewiasta przelewała na płótno przeraźliwe obrazy istot przypominających rozmaite morskie żyjątko – kałamarnice, polipy, meduzy, kraby, rozgwiazdy *et cetera, et cetera*.

Niemiecki astronom Gottfried Kirch zanotował w swym dzienniku, iż nocą dziewiątego lipca roku Pańskiego 1686, wraz z druhem Christophem Arnoldem podziwiał przelot olśniewająco białej komety.

Po latach bezowocnych obserwacji gwiazdozbioru Tarczy Kirch – ulegając rzekomo namowom żony Marii – skierował swe szklane oko w sam środek gwiazdozbioru Węza.

W roku Pańskim 1702, wraz z żoną odkrył w gwiazdozbiorze Węza gromadę kulistą gwiazd. Osiem lat później na zawsze zawarł swe powieki. Podobno przed śmiercią dręczyły go koszmarne sny, w których odbywał podróże do podwodnych miast. Po przebudzeniu opowiadał o cyklopowych wieżach i zamieszkujących je przedwiecznych istotach.

Na stronicach dziennika Kircha nie pojawia się nazwisko polskiego adepta astronomii Hieronima Pomiana.

Medyk Paweł Pilch oznajmił, iż najlepszym lekarstwem na stan umysłu Hieronima Pomiana będzie larendogra i driakiew na wszelkie dolegliwości odpowiednia i chętnie stosowana. Starosta natomiast zadbał, aby choremu nie zabrakło nalewki na pszczelim miodzie i świeżej polędzwicy. W dwa tygodnie później szlachcic odzyskał sprawność ciała i umysłu, ale ostatnim wydarzeniem, jakie pamiętał, było przekroczenie bramy miasta Tarnowa. Wydarzenia z mokradeł nie zachowały się w jego pamięci.

We wrześniu roku Pańskiego 1686, Hieronim Pomian wziął za żonę Dobromiłę z Melsztyńskich herbu Leliwa, co zapoczątkowało jego karierę urzędniczą w Tarnowie. Kilka dni po hucznym weselu został mianowany – za aprobatą króla Jana III Sobieskiego – przez starostę tarnowskiego Michała Remara wicestarostą.

W latach 1699-1700 odwiedził Saksonię i Inflanty. Bawiąc w Saksonii poznał króla Augusta III Mocnego, z którym wieczorami prowadził dysputy dotyczące boskiego pochodzenia człowieka w pismach różokrzyżowców. Do Tarnowa powrócił pierwszego dnia stycznia roku Pańskiego 1700. Objął wtedy urząd sędziego tarnowskiego.

Epilog

Kołatanie w drzwi domostwa Hieronima Pomiana ustawało. Wędrowiec wiedział, że szlachcic jest w środku, albowiem w oknie rysował się jego cień. Uważnie przyglądał się drzwiom, aż zmiarkował, że przy uderzeniu zamek powinien ustąpić. Przywarł barkiem do pokrytych emalią drzwi i mocno pchnął.

We wnętrzu domostwa panowało przeraźliwe zimno. Przybysz pomyślał, iż właśnie taka temperatura musi panować w piekielnej otchłani. Wyobraził sobie czartów, którzy zanurzają potępieńców w akwenach zamrzniętych jezior. Doskonale pamiętał, co o piekle – mieszczącym się w głębi ziemi jeziorze ciemnym i głębokim – pisał hiszpański mistyk Piotr z Alkantary. Usiłował również przypomnieć sobie wizję zamrzniętych jezior, zawartą na kartach *Kalendrier des Borgies*, ale w tym samym momencie zorientował się, że jest obserwowany. Podniósł do góry głowę i spojrzał na sufit. Coś wisiało nad jego spojrzeniem. Nieartykułowany głos eksplodował w głowie wędrowca. Technienie przedwiecznej otchłani oszroniło witraże. Miriady gwiazd zamigotały na szkle.

ADAMA



GROZA

FANTASTYKA

GRY BEZ PRADU

nr0/2015

OPOWIADANIA

Radecki

Lewandowski

Zack

Kaźmierczak

Borowiec

Wojteczek

TEMAT NUMERU

Anna Dymna

ZDJĘCIA OSTATECZNE

PONADTO W NUMERZE: WARZONE, POKEMON, MTG

www.kostnica.com.pl

KOSTNICA

POZORNIE MARTWA STRĘPA

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



www.kostnica.com.pl

RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS

rys. Stanislav Lament



LUGAL

Dominik Derkacz

Deszcz od rana tłuł w okna wszystkich wiedeńskich domów. Miasto oblepione było gęstą mgłą, która zaczęła unosić się po południu. Słowem, było ponuro i szkaradnie. Rząd latarni oświetlał mokry chodnik, po którym w szybkim tempie szła zakapturzona postać. Choć znajdowałem się na drugim piętrze, a oświetlenie nie było najlepsze, dojrzałem, że palto mężczyzny było całkowicie zniszczone. Ów człowiek chwilę temu dzwonił do drzwi mojego domu. Do gabinetu, w którym się znajdowałem, wszedł lokaj. W dłoniach trzymał paczkę zawiniętą w pakowy papier, na który spadło parę kropel deszczu.

– Kto to był? – zapytałem.

– Nie przedstawił się, proszę pana. Powiedział tylko, że chciał to zwrócić – odpowiedział służący, wskazując na pakunek. Wyciągnąłem więc rękę po niespodziewany prezent, kształtem przypominający książkę. Rozerwałem papier i moim oczom ukazał się zniszczony dziennik. Uszkodzenia nie były wielkie. Bardzo dobrze zobaczyłem, a potem wyczułem pod palcami inicjały posiadacza, wytłoczone w prawym dolnym rogu okładki. W.F.B. Serce zabiło mi mocniej.

– Możesz odejść – powiedziałem do lokaja, który wciąż był w pokoju. Usiadłem w fotelu, ogromnie poruszony. Przekartkowałem dziennik. Strony były podniszczone, pismo w niektórych miejscach rozmyte, lecz nadal czytelne. Zapiski te należały do mego zmarłego brata Wilhelma. Po raz ostatni widziałem go około pięciu lat temu, a trzy minęły od daty jego prawdopodobnej śmierci. Miłość do podróżowania i zwiedzenia w końcu go zabiły, a stało się to na końcu świata. Zginął w lodach Antarktyki. Ponad pół roku temu belgijska ekspedycja odnalazła wrak jego statku. Na nim odkryto zamrożone ciała załogi, lecz nie byli to wszyscy członkowie angielskiej ekspedycji. Brakowało chociażby ciała Wilhelma. Nie wiadomo, co było przyczyną zgonu. Tylko jedne zwłoki miały rany klute, reszta ciał nie posiadała żadnych obrażeń. Z *Fearless* zabrano dziennik okrętowy i, jak się teraz okazało, dziennik mojego brata. Wiadomości, które usłyszałem pół roku temu, nie były dla mnie żadną nowością, już wtedy byłem dawno po żałobie, a i tak nie trwała ona zbyt długo; zbyt długo *Fearless* nie zawijał do portu w Southampton, zbyt długo nie dostawałem żadnej wiadomości od Wilhelma z jakiegokolwiek miejsca na świecie, bo choć kontakt nie był pomiędzy nami najlepszy, brat zawsze pisał, że żyje.

Fearless wyruszył z portu w Southampton 2 września 1895 roku, płynął wzdłuż wybrzeża Ameryki Południowej, gdzie uzupełniał zapasy. Załogę tegoż statku stanowiło 25 mężczyzn – kapitan, oficerowie pokładowi, marynarze, medyk, naukowcy, badacze i mój brat podróżnik. Byli świetnie przygotowani do podróży, którą miała być eksploracja zimnego lądu.

Statek przepłynął Cieśninę Drake’a, minął Południowe Szetlandy i rankiem 20 lutego 1896 oczom załogi ukazały się wybrzeża Antarktyki, w całej swej mroźnej okazałości. Wedle dziennika okrętowego, statek utknął w paku lodowym 15 marca, a 20 czerwca zapiski się urwały. Stanowi to ogromną tajemnicę i jest powodem mnóstwa pytań. Przede wszystkim: dlaczego? Dlaczego załoga, która miała zaopatrzoną spiżarnię i jedzenie wokół siebie, nagle zmarła? I na co? Mnóstwo pytań, lecz ani jednej odpowiedzi. A teraz, trzymając dziennik mojego brata w rękach, miałem nadzieję, że spadnie na mnie oświecenie. Dowiem się, na co, być może, cierpiała załoga. Dlaczego brakuje tych kilku ciał? Może też dowiem się,

w wyniku jakich działań Wilhelm przepadł bez śladu? Podrapałem się po brodzie. Nigdy nie życzyłem bratu źle, choć różniliśmy się. Byliśmy całkowicie odmienni. Wilhelm był niespokojnym duchem, który zawsze musiał wchodzić tam, gdzie zaglądać się nie powinno, wybierać trudniejsze trasy do przejścia, chodzić z głową w chmurach i całymi dniami wpatrywać się w mapę świata, marząc, że któregoś dnia odkryje przynajmniej część z tych białych plam. Łączyło nas jedynie jedno – miłość do nauki. Ja lubowałem się w liczbach, on – w geografii, biologii, potem i w historii starożytnej. Ale to nie oznaczało, że trzeba było opuszczać światowy Wiedeń i wystawiać się na nieznane zagrożenia, czyhające w niezbadanych rejonach. Muszę to przyznać, podróże Wilhelma wielokrotnie doprowadzały mnie do trudnej w okiełznaniu furii. Zamiast osiąść spokojnie, założyć rodzinę, ustatkować się, pracować na uniwersytecie, on wolał się włóczyć, ganiać za niebezpieczeństwami. Jeszcze gdyby miał jakiś tytuł naukowy, ale on nawet nie ukończył studiów. Nie wiem również, skąd Wilhelm brał pieniądze na te podróże. Miał sponsora czy wkręcał się w kręgi eksploratorów i dzięki swojej aparycji zdobywał i pieniądze, i miejsce w wyprawie? Pozostawało to tajemnicą, bo choć Wilhelm prowadził notatnik z każdej wyprawy (i wszystkie trzymał u mnie, bo swojego domu, choćby mieszkania, nie miał), to nic tam nie było napisane. A sprawdzałem dokładnie i wielokrotnie, po każdej jego wyprawie

Zacząłem czytać. Notatki zaczynały się od jego pobytu w Londynie. Tam poznał Ksawerego, młodego naukowca z Krakowa, będącego antropologiem. Szybko zostali przyjaciółmi, na co być może miał wpływ to, że oboje interesowali się tą samą dziedziną. Wedle poprzednich dzienników Wilhelma, antropologią zaczął się zajmować jakieś parę lat temu.

To Ksawery usłyszał informację o tym, że kapitan sir Henry Cook planuje wyprawę na Antarktykę, skutkiem czego razem z Wilhelmem dosłownie pobiegli do owego Anglika, który przyjął ich do jeszcze niekompletnej załogi.

Następne strony dziennika mówiły o tym, co już wcześniej przytoczyłem – o podróży wzdłuż Wybrzeża Ameryki Południowej i utkwieniu w paku lodowym.

17 marca 1896

Od dwóch dni Fearless nie drgnął ni o milimetr. Już oswoiliśmy się z myślą, że przyjdzie nam zimować na tej lodowej pustyni. Jest pięknie. Jedynie ten mróz i wichry, które wyją... Temperatura jest raczej stała, czyli wynosząca minus 21 stopni. Dziś ustawiliśmy zadanie na górnym pokładzie, na dniach planujemy wybudować szopę, która będzie pomagać naszym naukowcom w prowadzeniu badań. Mają teraz wiele czasu na pobieranie

próbek i badanie ich. Planujemy też oddalać się od statku, musimy jedynie ustalić trasy i grupy, w które będziemy się łączyć. Mnie ciągnie do gór lodowych, znajdujących się na północ od naszego statku.

Mimo iż Wilhelm był wręcz niecierpliwy, by udać się w stronę gór, nie zrobił tego przez przeszło dwa tygodnie. Notował codziennie, lecz w swoich obserwacjach zamieszczał informacje z obcowania z naukowcami, to jest pisał o śniegu, wodzie, florze i faunie. Nie były to rzeczy, które by mnie szczególnie absorbowwały, więc wpisy te jedynie musiałem spojrzeć. Byłem zbyt niecierpliwy, chciałem dowiedzieć się, co stało się w tamtej odległej krainie.

2 kwietnia 1896

Dziś wraz z Ksawerym, Thomasem i Arthurem wybraliśmy się w kierunku gór lodowych. Było to pięć mas stojących w niedalekim sąsiedztwie. Nie były tej samej wielkości – jedna zdecydowanie wyróżniała się spośród pozostałych. Niestety nie mieliśmy zbyt wiele czasu na kluczenie pomiędzy górami, nim dopadł nas zmierzch. Ale jeszcze tam wrócimy, to pewne.

3 kwietnia 1896

Nie wiem, jakim sposobem zostało to wczoraj przeoczone... chociaż może wpływ na to miały ekscytacja i ogólne rozrzewnienie, które nas pochwytyły po dotarciu do góry? To już nieważne. Dziś w jednej z gór, tej największej, odnaleźliśmy wejście do jaskini. Całą czwórką ogromnie się zdziwiliśmy, ale podążyliśmy w środek lodowej skały prowadzeni ciekawością. Po przejściu dziesięciu kroków po delikatnym spadku natrafiliśmy na ścianę lodu. Nie do przebycia bez odpowiednich narzędzi, których nie mieliśmy. Odkrycie zrodziło w naszych głowach wiele pytań, ale też i podziwu dla przyrody. Nigdy nie spodziewałem się ujrzeć czegoś takiego. Po długiej rozmowie, doszliśmy do wniosku, że przebijemy się przez tę ścianę. Tak, obawialiśmy się niebezpieczeństw związanych z tym przedsięwzięciem, ale przecież jesteśmy odkrywcami! W głębi duszy byłem pewien, że znajdziemy tam coś, co uczyni nas sławnymi po powrocie do Europy.

9 kwietnia 1896

Wiedziałem, że tak jak w przypadku innych wypraw, i tutaj pojawi się przerwa w pisaniu. Byłem zbyt zmęczony pracą i emocjami. Przez trzy dni przedzieraliśmy się przez

lodową ścianę. Pracowaliśmy przy tym bardzo ostrożnie. Kiedy w końcu lód ustąpił, ruszyliśmy dalej, dzierżąc w dłoniach lampy naftowe. Tunel był wąski, więc byliśmy zmuszeni iść gęsiego, a było w nim przeraźliwie zimno. Schodziliśmy po delikatnej pochyłości. Po bardzo niedługim czasie, to jest około dwudziestu krokach, dotarliśmy do rozwidlenia tuneli. Rzecz dziwna i niecodzienna, nasuwająca jeszcze więcej pytań, a co za tym idzie, teorii. Razem z Ksawerym ruszyliśmy prawą odnogą, a Thomas z Arthurem lewą. Idąc korytarzem, zauważyłem, że kąt nachylenia się zwiększa. Pogłębił się także mój strach, w pewnym momencie pomyślałem, że ta wędrówka doprowadzi nas jedynie do zguby. Że lodowa ścieżka się zawali, wpadniemy do oceanu i utoniemy. Tłumaczyłem sobie, że grunt, po którym idziemy, jest twardy, bo i taki był fakt, ale umysł, który wówczas żył abstrakcją, nie pojmował tego. Przeszliśmy dalsze pięć metrów. Przez całą długość tej trasy kąt nachylenia się nie zwiększył. Potem dojrzeliliśmy jasny punkt przed sobą. Przyspieszyliśmy z Ksawerym kroku, palając żądzą poznania. Chwilę potem znaleźliśmy się w okrągłej komnacie i w tym samym momencie dołączyli do nas Thomas i Arthur. To dowodziło, że oba korytarze są tej samej długości, ale wtedy żaden z nas nie zawracał sobie tym głowy. Byliśmy oczarowani znaleziskiem. Szybko do nas dotarło, że znajdujemy się w komorze grobowej – lodowy sarkofag stał pośrodku jaskini, do której wpadało światło z zewnątrz, co tłumaczyło ową jasność widzianą z tunelu. Centralnie nad grobowcem zbudowanym z wyciosanych bloków lodu znajdował się otwór, dokładnie taki sam, jaki możemy zaobserwować w wulkanach. Nie wiedziałem, na czym mam wzrok skupić. Tyle było niesamowitości, nowości. W końcu jednak skoncentrowałem się na symbolach, które pokrywały wszystkie ściany jaskini. W oczy rzuciło mi się jedno słowo: lugal. Pochodziło ono z języka sumeryjskiego i mogło oznaczać tyle co wysoki człowiek, król. Reszta symboli była już, niestety, nie do odszyfrowania. Patrząc na nie, widziałem pomieszanie sumeryjskiego z hieroglifami i z systemem, bądź systemami, znaków, który jeszcze nie został odkryty. W czasie, w którym ja przypatrywałem się tajemniczemu inskrypcjom, pozostała trójka moich przyjaciół otworzyła pokrywę sarkofagu. W środku znajdował się szkielet. Leżał na boku, z podkulonymi nogami i złożonymi rękoma. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak kości homo sapiens, lecz jaką mogliśmy mieć pewność, skoro byliśmy na Antarktyce i byliśmy świadkami takich rzeczy? Spakowaliśmy kości i zabraliśmy na statek, gdzie poddaliśmy je badaniom. Byliśmy w błędzie. Kości należały do gatunku bardzo podobnego do homo sapiens, lecz niebędącego nim. Ten tutaj osobnik, miał dłuższe ręce i nogi, większą liczbę żeber. Choć jego czaszka była dłuższa, resztę miała zgodną z homo sapiens. Do dziś nie jestem w stanie tego wszystkiego pojąć. Co ta za cywilizacja? Bo założyliśmy, że jest to jakaś cywilizacja. Musimy znaleźć więcej takich grobów, materiału

badawczego i wszystko przewieźć do Europy. Nasze odkrycie całkowicie zrewolucjonizuje naukę. Mój brat może w końcu będzie ze mnie zadowolony...

Oderwałem się od czytania. Nie było to spowodowane tym ostatnim gorzkim zdaniem, lecz odkryciem dokonany na Antarktyce. To, co przeczytałem, nie chciało pomieścić mi się w głowie. Czyżby Wilhelm popadł w szaleństwo? A jednak... Jeśli była to prawda, gdyby ich ekspedycja zakończyła się szczęśliwie, wtedy tak. To, co odkryli, wywołałoby prawdziwą lawinę dyskusji i dało początek fali antarktycznych podróży.

Następne strony były wypełnione ilustracjami, czy raczej znakami przepisanyymi z komnaty grobowej. Wilhelm zadawał także dużo pytań, na które usiłował odpowiedzieć sobie na kartach dziennika. Na przykład, dlaczego do jaskini prowadziły dwa korytarze tej samej długości? Gdzie szukać następnych grobów? Bo szukali, ale znaleźć nie potrafili. Tkwili w miejscu. Wilhelm i Ksawery usiłowali odszyfrować tajemne pismo, lecz wedle zapisków, tutaj też nie poruszyli się ani o krok dalej. Mój brat był tak pochłonięty swoimi badaniami, że reszcie załogi właściwie nie poświęcał ani zdania w dzienniku. Wilhelma strasznie irytowała niemoc rozszyfrowania znaków odnalezionych w jaskini, pomimo znajomości sumeryjskiego i hieroglifów. Na statku mieli nawet prace na temat owych języków, które mój brat ze sobą zabrał. Ciągłe jednak brakowało im czegoś, co mogłoby to wszystko razem złączyć i pozwolić odczytać inskrypcje z jaskini.

Chyba jakimś splotem szczęścia udało mu się zauważyć, że nastąpiła noc polarna. To zdarzenie jakby przywróciło go do świata żywych. Moim zdaniem, a opieram się tu tylko i wyłącznie na dzienniku, Wilhelm, będąc pochłonięty badaniami, mógł nawet nie opuszczać swojego miejsca pracy. Dopiero noc polarna sprawiła, że zauważył pozostałych ludzi.

16 maja 1896

Choć noc polarna trwa zaledwie od paru dni, już dała nam się poważnie we znaki. Brak słońca, nawet przez tę chwilę, od razu nas rozstroił. Charles bardzo szybko znalazł na to określenie. Polar anemia. Wszystkich ogarnęło zmęczenie, zniechęcenie. Niektórzy jeszcze chodzą poddenerwowani. Mnie nawet dopadły skoki ciśnienia. Ksawery w pewnym momencie aż mnie przeraził. Siedzieliśmy, pracując nad znakami, i nagle, z niewiadomych przyczyn zaczął się trząść nerwowo. Nie była to padaczka, siedział prosto, ale to telepanie mnie zaniepokoiło. Powiedział, że to ze zdenerwowania. Przyznałem mu rację, bo i cóż mi pozostało? Mnie też napinają się ręce, mocno pocieram dłoń o dłoń, czując, jak coś we mnie narasta. Byłem na wielu wyprawach, ale ta już jawi mi się jako piekło, a słońca przecież

nie ma dopiero od czterech dni. Czy może aż czterech? Na początku byłem zachwycony Antarktyką, a teraz mnie ona przeraża. Choć zorza polarna jest przepiękna, kiedy tak mieni się kolorami, to jednak poświata unosząca się na niebie i zawieje śnieżne mnie niepokoją. Ten wiatr gwizdże jakoś potępieńczo, wyje. Po raz kolejny tego dnia to poczułem. Znów ciągnie mnie do tej jaskini. Nie wiem po co i dlaczego, ale chcę tam iść. Chcę tam iść, ale jednocześnie wzbraniam się na wszelakie możliwe sposoby. Toż to niedorzeczne.

18 maja 1896

To oczywiste, że poszliśmy do jaskini w czwórkę. Widok, który tam zastaliśmy po wejściu, był po prostu... niesamowity, bajkowy również można by rzec i jednocześnie straszny. Całą salę wypełniało niebieskie światło. Wydawało mi się, że bije ono od ścian, ale nigdzie nie widać było jego źródła i właśnie to było niepokojące. Wszystko, czego tu doświadczamy, jest dziwne i zasiewa w nas tylko lęk. Zaczynam żałować, że w ogóle odnaleźliśmy to miejsce. Zaczynam żałować wielu rzeczy.

19 maja 1896

Thomas nie żyje. To, co się stało, jest po prostu... Trudno mi to opisać, ale chcę to zrobić. Przecież zawsze, gdy pisałem o porażkach, smutkach i niepewności, to, paradoksalnie, robiło mi się trochę lepiej. Oby tym razem zadziałało, bo inaczej prędzej skończę z sobą, niż dotrważę do kresu nocy polarnej, nie mówiąc już o powrocie do Europy. Jakiż ja głupi! Gdybym tylko był ułożony jak mój brat... Thomasowi się pogorszyło. Nie widziałem w tym nic dziwnego, gdyż każdemu z nas przytrafia się głębsza zapaść. Anglik chodził dokoła statku, kołysząc się w przód i w tył. Akurat zszedłem z pokładu, aby rozprostować nogi, kiedy Thomas, mijając mnie, zaczął szeptać w językach. Rozszerzyłem oczy, ale, nie wiedząc czemu, dałem temu spokój. Thomas zniknął za rufą, a gdy powracał w moim kierunku od strony dziobu, szedł już normalnie, zachowywał się tak jak zwykle. I takie było też nasze zachowanie. Być czubkiem, a w następnej chwili nosić się już normalnie. Tom zapytał mnie o lampę naftową, którą trzymałem w dłoni. Chciał się przejść kawalek, a nie chciał wracać się po swoją. Nie widząc przeciwskażeń, dałem mu ją, bo i tak wkoło było jasno. Wład i Maurycy wyciągali próbki wody z odwiertu. Patrzyłem za oddalającą się sylwetką, niknącą powoli w mroku. Mężczyzna uszedł może z pięć metrów, po czym rozbił sobie lampę na głowie. Po chwili sam stał się pochodnią. Zachłysnąłem się powietrzem. To Maurycy zachował trzeźwość umysłu i zaczął wołać o pomoc, a ja, stojąc w miejscu, w którym pożegnałem Thomasa, słyszałem jego przeraźliwe krzyki. Ale nim ratunek nadszedł, nim udało się okiełznać

plomienie, Thomas już nie żył. Spod koców wyłoniło się jedynie zwęglone ciało, z twarzą wykrzywioną w straszliwym grymasie.

26 maja 1896

Nie mam sił na nic. Nawet już nie podejmuję prób deszyfryzacji tych znaków. Mam wrażenie, jakby mój umysł przegnił. Myślenie przychodzi mi z trudem, a i stale mam wrażenie bezwładnego dryfowania pomiędzy jaźnią a jawą. I tak snuję się po tym okręcie, który wnet stanie się naszym grobowcem, nie mając siły ni ochoty na nic. Moglibyśmy tu od razu paść i byłby spokój.

27 maja 1896

Boże, zmiłuj się. Co za bzdury popisałem?

1 czerwca 1896

Miałem dziś okropny sen. Schodziłem do komnaty grobowej. Sam. Tunel był węższy, musiałem się przeciskać w całkowitej ciemności przez te lodowe ściany. Byłem spanikowany. Choć chciałem się cofnąć i uciec stamtąd, nie mogłem. Jakby jakaś magnetyczna siła przyciągała mnie w kierunku jaskini. Bezsilny, zmierzałem w głąbię. Szedłem, a korytarz zdawał się nie mieć końca. Czulem, jak słabnę, kiedy przede mną zajaśniała niebieska luna. Mając ją za kres podróży, poczułem, jak wstępują we mnie nowe siły i przyspieszyłem kroku. Po chwili wszedłem do znanego mi już miejsca. Tak jak i wcześniej, teraz także pismo emanowało niebieską poświatą, wypełniającą całe pomieszczenie. Rozglądałem się wtedy wkoło, jakbym znalazł się tam po raz pierwszy. Niedługo potem inskrypcje wyryte w lodzie zaczęły robić się zrozumiałe. Serce zabiło mi mocniej. Zbliżyłem się do ściany znajdującej się na wprost wylotów z tunelów, by przyrzeć się znakom z bliska, kiedy niespodziewanie poczułem czyjąś obecność. Zamarłem. Gwałtownie się odwróciłem i krzyknąłem z przerażenia. Zderzyłem się z ścianą. Przede mną stał wysoki, bladolicy stwór. Tył jego czaszki był wydłużony, oczy całkowicie czarne. Ust nie widziałem, przykryte były fałdami skóry. Był nagi, ale płeć nie była w żaden sposób zaznaczona. Miał rozpostarte błoniaste skrzydła. Siatki żył na nich jak i na ciele były niebieskie. Dłonie miał zakończone szponami. Potwór zrobił krok w moją stronę, a wtedy ja się obudziłem. Byłem całkowicie mokry od potu, dyszałem ciężko i silnie drżałem na całym ciele. Zdecydowałem się wyjść na zewnątrz. Akurat trafiłem na zawieję śnieżną. Stałem na mostku kapitańskim, a wiatr wyl wokół mnie, szarpiąc lampą, którą trzymałem w ręce. Zacząłem rozglądać się po okolicy. Wtem zauważyłem moją

senną marę, stojącą pośród zawiei. Serce zabiło mi mocniej. Parokroć zamrugalem powiekami. Ale to nadal tam stało. Wysokie monstrum widoczne pośród nocy. Widziałem wyraźnie... Albo może mi się tylko zdawało? Może nie byłem do końca rozbudzony? Sam już nie wiem. Zbiegłem z powrotem pod podkład, a serce waliło mi jak oszalałe.

5 lipca

Gdyby udało mi się wrócić do Wiednia, chciałbym nawiązać lepszy kontakt z moim bratem. Ale wątpię, bym wrócił. Powoli umieramy. Czuję, że odchodzę. Nie, nie jestem chory. To coś, ten potwór, to on nas wykańcza. Czai się gdzieś, atakuje znienacka i porywa człowieka. A co się potem z nim dzieje? Od czerwca zginęło pięciu członków załogi. Nie wiemy, gdzie są pozostałe dwa ciała. Trzy powróciły do nas, całkowicie zmasakrowane, bestialsko potraktowane. Zawsze wisiały na maszcie głową w dół. Gdyby tylko to, ale Aleksy wisiał na własnych wnętrznościach! Boję się wychodzić z wnętrza statku, ale czasami jestem zmuszony to robić. Wariuję od siedzenia w tej ciasnocie, czuję, jak szaleństwo coraz bardziej mnie pochłania. Usiłujemy to zabić, ale z czym my właściwie walczymy? Co to jest i jak to pochwyć, skoro jest tak diabelnie szybkie? Skąd to się wzięło? Tyle pytań. Teraz jestem pewien, że ta wyprawa była błędem. Może w ogóle badanie Antarktyki jest błędem? Może wkroczyliśmy na teren przez kogoś zajęty, kto uzurpuje sobie do niego prawo? Jakaś prastara cywilizacja, niezbadane mity, które nagle odżyły, aby strzec swojej prywatności i historii. A może po prostu to my jesteśmy już tak obłąkani, że zabijamy siebie nawzajem, myśląc, że jest to on, Lugal?

To był koniec. Już nic dalej nie było. Tu notatki się skończyły. Serce opętańczo waliło mi w piersi. Odłożyłem dziennik na stolik i nalałem sobie koniaku. Zacząłem chodzić po gabinecie. W pomieszczeniu panował chłód, lecz mi było gorąco. Minuty upływały, mój puls i oddech się normowały. Wilhelm tajemniczo żył i tak samo umarł. Spojrzałem na dziennik. W ustach czułem gorzki smak porażki. Nie dowiedziałem się, jak mój brat zginął. W dalszym ciągu nie wiem nic. Kompletnie nic. To całe odkrycie w lodowej górze nadal wydawało mi się urojeniem, zwykłą abstrakcją. To, co Wilhelm napisał na samym końcu, choć przerażające, wydało mi się najbardziej prawdziwe. Doprowadzani do obłądu przez izolację, mogli sami zacząć się mordować. Westchnąłem głośno, patrząc na oświetloną ulicę. Deszcz już przestał padać. Stałem tak może kwadrans, może dłużej. Chwyciłem dziennik i schowałem go do szuflady biurka, którą zamknąłem na klucz. Po tym wyszedłem z gabinetu,

usiłując zapomnieć o tym, co przeczytałem, i na nowo próbując pogodzić się ze śmiercią
Wilhelma.

rys. Roman Panasiuk



NAPRAWIACZ LALEK

Przemysław Karbowski

„Dziadzio Adam umarł, a ja strasznie płakałem. Dziadzio napisał mi kiedyś, że ostatni raz płakał, gdy miał trzy lata, a potem wyschły mu oczy i nie płakał już nigdy. Nie płakał, gdy umarła moja mama, a moja mama była jego córką. I jak tata umarł, dziadzio Adam nie płakał też. Czy jakbym ja umarł, to dziadzio też by nie płakał? Bo ja płakałem strasznie, a mam już jednaście lat. Czyli jeszcze nie wyschły mi oczy. A ciocia Agnieszka i ciocia Henryka są stare, a jeszcze płaczą. A na ulicy widziałem kiedyś staruszkę, która miała ze sto lat i ona płakała. Czyli każdemu oczy wysychają w innym wieku.

Pani wychowawczyni powiedziała, że mogę tu pisać pamiętnik, ale pamiętniki piszą dziewczyny. Bo są głupie i na drugi dzień nie pamiętają tego, co było wczoraj, i muszą sobie przypomnieć. Może coś im w głowie wysycha, tak jak wysychają oczy, i dlatego nie pamiętają.

Pani wychowawczynie powiedziała, że mogę pisać, co chcę, bo ładnie piszę, a ja się pochwaliłem, że kiedyś napisałem książkę i pani się śmiała. A ja naprawdę napisałem książkę. Jak miałem dziewięć lat, ciocia Henryka dała mi do czytania „Chatę wuja Toma” i bardzo płakałem, bo tak bardzo było mi żal bitych Murzynów. A potem napisałem o Murzynach, których bito jeszcze bardziej, i byli jeszcze bardziej nieszczęśliwi, i chciałem, żeby ludziom było ich strasznie żal, jak przeczytają. Ale tylko ciocia Agnieszka przeczytała i była zła, i wyrzuciła zeszyt do pieca. Bardzo się wtedy pokłócili z ciocią Henryką, bo ciocia Henryka krzyczała, że wychowanie musi być konsekwentne, i że ciocia Agnieszka ma klapki na oczach jak kobyła. Ale to nieprawda. Potem już pisałem tylko listy do dziadzia Adama, który zmarł.

Pani wychowawczynie powiedziała, że nie wie, czemu mnie zabrali od cioci Agnieszki i cioci Henryki, że to się na pewno wyjaśni i to jest tylko tymczasowo, że na pewno nie zostanę tu na stałe. Nie chcę tu zostać na stałe, ale pani wychowawczynie jest miła i ma smutne oczy. Nawet jak się śmiała z mojej książki, to oczy miała smutne. Powiedziałem pani, że chcę napisać list do dziadzia Adama, ale pani powiedziała, że to zły pomysł. Ja też potem pomyślałem, że to zły pomysł, bo przecież dziadzio Adam jest w niebie i widzi wszystko, i nie trzeba o niczym mu pisać. Jak to powiedziałem pani, to taka dziwna się zrobiła, i patrzyła na boki i na drzwi, i była smutna i przestraszona. Pani powiedziała, że mogę napisać o dziadziu Adamie.

Dziadzio Adam pracował w Warszawie, w wielkim domu dla lalek. Zaczął tam pracować po wojnie i pracował bardzo ciężko. Kilka lat temu przestał, bo był już stary i nie miał sił, ale ja go zawsze prosiłem w listach, żeby mi pisał o tym domu i tych lalkach, bo dziadzio Adam bardzo rzadko przyjeżdżał. Był podobno na pogrzebie mamy i taty, ale ja nie pamiętam, bo byłem malutki. Widziałem go dwa razy, jak przyjechał na moje szóste i ósme urodziny i tyle. Był wysoki i siwy i miał szpary między żółtymi zębami. Jak się uśmiechał, to te żółte zęby wyglądały jak cegielki, między które murarz zapomniał dać zaprawę.

Ten dom dla lalek był bardzo wielki i to był dom, w którym te lalki naprawiano. Bo lalki, tak jak ludzie, mogą być złe albo niegrzeczne. Złą lalkę można bić, żeby stała się lepsza i dziadzio Adam twierdził, że nie ma w tym nic strasznego, bo lalki to nie boli, a ona rzeczywiście może być od tego lepsza. Dziadzio bił lalki osobiście, oprócz niego robiło to mnóstwo ludzi i to była ich praca. Jak się dziadzia pytałem w listach, czemu w fabryce produkują złe lalki, to mi tłumaczył, że każda wyprodukowana lalka jest dobra, ale potem schodzi na złą drogę, jak człowiek. Ale to było dziwne, bo dlaczego lalka staje się grzeczna, kiedy złamie jej się nogę albo rękę, albo stłucze batem na kwaśne jabłko, skoro ją nie boli? Dziadzio Adam tłumaczył, że lalki są tylko przerażone, jak widzą swoje połamane i obite ciała, bo to jest straszny widok, i tak bardzo chcą być naprawione, że ta chęć sprawia, że obiecują, że już będą grzeczne i dobre. Wtedy wychodzą z tego domu i dzieci mogą się nimi bawić.

Kiedy pytałem dziadzia, czy lalki byciem złym mogą zarazić się od dzieci, pisał, że to prawda, że złem można się zarazić jak szkarlatyną, i że zarazki zła możemy wdychać razem z powietrzem, i jak ktoś zły na nas nakaszle albo kichnie. Od tego czasu starałem się uciekać jak najdalej, gdy ktoś kaszlał albo kichał, bo bałem się, że stanę się zły. Ale dziadzio Adam tylko mnie wyśmiewał, że ludzie to co innego i nikt ich nie będzie bił za to, że stali się niegrzeczni i źli, tylko pójdą do więzienia i będą musieli w nim siedzieć. Chyba dziadzio Adam mnie wtedy okłamał, bo kiedyś słyszałem, jak ciocia Henryka opowiadała cioci Agnieszce o panach, co w czasie wojny byli żołnierzami, a potem stali się źli i ich w więzieniu bili, aż ich zabili. Ktoś zły musiał na nich nakichać i oni musieli się zarazić, dlatego ja uciekałem, jak ktoś kichał albo kaszlał. Ale nigdy o tej opowieści cioci Henryki dziadziowi nie napisałem, bo myślę, że by się gniewał. A może w Warszawie źli ludzie tylko siedzieli w więzieniach, a u nas w Krakowie ich bili na dodatek? Tego nie wiedziałem i dziadzia Adama nie pytałem.

Pani wychowawczyni przyniosła mi paczkę od cioci Agnieszki i cioci Henryki, a w paczce był kawałek drożdżowca i kawałek makowca. Chciałem panią poczęstować, ale powiedziała, że dziękuje i że jestem bardzo miły i greczny, i ona bardzo się cieszy, bo inne dzieci takie nie są. I że na razie będę sam w pokoju, a potem, jak już poznam inne dzieci, to będę w pokoju wieloosobowym. Pani powiedziała, że tu kiedyś mieszkała taka grzeczna dziewczynka i została po niej szmaciana lalka. I rzeczywiście, na półce siedzi taka lalka, co wygląda trochę jak Klarcia z „Plastusiowego pamiętnika”, tylko jest ładniejsza. Zapytałem panią, jak miała na imię ta grzeczna dziewczynka i pani powiedziała, że Ania. Piotruś i Ania to byłaby zgodna para, pani się śmiała, ale oczy miała smutne.

Pytałem dziadzia Adama, czy lalki mogą być tak niegrzeczne i złe, że nic nie pomoże łamanie rąk i nóg, że bicie też nie pomoże, i że lalka za nic nie zechce się naprawić. I dziadzio pisał, że owszem, że są takie lalki, z których już nic nie będzie. Te są tak zatwardziałe w byciu niegrzecznym, że trzeba je zabić i wyrzucić. Dziadzio Adam pisał, że plastikowym lalkom robi się szpilką albo gwoździem dziurę z tyłu głowy i uchodzi z niej życie i całe zło, a pluszowym robi się dziurę nożyczkami i wyciąga z głowy trochę pluszu, a szmacianym też nożyczkami i wyciąga się trochę szmat i idą do śmietnika. A dziadzio z kolegami wyrzucili na śmietnik bardzo dużo lalek, bo w Warszawie była kiedyś epidemia zła i dużo lalek się zaraziło tak bardzo, że za nic nie można było ich wyleczyć i musiały umrzeć. I dziadzio Adam był potem bardzo ważnym człowiekiem i pisał, że może kiedyś będzie dyrektorem tego domu dla lalek, ale potem się rozchorował i pracował w bibliotece, żeby było mu lżej.

Wydaje mi się, że ta lalka, którą zostawiła tu grzeczna Ania, jest zła. Ma taką dziwną minę, a ja nigdy nie spytałem dziadzia Adama o rzecz bardzo ważną. Że lalka może zarazić się od człowieka – to wiem, ale czy człowiek może złem zarazić się od lalki? Tego nie wiem, ale boję się, że tak może być. Dlatego wezmę scyzoryk do ostrzenia ołówków i ją zabiję.”

– Baczność! – wrzasnął major Rduch, wchodząc do gabinetu. Trzech mundurowych zerwało się bezładnie, bo byli już wstępnie podpicci.

– Spocznij, żartowałem... – Rduch też był wstępnie podпиты i ciężko opadł na krzesło. – Wszystko poszło się jebać, drogie dzieci, dostał drugiego zawału i kopnął w kalendarz. Możecie sobie tym protokołem dupę podetrzeć...

– Dwieście stron naszej roboty! – jęknął kapitan Gołębiowski.

– Starczy na wiele posiedzeń w kiblu... – Major wysmarkał się w kraciatą chustkę wielkości małego obrusa.

– Nasze nadgodziny, przesłuchania świadków, nieprzespane noce... – zaczął wyliczać porucznik Trytko i urwał, bo Rduch spojrział na niego nieprzyjemnie.

– Wypłacą wam, nie bójcie się. – Major zwinął chustkę w kwadrat. – Żłopcie mniej kawy, to w nocy będziecie spali jak niemowlę.

Chorąży Jedlina nic nie powiedział, tylko nalał wódki do szklanek. Wypili bez toastu, bo nikomu żaden sensowny nie przyszedł do głowy.

– Sekcję robili? – spytał Trytko, wachając razowiec.

– A po co? – zdziwił się major Rduch.

– No, czy nie samobójstwo w areszcie...

Rduch roześmiał się na całe gardło.

– Nie ten typ... Przecież jak po niego przyszli do tej biblioteki, to zasłabł, gdy tylko usłyszał, że jest aresztowany.

– Delikacik, kurwa mać... – Gołębiowski splunął przez okno. – Że też nigdy nie zasłabł, jak baby gwałcił szczotką do sracza... Albo paznokcie wyrywał...

– Taak... Taka była mądrość etapu, konieczność dziejowa... – Major spoważniał na moment i zaczął parodiować Gomułę: – Idee socjalizmu, przeniknięte duchem wolności człowieka i poszanowania praw obywatela, w praktyce ulegały głębokim wypaczeniom...

Nikt się nie zaśmiał. Jedlina ponownie napełnił szklanki. Znów wypili bez toastu. Porucznik Trytko ujął w dłoń pierwszą stronę maszynopisu i zaczął beznamiętnie czytać na głos:

– Aneks do „Sprawozdania komisji dla zbadania odpowiedzialności byłych pracowników Głównego Zarządu Informacji, Naczelnej Prokuratury Wojskowej i Najwyższego Sądu Wojskowego”, dotyczący kapitana Adama Lewandowskiego, oskarżonego o...

– Nieświętej pamięci kapitana Lewandowskiego – przerwał Trytce kapitan Gołębiowski.

– Lewandowskiego... – parsknął milczący dotąd Jedlina i sam zaczął czytać z kartki na biurku: – Właściwie: Abraham Lewartow, urodzony 23. kwietnia 1896 roku w Prużanie...

Członek Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi od roku 1925... Skazany za zdradę stanu w 1931... Po bitwie pod Lenino odznaczony... Ciekawe, co tam robił?

– Taki piękny życiorys, a po wojnie oddelegowany do bicia, jakby był dwudziestoletnim ideowcem, a nie starym przykiem... – zadumał się major Rduch. – Musiał to lubić... Ale, ale, czytaliście te jego listy do wnuczka, co ich nie zdążył wysłać?

– O, tak! – Gołębiowski splunął przez okno mniej celnie, mało nie trafił plwociną we framugę. – Biedne dziecko... Dziadek sadysta, we łbie nasrane, i jeszcze o tych lalkach... O co mu chodziło? Pisał, że znęcał się nad lalkami? Jedenastoletniemu chłopcu? Przecież mógł pisać byle co, choćby bajki przepisywać w tej cholernej bibliotece!

– Mógł pisać, ale nie pisał... – Jedlina otworzył kolejną butelkę wódki, zerkając w biogram Lewandowskiego. – A te lalki? To proste. Urodzony... Syn Natana i Estery, z domu... No i gwóźdź programu, dziewięć sióstr: Liwa, Gołda, Sara...

– Starczy, starczy tej wyliczanki! – Major Rduch złapał za szklanekę. – Wiecie co, wypijmy za tego chłopaka, żeby mu się w życiu wyprostowało i o dziadku prawdy się nie dowiedział. Zabrali go ciotkom do sierocińca, ale to nie były ciotki... Podstawione, regularnie opłacane kobiety. Zdrowie Piotrusia Lewandowskiego!

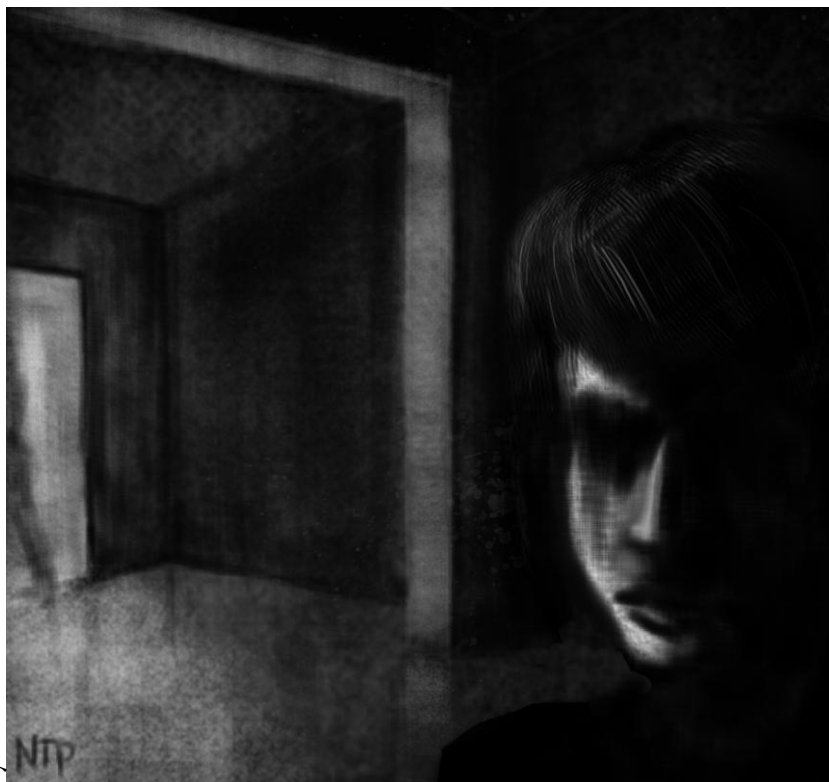
– Zdrowie! – Pozostała trójka zerwała się z krzeseł.

Major Rduch powoli wstał, ale stojąc musiał przytrzymać się regału. Wskazał na maszynopis leżący przed Trytką.

– Podpiszcie z dzisiejszą datą, jako najtrzeźwiejszy przypomnę: 18. marca 1957 roku. I do utajnienia. Co wy się tak gapiacie jak wół na malowane wrota? Przecież całe to sprawozdanie ma być utajnione! Jawne to są tylko wyroki! Chcecie wiedzieć, ile dostanie Fejgin, a ile Różański? Jutro wam powiem, jak wytrzeźwiejecie...

„Bo przecież jeśli można zarazić się złem od lalki, to dziadzio Adam miał do czynienia z tyloma złymi lalkami, że musiał się zarazić! A ja boję się, że zarażę się od lalki grzecznej Ani. Zdjąłem lalce czapeczkę, żeby zrobić jej scyzorykiem dziurę w tyle głowy, ale ona już miała dziurę w głowie. I wyskubane z głowy szmaty. Ona była martwa. Wyrzuciłem ją do śmietnika. I już była dobra i ja to wiedziałem, chociaż dziadzio Adam nigdy mi tego nie napisał. Że te wszystkie lalki na śmietniku były już dobre...”

rys. Roman Panasiuk



POKÓJ ANNY

Wojciech Gunia

Przez wszystkie tamte lata prowadziły nas, niczym lunatyków zanurzonych we śnie pełnym wyczerpania, dni lepkie i ciężkie, o martwych porankach rozpalonych żółcią przenikającą się z błękitem i popołudniach, kiedy masywne chmury, nabrzmiące niczym dojrzałe, ciężkie kiście winogron, oczekiwały chwili, by uwolnić z siebie deszcz zapładniający bujność życia; oczekiwały niczym ciało spragnione nocnego wytchnienia, kiedy zgromadzony przez upalne godziny bagaż zdarzeń zapładnia kwitnącą bujność fantazji i majaków.

Pamiętam dom zbyt wysoki, by objąć go jednym spojrzeniem z perspektywy niewielkiego, zarośniętego podwórza, ogrodzonego stalowym płotem; dom wielki

i z pewnością stary, o prostej, prostopadłościennych bryle i ścianach, na których łuszczący się zielonkawy tynk, obnażone gdzieniegdzie cegły, przebielenia w miejscach, gdzie usiłowano sztukować ubytki i zacieki odmalowane niezliczoną ilością deszczów tworzyły przedziwną mapę lat, podczas których spędzałem w nim wakacje, goszcząc wraz z rodzicami u ciotki Anieli i jej córki Anny.

Podróżowaliśmy zawsze nocą, przemierzając długie, migotliwe godziny, pełne blasku przydrożnych latarni i szyldów sklepowych w mijanych miasteczkach. Podróż zawsze była dla mnie odyseją przebudzeń – wyrwany z objęć snu, otwierałem na chwilę oczy, by spostrzec jedynie pustkę przetykaną rozmazanymi plamami mijanych świateł. Zasybiałem na minuty, budziłem się i, kołysany monotonią jazdy, znów zasypiałem. Jednakże nigdy nie udało mi się obudzić na sam moment dojazdu, nigdy nie udało mi się doświadczyć magicznego upływu ostatnich kilometrów, gdy radość przybycia przenika się ze znużeniem i jednoczesną nostalgią za ruchem, dopiero co wygaszonym przez ciszę i ciemność. Ojciec budził mnie, potrząsając delikatnie za ramię. „Dojechaliśmy. Pora wstać” – mówił, a ja wyodrębniałem się z nieistnienia ku dusznemu porankowi, pełnemu bólu głowy, flegmy i zmęczenia przenikającego przez włókna wszystkich mięśni. Wysiadałem, ścierpięty, z rozgrzanego, śmierdzącego gumą i benzyną samochodu, który, zmęczony po katorżniczej nocnej pracy, spoczywał w objęciach wysokiej trawy i cieniu starych lip rosnących na terenie zaniedbanej posesji. Rodzice wyciągali z bagażnika ciężkie walizki, a ja na nowo rozpoznawałem topografię otoczenia – wysoki dom o nielicznych, wąskich oknach, bujną trawę poprzerastaną zdziczałymi krzewami i różnorodnością chwastów – gęsty, nierówny dywan, z którego ku rozpalonemu niebu wznosiły się stare drzewa, łagodnie szumiące na lekkim, gorącym wietrze. Ogród wokół domu – nieproporcjonalnie mały w stosunku do samego budynku, którego przytłaczająca bryła zdawała się wraz z każdym spojrzeniem rozrastać na splechwie zieleni – był okolony wysokim, blaszanym płotem, jaki zwykle widywało się na placach budów. Jedyne miejsce, w którym ogród rozrastał się nieskrępowanie, tak jakby jego sprężone ciało znalazło ujście z ucisku wyznaczonych mu granic, był delikatny spadek w stronę rzeczki, będącej jednocześnie granicą posesji – w zasadzie nie tyle rzeczki, ile potoku, zdegenerowanemu do postaci cuchnącego ścieku na skutek rozrostu miasta. Jego niespieszny, szlamowaty nurt od ścian domu dzieliła dość spora odległość. Płaty blachy ogradzające działkę kończyły się tuż nad trawiastym brzegiem, a po drugiej stronie wznosiła się ściana lasu, zieleniąca się u podstawy liśćmi łopianu i paprociami, a tak gęsta od pni, koron i pnączy oplatających drzewa, że zdająca się niemal monolitem, życiem stwardniałym w skałę.

Kiedy rodzice kończyli wyładowywać bagaże, które ustawiali w równych rzędach przed bocznym wejściem do domu, wchodziliśmy do środka, by przywitać się z ciotką Anielą. Nigdy nie wychodziła nam na powitanie, oczekiwała w kuchni na piętrze, na które wchodziło się po wąskich, drewnianych schodach, wiele lat temu pomalowanych bordową farbą, która wytarła się, odsłaniając zszarzałe, drzazgowate deski, wyraźnie cieńsze tam, gdzie stopy wstępujących i zstępujących najczęściej znajdowały oparcie. Kiedy wchodziliśmy do kuchni, ciotka Aniela zawsze kończyła nalewać herbatę do porcelanowych filiżanek, które – jak utrzymywała moja matka, siostra ciotki, pamiętała jeszcze z czasów własnego dzieciństwa. Następowo krótkie, uroczyste powitanie, pełne uścisków i pocałunków, a następnie zasiadaliśmy za starym, prostym stołem i popijając napar, zdawaliśmy relację z podróży. Ciotka Aniela kiwała głową, od czasu do czasu wyglądając przez okno o drewnianej, splekanej ramie, przyozdobionej od wewnątrz ceratową zasłonką, a od zewnątrz podłużnymi donicami, z których wyrastały pelargonie. Następnie, kiedy zakończyliśmy naszą część, ciotka Aniela mówiła o wydarzeniach z czasu, który upłynął od naszej ostatniej wizyty. Zazwyczaj jej sprawozdanie ograniczało się do ubolewań nad pogarszającym się stanem domu, na remont którego nie miała środków, wyrażeniem tęsknoty za zmarłym przed laty mężem i zaniepokojenia zbyt – jej zdaniem – swobodnym trybem życia, jaki prowadziła Anna. „Jest taka naiwna” – mówiła – „tak łatwo ją zauroczyć, tak łatwo jej coś obiecać, a ona nigdy nie widzi możliwych konsekwencji swoich postępów”. Anny zazwyczaj nie było, gdy przyjeżdżaliśmy. Spotykaliśmy ją dopiero pod wieczór lub na następny dzień rano, zmęczoną, pachnącą potem i perfumami, śmiałą, zawsze wyzywająco skąpo ubraną.

Kiedy część powitalna dobiegała końca, a ostatnie krople herbaty przelewały się do ust, ciotka Aniela, ubrana w szarą koszulę, długą, sięgającą kostek spódnicę i spłowiąły fartuch, odprowadzała nas do pokoi. Przemierzaliśmy w milczeniu długie korytarze domu, mijając kolejne pozamykane drzwi. Ciotka Aniela przyznawała, że w niektórych pokojach, ba, na niektórych piętrach, nie była od lat. Wielkie przestrzenie domu były niezamieszkałe i samotność ciotki Anieli oddała je na pastwę kurzu i zapomnienia. Wiele razy zastanawiałem się, jakie światy wyewoluowały w tym zamkniętym zapomnieniu, jakie światy, niczym pleśń na zostawionych zbyt długo resztkach jedzenia, wykiełkowały na tej pożywce z brudu i ciszy. Dom był ogromny, wzniesiony z myślą o kilku wielodzietnych pokoleniach, teraz zaś stanowił jedynie smutny pomnik minionego, kostium niepasujący do zmienionego ciała czasów. Nasze kwatery znajdowały się blisko obszernego, ciemnego salonu, pełnego foteli, wersalek, sof i poduszek, wyłożonego zszarzałym, olbrzymim dywanem, na środku którego stał równie wielki stół jadalniany, zdolny pomieścić przy sobie kilkadziesiąt osób. Wątle

światło spływało z wiekowych lamp o zmatowiałych, secesyjnych kloszach i rozjaśniało zieloną tapetę o kwiatowych motywach.

Nasze pokoje – równie przestronne i ciemne – pachniały kurzem i starością, na łóżkach piętrzyły się puszyste obłoki kołder, a siedziska wysokich foteli uginały się z wyraźnym oporem i skrzypieniem skrytych pod obiciami sprężyn. Ubrania nasze chowaliśmy w masywnych szafach, przyjmujących odzienie z lekkością i łatwością człowieka, który, wygłodniały po wielomiesięcznym poście, otrzymuje swój ulubiony pokarm. Choć nasz samochód zawsze był wyładowany po brzegi, szafy mieściły bagaże z łatwością, jakby zapraszającą nas do zwożenia w nadchodzących latach kolejnych rzeczy.

Rozpakowani, schodziliśmy na obiad, wydawany przez ciotkę Anielę w ogrodzie. Długi, Nielakierowany, przesiąknięty tłustym brudem stół zajmowały wypełnione talerze, talerzyki, miski, wazy, sosjerki, chochle, sztuce, serwetki, koszyki – zasiadłszy do tego olbrzymiego zestawu, ucztowaliśmy, ukryci w cieniu i szumie drzew. Zarówno ciotka Aniela, jak i rodzice, rok w rok wyciągali na wierzch te same tematy, te same anegdoty oraz te same historie, opowiadając je z przejęciem godnym spraw najwyższej wagi. I choć wszystko, co można było powiedzieć, zostało powiedziane przed laty, utrzymywali ten rytuał, co więcej – wierzyli w niego, wydobywając ze zużytych, minionych epizodów słodczy opowieści, niczym nowy miód z dobrze znanego ula. Przysłuchiwałem się ich rozmowom, z roku na rok coraz lepiej orientując się w siatce nazwisk, wydarzeń i zależności pomiędzy nimi, i tak rodziła się moja osobista mitologia nieistniejącej już rodziny, w której imiona i nazwiska na zawsze naznaczono wyrosłymi z anegdot atrybutami, w której ludzkie byty przekształciły się w funkcje cech i przymiotów, splątanych w kosmogonicznym tańcu formującej się tożsamości. I kiedy kończył się obiad, przedzierzgnięty w trwającą do późna kolację, wraz z którą salwowaliśmy się ucieczką do środka przed nadciągającą ulewą, wakacje można było uznać za oficjalnie rozpoczęte.

Rodzice w czasie tych wypadków podążali za własnymi sprawami, zostawiając mnie samego w domu. Ciotka Aniela krzątała się po ustalonych ścieżkach, zaś ja mogłem – przez nikogo nie nadzorowany – zgłębiać sekrety przepastnego budynku, odwiedzać jego opuszczone piętra i zamknięte pokoje. Tylko do pokoju Anny, zawsze zamkniętego na klucz, nie miałem wstępu. Kiedy wracała ze swoich nocnych wojaży, co roku tak samo wyzywająca, coraz silniej oddziałująca swoją pełną kobiecością na budzące się we mnie pragnienia, znikwała za drzwiami i jedynie unoszący się w powietrzu zapach potu, perfum i czegoś jeszcze, czego nie potrafiłem wówczas nazwać, stanowił ślad jej przejścia przez korytarze. Czasami zasiadała z nami do kolacji, wymieniając niezobowiązujące uwagi, a gdy tylko ciotka Aniela

kierowała rozmowę na temat zbyt swobodnego życia, które jej zdaniem Anna prowadziła, ta natychmiast opuszczała nasze towarzystwo. Anna zdawała się mnie nie zauważać i dzięki temu mogłem ją bacznie obserwować, ukradkiem poszukując okazji do przyjrzenia się jej ciału. Kiedy, jeszcze mokra od kąpieli, wychodziła do ogrodu, by na skrzypiącym, starym leżaku oddać się snom, zstępującym w objęciach promieni słońca tańczących z cieniem drzew, przysiadłem w oknie mojego pokoju i obserwowałem, oczekując niecierpliwie chwili, gdy któreś z jej poruszeń odsłoni dodatkowy centymetr nagości. Kiedy, wstawszy przed największym upałem, udawała się do swojego tajemnego królestwa, skradałem się tam na palcach i przez dziurkę od klucza usiłowałem pochwycić choćby sugestię upragnionego widoku. Dziewczyna nie zauważała mnie, jednakże im starszy byłem, tym trudniej przychodziło mi opierać się wrażeniu, że w jakiś sposób mnie prowokuje – pewna prześlizgującego się po niej mojego spojrzenia, uśmiechała się nieznacznie, po czym poprawiała jakiś element skąpej garderoby tak, by zasugerować mi możliwość przypadkowego obnażenia, którego niby udawało się jej uniknąć w ostatniej chwili. Śledziłem ją przez cały czas jej bytności w domu, udając, że zajmuję się swoimi sprawami, i dopiero kiedy wychodziła wczesnym wieczorem, niepomna ulewy rozszalałej na zewnątrz, promieniująca świeżością, w koronie falistych, czarnych włosów, oddawałem się eksploracjom zapomnianych pomieszczeń i schowków, usiłując dopasować znajdowane w nich przedmioty, pamiątki i zdjęcia do rodzinnej epopei ze wspomnień bliskich, i nawet kiedy zapadała ciężka, duszna noc, nie zaprzestawałem moich poszukiwań, zużywając do cna energię, oczekując na moment wyczerpania pozwalającego mi zapaść w sen pomimo zaduchu, który rozlewał się po domu niczym wrzący kisiel, przenikając nawet przez grube, ceglane mury.

Kiedy wstawałem wczesnym rankiem, obudzony zatęchłym, przepoconym spiętrzeniem gorąca, rodziców już zazwyczaj nie było – wychodzili do miasta ku własnym, dorosłym celom. Schodziłem na śniadanie, przygotowane dla mnie przez ciotkę, po czym zjadałem je w samotności, obserwując muchy uwięzłe pomiędzy szybami zamkniętego okna, złapane w śmiertelną pułapkę miniaturowej szklarni. Ich zrazu wściekle, brzęczące miotanie się pomiędzy przezroczystymi płaszczyznami ustępowało powoli miejsca ospałym, ciężkim, parabolicznym przemieszczeniom, zakończonym coraz słabszymi uderzeniami o tafle. W końcu przestawały, dając za wygraną. Poddawały się śmierci i tylko drgające od czasu do czasu odnóża stanowiły jakiś wyraźny gest, jakby pożegnania ze światem.

Wraz z upływem godzin narastał upał, osiągając nieuchronnie swoje apogeum, podczas którego zalewały nas gęsta, rozpalona jasność i gorąc tak nieopisane, że w ogrodzie

i domu zamierało wszelkie życie. Cisza, która wówczas zapadała, była absolutna. Ciotka Aniela, świadoma skromności środków, jakie mogła przedsięwziąć przeciwko inwazji obezwładniającego gorąca, zamykała okna oraz drewniane klapy. W tych sennych godzinach zdawał się zamierać ruch mechanizmu zegarowego – ciszy pochłaniającej dom nie zakłócał nawet jego miarowy, uspokajający odgłos. Czasami, otępiały i senny od upału, bezwładnie przemierzałem wymarłe korytarze, by oddawać się obserwacjom umierających owadów, następnie przystawałem przed pokojem Anny, która moment przejścia Słońca przez zenit przeczekiwała w zamknięciu, i wyobrażałem sobie jej odciętą od świata nagość. Przykładałem ucho do drzwi, jednakże z wewnątrz nie dochodził żaden odgłos. Pewnego razu, nie mogąc dłużej znieść napięcia i wysysającej ze mnie resztki sił temperatury, poszedłem do swojego pokoju i tam oddałem się pierwszej, wstydlivej i wyczerpującej ekspresji własnego pożądanego, po czym zasnąłem, zapadłem się w ciemność, z której wyłoniłem się dopiero późnym popołudniem, w porze obiadowej. Stało się to dla mnie rytuałem i tamte wakacje już na zawsze naznaczyły się dla mnie wspomnieniem tych upalnych chwil, pełnych mocnego bicia serca i wstydu zmieszanego z rozkoszą, gdy uwalniałem z siebie ciepły, lepki płyn.

W czas, gdy na wpół przytomny schodziłem do ogrodu, moi rodzice już byli z powrotem i pomagali ciotce Anieli w przygotowaniach do posiłku. Na ich pytania, jak minęły mi ranek i przedpołudnie, odpowiadałem wzruszeniem ramion. Parokrotnie przyznawałem się do nudy, co przyjmowano z obojętnością. Z biegiem lat uświadamiałem sobie, że w tej rozpalonej nudzie, w tej absolutnej statyczności myśli, której doznawałem, było coś niewypowiedziane uspokajającego, na wpół świadome przygotowanie ciała do rytuału nocy, będącego przygotowaniem ciała do ostatecznego, lodowatego rytuału umierania. Zrozumiałem to w pełni, gdy pewnego ranka znalazłem w ogrodzie, pod jednym z drzew, martwe kocię, które musiało paść wskutek gorąca bądź zatrucia. Z sercem ściśniętym boleścią obserwowałem muchy, tłoczące się przy zamkniętych oczkach; obrzydliwe, tłuste owady, spacerujące po miękkim, brudnym futerku. Delikatnie uchylony pyszczyk zwierzęcia, odsłaniający maleńkie zęby, zdawał się wykrzywiony w bólu, którą przejście ze świata ciepła do świata zimna utrwaliło niczym na rzeźbie. Poprosiłem wówczas ojca, by pomógł mi pochować zwierzę. Ojciec bez słowa przyniósł łopatę i worek na śmieci, do którego zapakował truchło; następnie poszliśmy nad rzeczka, gdzie wykopaliśmy mały dół, w którym złożyliśmy szczątki nieszczęsnego maleństwa. Tak wyprawilem pierwszy w życiu pogrzeb.

Nasz pobyt u ciotki Anieli przebiegał wedle ustalonego rytmu upałów i ulew, aż pewnego dnia, w okresie, kiedy monotonia i jednostajność wydarzeń zdążyła wymazać z języka nazwy dni i sfalszować ich ślady w prowadzonej przez naszą świadomość buchalterii upływu czasu, rodzice budzili mnie w środku nocy, oznajmiając, że pora wracać. Kiedy schodziłem na dół, samochód był już załadowany, a ciotka Aniela oczekiwała, by wręczyć mi upieczone własnoręcznie, jeszcze ciepłe ciasto drożdżowe na drogę. Anna nigdy nie przychodziła, aby się z nami pożegnać.

Wszystko zmieniło się pewnego lata.

Kiedy przyjechaliśmy, ciotka Aniela siedziała w kuchni, jednakże zamiast tradycyjnego powitania, jakie zwykle następować, poinformowała nas, że przyjeżdżamy w trudnym czasie. Rychło dowiedzieliśmy się, że jakiś czas po naszym wyjeździe Anna stała się brzemienna. Nie chciała wyjawić matce, kto jest ojcem jej dziecka, ani w jakich okolicznościach zostało poczęte. Ciotka Aniela w przyływach matczynej rozpacz i wściekłości wyrzucała córce, że zapewne, biorąc pod uwagę jej sposób życia, nie pamięta ani jednego, ani drugiego. Przyjechaliśmy w czasie, kiedy można było spodziewać się rozwiązania. Anna kryła się w swoim pokoju, a kiedy w końcu ją ujrzelśmy, z trudem udało się nam ją rozpoznać. Brzuch, w którym nosiła dziecko, był olbrzymi, nabrzmiały, znaczony żyłami i pręgami rozstępów. Jej piersi jeszcze bardziej zyskały na masywności, rozlewając się na boki, a szerokie biodra opierały się na potężnych udach, na które, podobnie jak i na łydki, wystąpiły siateczki i guzki żył i żyłek. Największa zmiana dotknęła jednak jej twarzy – opuchniętej, przeraźliwie zmęczonej i smutnej. Kiedy moja matka podeszła do niej, aby ją przytulić, Anna powiedziała: „Nawet nie wiem, czy żyje. Rośnie, ale nie czuję żadnych ruchów. Bardzo się o nie boję”. Po czym, rozplakawszy się w ramionach mojej matki, objęła dłońmi brzuch.

Obserwowałem je, pełen zmieszania, współczucia i jakiegoś bolesnego zawodu, jaki sprawił mi jej widok.

Staraliśmy się nie przeszkadzać naszym pobytom, a nawet – w miarę możliwości – pomóc. Matka przesiadywała całymi dniami z Anną, a ojciec co chwila wyruszał po coś do miasta. Ciotka Aniela przygotowywała posiłki i sprzątała dom. Kilkakrotnie zapytałem, czy mogę się na coś przydać, ale za każdym razem mówiono mi, abym starał się przede wszystkim nie przeszkadzać. W taki sposób, odcięty od spajających rodzinę powinności, oddawałem się temu, do czego przywykłem najbardziej – peregrynacjom po wielopiętrowym

labiryncie domu, leniwemu przesiadywaniu w ogrodzie, marzeniom i majakom oraz snom, w które uciekałem przed upałem.

Jednej nocy zbudził mnie krzyk. Pamiętam, że wyrwany ze snu natychmiast zerwałem się z łóżka i wybiegłem na korytarz, wiedziony jakimś dziwacznym instynktem ku miejscu, z którego dochodził wrzask. Światło, choć nieoczekiwanie włączone w całym korytarzu, zdawało się zbyt słabe, panował półmrok, a ciemnozłota poświata dobywająca się z lamp z trudem przebijała się przez gęstwą ciemności, które owładnęły domem. Szedłem, powoli, pełen lęku, aż spotkałem ojca, którego pełna frasunku mina natychmiast zdradziła mi, że dzieje się coś dramatycznego. Oczywiście domyśliłem się natychmiast, w czym rzecz, a ojciec, jakby w odpowiedzi na niezadane pytanie, kiwnął tylko głową, mówiąc: „Tak, to już. Twoja matka i ciotka Aniela są z Anną”. Wsłuchiwaliliśmy się w rytmicznie powtarzające się krzyki, wpatrzeni w prostokąt zamkniętych drzwi, wyodrębnionych z półmroku słabym światłem lamp. Na zewnątrz kwitła gwiazdzista, upalna noc. Po pewnym czasie krzyki ustały, a po kilku minutach z pokoju wybiegła ciotka Aniela. Na ułamek sekundy udało mi się zajrzeć do środka, ale zobaczyłem jedynie moją matkę, siedzącą obok zakrwawionego łóżka, z którego zwisała bezwładnie masywna noga. Ciotka Aniela przebiegła obok nas, zasłaniając twarz, a jej plecami wstrząsały spazmy płaczu. „Zostań tutaj” – polecił mi ojciec. – „I ani waż się wchodzić do tamtego pokoju, chyba że cię poproszą” – dodał z naciskiem. Sam pobiegł za ciotką i dopadłszy do niej, objął ją ramieniem. Widziałem, że wpierw zadaje jakieś pytanie, a po chwili, z twarzą pełną bólesci, ze szklącymi się oczami, spogląda w stronę pokoju. Podejrzywałem najgorsze. Usiadłem w oknie i wbiłem spojrzenie w ciemność. W domu znów zapanowała cisza. Niebawem wróciła ciotka Aniela, niosąc czystą, białą pościel. Ojciec szedł za nią, jakby kontrolując pewność jej kroków. Kiedy ciotka zniknęła za drzwiami, zapytałem go o to, co się stało. „Dziecko jest bardzo chore” – powiedział głuchym głosem. – „Idź spać” – polecił. „Niczego nie zdziałamy, na nic się w tej chwili nie przydasz. To są bardzo trudne sprawy i bardzo bolesne. Pech chciał, że stało się to właśnie teraz. Że się w ogóle stało” – mówił, zagryzając zęby na pięści. Nagle z pokoju wyszła matka. Jej ręce i koszula nocna, w której zapewne biegła do pokoju Anny, były czerwone od krwi. Ujrzawszy mnie, uśmiechnęła się smutno i niczego nie powiedziawszy, poszła w stronę łazienki. Byłem już na tyle duży, aby wiedzieć, że chwilę po krzyku matki budzi się inny krzyk, krzyk pierwszego wejścia w świat, lecz teraz było zupełnie cicho i ta cisza oraz pełne smutku oblicza rodziny (a także krótka, rzeczowa odpowiedź ojca) przejęły mnie zgrozą. Posłuchałem rodzica i powlokłem się do swojego pokoju, jednakże dopiero nad ranem udało mi się usnąć na

chwilę; kiedy przyszło przebudzenie, oładnęło mną poczucie, że stało się właśnie coś potwornego i nieodwracalnego.

Kiedy poszedłem, spocony i rozedrgany, jakby trawiła mnie gorączka, ku pokojowi Anny, jego drzwi były zamknięte. Przy oknie stała matka. Przytuliłem się do niej. Objęła mnie, nie odwracając wzroku od zanurzonego w świetle słońca ogrodu. Widziałem, jak pod dotykem wiatru falują korony lip. „Anna i dzieciątko śpią” – powiedziała matka. „Tato mówił, że jest chore” – wyszeptałem, ledwie słyszalnie, jakby bojąc się, że zdradzam jakąś niepojętą i straszną tajemnicę, albo że łamię lojalność wobec ojca, który przekazał mi tę hiobową wieść, być może nieprzeznaczoną dla moich uszu. „Tak, synku” – potwierdziła matka. „Byłoby lepiej dla niego, gdyby nigdy się nie narodziło” – wyszeptała łamiącym się głosem. „Nigdy nie myślałam, że to poczuję, nigdy, jako kobieta, która wydała na świat dziecko, ciebie, nie pomyślałam, że to powiem, ale lepiej by było, gdyby ta istota nigdy nie zaistniała.” Spojrzałem na matkę, po jej policzku płynęły łzy. „Skoro jednak już jest wśród nas, musimy zrobić wszystko, by wspomóc to dziecko, Annę i ciotkę.” „Co mu jest?” – zapytałem, nieświadomy jeszcze niestosowności tego pytania. „To nieistotne” – powiedziała matka. „Nigdy nie będziesz go oglądać, a ono nigdy nie zobaczy ciebie ani świata na zewnątrz swojego pokoju. Nigdy nie będzie samodzielne i nigdy nie opuści tego domu.”

Następne dni i tygodnie oczekiwaliśmy pełni dziwnego, smutnego napięcia. Ciotka Aniela i matka krzątały się przy Annie i dziecku, wchodząc i wychodząc z niedostępnego mi pokoju. Jednakże w końcu nadszedł kres wakacji i musieliśmy wracać do naszego domu. Pełni lęku o dziecko, Annę i ciotkę, podróżowaliśmy w milczeniu.

Nasz pobyt u ciotki Anieli w roku następnym również przebiegł pod znakiem sezonowej pomocy. Wbrew przewidywaniom, dziecko żyło, choć wymagało ciągłej opieki. Wszystko powoli odzyskiwało swój rytm, a dom wypełniony samotnością i obezwładniającym ciepłem, niczym statek po burzy, wrócił na swój szlak leniwego dryfu. Za każdym razem przypominano mi, że pod żadnym pozorem, chyba że zostanę wyraźnie poproszony, nie mogę wchodzić do pokoju Anny i dziecka. Tak minęły te wakacje, tak mijały następne, a my – jak wszystko – zyskiwaliśmy lata.

Właśnie upływem lat i związaną z nim entropią tłumaczyłem sobie dziwaczne rozprężenie, które podówczas zaczęło ogarniać dom. Pierwsze dni naszego pobytu naznaczała bowiem jeszcze jakaś regularność, lecz szybko – niczym wspomnienie mżawki poprzedzającej upał – rozpraszała się ona pośród bałaganu obejmującego nie tylko wnętrze domu, ale i nas samych, nasze tożsamości, tak jakby niekontrolowany upływ czasu, którego

rzeka rozszczepiała się na coraz mniejsze i coraz bardziej meandrujące odnogi, pod władzą gorąca wykolejał z torów nasze osobowości, rozbijał je na różne warianty. Nasze istnienia, wyrzucone z kolein, zawrócone ze znanych ścieżek, rozpełzały się w nieprzewidywalnych kierunkach, jakby pozbawione władzy obranej niegdyś drogi, decydowały się przymierzyć jak najwięcej kostiumów i masek. Nieraz, po leniwie spędzonym dniu, kiedy budziłem się w środku nocy, przejęty poczuciem zgrozy i samotności, rozpoczynałem wędrówkę po domu, przystając zawsze na chwilę pod drzwiami Anny i dzieciątka. Za każdym razem były zamknięte i nigdy nie dało się niczego za nimi usłyszeć. Jednakże dalsze wyprawy w odległe rejony domu ujawniały mi sceny zdumiewające i gorszące. Oto w jednym z pomieszczeń, na którymś z wyższych pięter, w zapomnianym składzie pościeli, moja matka jawnie spółkuje z gromadą obcych mężczyzn. Leży bezwstydnie rozwalona, z zamkniętymi oczami, wstrząsana spazmami rozkoszy na stercie prześcieradeł i poszew, a gromada ogarniętych chucią samców próbuje zagarnąć łapczywymi, lepкими dotykami rąk, ust i członków jej ciała. Przerażony, wstrząśnięty i obrzydzony dogłębnie tym widokiem, zbiegam, by odnaleźć ojca, tego jednak nigdzie nie ma i dopiero po dłuższej chwili słyszę jego ciężkie kroki zmierzające po schodach na górę. Ojciec, cuchnący alkoholem i tytoniem, przechodzi obok, nie zwracając na mnie uwagi, po czym, wszedłszy do pierwszego otwartego pokoju, wali się z łoskotem na łóżko, zaścielone jaśniejącą w ciemnościach puszystą kołdrą i w mig zasypia, dobiwszy do portu po błędnej odysei po pijackich archipelagach. Widząc jego obojętność wybiegam, by samodzielnie przywołać matkę do porządku, ona wszelako, jak gdyby nigdy nic, siedzi już w salonie, ubrana w koszulę nocną i czyta książkę, a kiedy mnie zauważa, ze skargą w głosie narzeka, że ojciec znika na całe dni, łajdaczy się po mieście z panienkami do towarzystwa, że odrzucił ją, odepchnął i teraz pożąda już tylko młodych ciał. Kiedy oburzony jej wyznaniem wracam do pokoju, w którym zasnął ojciec, zastaję nienagannie zaścielone łóżko, a samego ojca poszukuję, podążając za brzdąkaniem gitary i rzewnego głosu, wyśpiewującego w noc pełną smutku pieśń. W końcu odnajduję ojca, w tym samym salonie, w którym przed kilkoma momentami spotkałem matkę. Siedzi przed pustym audytorium utworzonym z krzeseł, foteli i sof, i wygrywa przed niewidzialnym towarzystwem duchów pełną boleści pieśń porzuconego mężczyzny. W jej akordach i słowach nostalgia za dawnymi czasami przenika się z bólem upokorzenia, i choć nie widzę twarzy ojca, jestem pewien, że płyną po niej łzy. Poruszony, nie mogąc dłużej znieść tego żalostnego widoku, zamierzam odnaleźć matkę i zażądać wyjaśnień, jednakże ona śpi mocno w swojej sypialni, a kiedy ją z najwyższym wysiłkiem budzę, spogląda na mnie z wyrzutem. „Coś się stało, dziecko, że mnie budzisz? Zasnęłam tak dawno, tak mocno, sen był mi tak bardzo potrzebny po trudach dnia, a ty po

prostu mnie budzisz, zapewne bez wyraźnego powodu. Twój ojciec załatwia ważne sprawy w sąsiednim mieście, musiał przerwać urlop, dołączy do nas za dwa dni, w tym czasie jestem skazana na samotność i wyczerpującą pracę dla Anny i jej dziecka. Popatrz, od prania pieluch mam spękane dłonie, woda w tych stronach jest fatalna!” – mówi z półprzymkniętymi oczyma, pokazując mi w ciemnościach zmizerowane, żylaste ręce. Zdezorientowany, wybiegam, by kilka pomieszczeń dalej natknąć się na ojca, który w towarzystwie szemranej kompanii, w kłębach papierosowego dymu i oparach alkoholu, gra w karty na pieniądze, piętrzące się brudną, pomietą górą na stoliku. Kiedy podbiegam do niego i proszę, aby się opamiętał, że nie jesteśmy u siebie, by spraszać obcych, każe mi iść precz i zająć się sprawami właściwymi dla mojego wieku. Upokorzony, znów odnajduję na schodach matkę w bezwstydnie miłosnych uściskach z jakimś obcym mężczyzną. Matka, przyłapana in flagranti, głosem ciężkim od bólu mówi, abym nie patrzył na nią z takim wyrzutem, gdyż ojciec lata temu, tuż po moich narodzinach, wzgardził nią, a ona przecież nie jest jeszcze taka stara i ma jeszcze prawo do tego, by czuć się pożądaną przez mężczyznę. Jej adorator nie zwraca na mnie uwagi, skoncentrowany na rytmicznych ruchach lędźwi.

Odchodzę bez słowa i kiedy wkraczam w korytarz wiodący obok pokoju Anny, widzę ją, jak wychodzi, starając się zachować ciszę, i zamyka za sobą drzwi. Kiedy mnie zauważa, zbliża się, czuję od niej ten sam co niegdyś zapach. Chwyta mnie za rękę i gdzieś prowadzi, przemierzamy bez słowa korytarze, a ja, wpatrując się w jej rozkołysane biodra, znów odczuwam to dziwne drżenie całego ciała. Wchodzimy po kolejnych schodach, mijamy otwarte drzwi, w których rozgrywają się sceny, na które nie mogę patrzeć bez niepokoju – w jednym z pokoiów dostrzegam ciotkę Anielę w jej szarym fartuchu, grającą samotnie w klasy, w innym udający psy dziwaczni ludzie, których twarze wydają mi się w jakiś sposób znajome, szarpią między sobą trzymaną w zębach nogę lalki, w dziwacznej parodii psiej walki o kość, jeszcze gdzie indziej dostrzegam liczne manekiny o sylwetkach i obliczach przypominających moich rodziców. Wchodzimy na strych, stamtąd, przebiwszy się przez tumany kurzu, przedarłszy się przez sterty gratów – szkielety mebli, trupy szaf, stopy popękanych zastaw i zaśnieżonych sztućców – wydostajemy się na dach. Droga przez brud i zapomnienie, parodia wniebowstąpienia, staje się dla mnie fascynującą przygodą, gdy Anna pokazuje mi rozświetloną, rozległą panoramę miasta, w którym znajduje się jej dom, a którego to miasta nigdy nie oglądałem, zawsze spędzając wakacje pośród ścian, w granicach wyznaczanych przez blaszany płot i rzeczkę. „Kiedyś to miasto było moim prawdziwym domem, było moim przyjacielem i kochankiem” – mówi do mnie. „Ale jego bezkształt zapłodnił mnie innym bezkształtem, któremu musiałam poświęcić życie. Takie są koleje losu.

Karmię dziecko tego miasta, moje piersi pełne mleka tłoczą w nie życie, a ono budzi się i zasypia, świadome własnej inności. Opowiadam mu historie z życia rodziny, opowiadam mu bajki, które pamiętam, opowiadam mu o ludziach, których kiedyś poznałam. Dzięki temu, kiedy nas zabraknie, kiedy zostanie mu odebrana nasza miłość, tak jak odebrano mu zdrowie, będzie miało do dyspozycji cały budulec postaci i zdarzeń, by ulepić z nich własny świat, w oczekiwaniu na wyzwolenie z koszmaru ciała, w jaki wśnił go jego stwórca. Teraz jestem samotna i spragniona tego, co bezpowrotnie utraciłam wraz z jego narodzinami, możesz więc spełnić swoje dawne marzenie, jesteśmy sami, nikt niczego nie zobaczy i o niczym się nie dowie.”

Zapadam się więc w nią, w jej ciepłą miękkość i zapach, owiewa nas chłodny, nocny wiatr, jednakże gdy zamykam oczy i po chwili je otwieram, widzę nie Annę, nie nocną panoramę miasta, ale własny pokój i duszący mnie zwał przepoconej pościeli, w którą zakopałem się pomimo gorąca. Odurzony jeszcze snem, wychodzę z pokoju, ku nieśmiałej poświacie nadciągającego poranka i wsłuchuję się w ciszę domu. Otwieram sypialnię rodziców, ale ich nie ma. Czy wyszli tak wcześnie? Czy jeszcze nie wrócili? Snuję się po ciemnym labiryncie, ze snem, który jeszcze nie do końca spełzył z moich oczu, jeszcze nie do końca ulotnił się z moich żył, i znajduję rozrzucone wszędzie części garderoby, bibeloty, książki i narzędzia. Dostrzegam ciotkę Anielę, przysypiającą na krześle w kuchni, niczym kukłę bezwładną, posadzoną tam przez kogoś obcego, a kiedy wracam stamtąd do siebie, w nadziei na zapadnięcie z powrotem w sen, widzę matkę i ojca, chichoczących jak dzieci, zakonspirowanych w składziku mioteł, oddanych lubieżnej zabawie. Widok ich ciał, zjednoczonych ze sobą, ich ciał radosnych, napawa mnie po koszmarach nocnych dziwnym spokojem, choć wcale nie jestem pewien, że i teraz nie śpię i że ten dobry znak ich jedności nie wyewoluuje zaraz w coś złowieszczonego. Jakże bowiem inaczej sądzić, jakże uwolnić się od tego typu obaw, jeżeli zwyczajowa naprzemiennosc upadków w czas i upadków w sen zostaje zawieszona, w pewnym sensie anulowana, bezwzględnie wyszydzona i odstawiona w odległy kąt na pośmiewisko? Przebudzenie po przebudzeniu, sen we śnie we śnie, martwe tarcze zegarów lub wskazówki odwracające swój bieg, śródnocne eskapady w jakiś wariant przytomności i śródziemne rejterady w obszary pewnego rodzaju nieprzytomności, które w istocie niczym się od siebie nie różnią, są niczym bliźniacy bawiący się z otoczeniem w wielopiętrowe *qui pro quo*, wznoszący dziwaczne konstrukcje, których szkieletem jest kłamstwo, a ciałem zmyślenie. Czy mogłem sądzić inaczej, jeżeli poszukując pewnego dnia rodziców pytałem o nich ciotkę Anielę, a ta mówiła, że już dawno wyjechali do domu i zostawili mnie na cały rok, bym pomagał przy dziecku? Zdumiony tą zdradą biegłem do ich

pokoju, by po drodze natknąć się na wracającą z kąpeli Annę. Kiedy próbuję dotknąć jej ramienia, spada okrywający ją ręcznik, odsłaniając jeszcze mokre plecy i szerokie pośladki. Anna w tej samej chwili skręca do któregoś z pokoi. Odczytuję to jako zaproszenie i podążam za nią, ale kiedy wkraczam w otworzoną jej ręką przestrzeń, nie widzę nikogo, jedynie drobiny kurzu tańczące w przenikających przez klapy okienne promieniach słońca. Zdezorientowany wychodzę i spotykam rodziców, a gdy pytam ich, czy widzieli Annę, mówią z boleścią w głosach, że przecież Anna zmarła lata temu przy narodzinach dziecka. Wówczas domagam się wyjaśnień, dlaczego mnie zostawili – zaprzeczają wszystkiemu, twierdząc, że cały nasz przyjazd zorganizowany jest po to, by wesprzeć ciotkę Anielę, samotnie wychowującą kalekie dziecko jej zmarłej córki. „Nigdy cię nie zostawiliśmy, po prostu pojechaliśmy do sklepu, by kupić artykuły higieniczne i ten stelaż kąpielowy, by można było bezpiecznie myć dziecko” – tłumaczą.

Uwięźli w niemożliwych do rozstrzygnięcia pytaniach i wątpliwościach, poddawałem się im, dając ponieść się snom, dając ponieść się przeobrażeniom, wariantom, przekształceniom. Stawałem się nastolatkiem, by po chwili obudzić się dzieckiem, by za moment stać się dorosłym, gdy w tym czasie moi rodzice, ciotka Aniela i Anna – żyjąca czy nie – również przechodzili, bez żadnego porządku, przez wszelkie swoje przeszłe i przyszłe wcielenia, przeglądając wszelkie role i kostiumy, jakie czas przygotował dla nich w przeszłości i na przyszłość, role i kostiumy rzeczywiste oraz spekulatywne, niczym pewne możliwości, bez szans na ucieleśnienie. Przechodziliśmy nawet przez kostiumy istnienia i nieistnienia, w które oblekały się fantomy naszych bytów, śnione przez kogoś innego. I temu samemu prawu, temu samemu mechanizmowi podlegały także inne, coraz częściej pojawiające się, dziwne osoby, których nigdy nie widziałem – obce, ale w jakiś sposób znajome, żywe, ale jakby wycięte z gazetowego zdjęcia, płaskie, półprzezroczyste, uwikłane w groteskowy taniec i teatr, zrównane prawami z naszą rodziną. Zasiadały z nami przy obiedzie, zasypiały w naszych łóżkach, oddawały się grom i zabawom w ogrodzie, rozmawialiśmy z nimi, śpiewaliśmy pieśni, nigdy nie zapoznani, a jednak znajomi. Nigdy nie mogliśmy uchwycić momentu ich przybycia, pojawiali się nagle, ale jednocześnie byliśmy przekonani, że są z nami od zawsze.

Tylko jedna rzecz nigdy się nie zmieniła: nigdy nie było mi dane wejść do pokoju Anny i dziecka; pokoju, który wraz z upływem lat przesuwiał się w wewnętrznej strukturze domu coraz głębiej, coraz bardziej ku środkowi, obrastając coraz grubszą warstwą nowych korytarzy, nieistniejących wcześniej pokoi, klatek schodowych i schowków, wykwitających w wewnętrznej topografii domu niczym kolejne guzy, przerzuty nowotworu.

Ten chaos zagęszczał się, wyrodniał coraz bardziej, aż w końcu, niczym orzeźwienie, przychodził czas powrotu, czas podróży, która wracała nas do rzeczywistości i do prawidłowego jakiegokolwiek porządku.

Nasze wyjazdy ustały nagle. Pewnego letniego dnia, kiedy już zdawało się, że będziemy szykować się do drogi, ojciec oznajmił, że nigdy więcej nie pojedziemy do ciotki Anieli. Nie chciał podać mi żadnych bardziej szczegółowych informacji, widziałem jednak, że rzeczywisty powód tej decyzji był dlań i dla matki niezwykle bolesny. Ojciec wyjechał wtedy na kilka dni, a kiedy wrócił, już nigdy nie wracaliśmy do tego tematu. Usiłowałem domyślić się powodów tego zdarzenia, jednakże wszystkie domniemania i podejrzenia zlewały się w gęstą mgłę, pełną sprzeczności i oczywistych nonsensów. Szybko przestałem się tym przejmować, albowiem moje życie stało się już u progu dojrzałości i wnet pochłonęły mnie inne sprawy.

Do domu ciotki Anieli wróciłem wiele dziesięcioleci później, otrzymawszy po śmierci matki (ojciec zginął wcześniej, w wypadku samochodowym) informacje, że odziedziczyłem po niej dom. Jak się okazało, tamtego lata, gdy oznajmiono mi, że nigdy więcej nie pojedziemy na nasze wakacje, zmarła ciotka Aniela. Jej śmierć odkryto przypadkiem, gdy do domu weszli konserwatorzy z pogotowia gazowego. Zaniepokojeni brakiem odzewu ze strony właścicielki oraz ryzykiem katastrofy, włamali się na teren posesji i przedarłszy się przez zapuszczony ogród, dostali się do domu i odkryli w nim zwłoki starej kobiety. Stan rozkładu wskazywał, że zmarła wiele miesięcy wcześniej. Moja matka odziedziczyła posiadłość, lecz nigdy nie chciała do niej pojechać, a wszystkie pytania z tym związane stały się tabu. Natychmiast opadła mnie myśl o dziecku, które, bezradne, kalekie, niezdolne nawet do krzyku, pewnego dnia zostało samo w wielkim, opuszczonym przez wszystkich domu, skazane na powolne umieranie.

Jednakże moje prywatne śledztwo wykazało rzecz przedziwną: nigdy nie odkryto w budynku żadnych innych zwłok. Nie znaleziono żadnego innego ciała. Mój ojciec, którego matka upoważniła do uregulowania spraw związanych ze śmiercią ciotki Anieli i domem, nie natrafił nigdy na ślad dziecka i tego, co się z nim stało.

I kiedy sam tam pojechałem, przemierzając cały kraj, kiedy stałem się pierwszym po dziesięcioleciach człowiekiem, który wszedł do tamtego domu, kiedy wkroczyłem na powrót w jego próg – w jego zdewastowane, zapomniane wnętrza, pochłonięte rozpadem, w to

przerazająco smutne muzeum mojej młodości i dojrzwania, natychmiast skierowałem się do miejsca, gdzie niegdyś był pokój Anny i jej dziecka. W końcu mogłem tam wejść, po raz pierwszy w życiu.

Pamiętam, że wewnątrz znalazłem, obok zdewastowanych, rozpadłych ze starości mebli, stalowy szkielet dziwnego łóżeczka i pozostałości licznych przedmiotów, których przeznaczenia nie potrafiłem się domyślić. W resztkach komody znajdował się album, pełen ledwo zachowanych, rozpadających się zdjęć. Na kilku z nich uwieczniono dziecko. Trudno było określić jego płeć. Nigdy nie przypuszczałem, że ludzką istotę może dotknąć aż tyle deformacji i zniekształceń, w pierwszej chwili byłem wręcz pewien, że te bezkształtne plamy rozlewające się w kadrze są wynikiem błędu taśmy filmowej, kłębowiskiem barw wynikłym z jakiejś reakcji chemicznej. Dopiero kolejne zdjęcia ukazały mi prawdę, a w zasadzie potwierdziły ją. Urodzone przez Annę dziecko wyglądało, jakby przyszło na świat bez szkieletu – jako bezwładny skórzasty worek pełen mięsa. Jego spłaszczona, powykrzywiana głowa spoglądała w obiektyw czarnymi, asymetrycznie rozłożonymi oczami, pełnymi najbardziej wstrząsającego, przytłaczającego smutku, a usta – równie bezkształtne – przypominały szarpaną ranę pełną dziwnych, różnokształtnych zębów. Zrozumiałem, dlaczego ciotka Aniela ukryła je przed światem. Te zdjęcia i pozostałości dziwnych sprzętów były wszakże jedynym śladem jego bytności w tym domu. „Nigdy nie znaleziono żadnego innego ciała” – przypomniałem sobie.

Znalazłem jedynie zetlałe, papierowe figurki, na które ktoś nakleił wycięte ze zdjęć twarze naszej rodziny – moją, rodziców, Anny, ciotki Anieli i nigdy niewidzianych i niepoznanych przeze mnie ludzi, w jakiś sposób przypominających tych, którzy zagnieździłi się w domu podczas dziwnych przekształceń i mutacji rzeczywistości, których doświadczałem przed laty. Wiedziałem, że te figurki były zapewne jedynymi zabawkami dziecka.

Wyjrzałem przez okno jego dawnego pokoju. Wychodziło na opadający ku rzeczce ogród, teraz zarośnięty, zupełnie zdziczały. W oddali ściana drzew po drugiej stronie leniwego nurtu wciąż rozrastała się monolitycznie, zapewne jeszcze wyżej i jeszcze gęściej niż wówczas.

Być może, pewnego dnia, po latach najdotkliwszej samotności, kiedy nieotwierane od lat drzwi jego pokoju zrosły się z framugą, zebrał się w sobie i wykorzystując swoją amorficzność, niczym bezkost, zdołał wydostać się na zewnątrz przez którąś ze szczelin, przepelznąć przez ogród i wraz z gęstą, cuchnącą wodą granicznej rzeki popłynąć w świat, który nigdy nie był mu przeznaczony.

A być może wszystkie tamte lata, zwłaszcza te dziwaczne, pełne obezwładniającego gorąca, były niczym więcej niż snem, który, otwierając przed nami kolejne misternie rzeźbione szkatułki, inkrustowane odblaskami słońca i iskrzeniem gwiazd na nocnym nieboskłonie, sugerował nam swoją ostateczną bezdenność, pełną kojącego chłodu i spokoju. Być może były snem dziecka, snem małego, samotnego, kalekiego demiurga, który, nie mogąc zstąpić w pełni w nasz świat, postanowił prześnić go na swoją modłę. Być może ono samo nigdy nie istniało, nie zaistniało w pełni, przyobleczone w niedokończoną formę, niczym przerośnięte, lejące się ciasto, którego nie uformowano w żaden przyjęty kształt. Nie mogąc osobiście uczestniczyć w karnawale istnienia, wyśniło samo siebie oraz to wszystko, co nigdy nie mogło być mu dane. I kiedy ostatecznie zabrakło mu kamyków, z których układałoby figury osób i zdarzeń, zrezygnowane, niemogące w pełni zrozumieć cierpienia, jakim go obarczono, rozwiało się, rozmyło, przemieniwszy w tańczący w słońcu kurz, jak wspomnienie po tym, czego nigdy nie było.

rys. Roman Panasiuk



SPIRALA

Piotr Borowiec

Naprawdę chcecie wiedzieć?

Napiszę wam wszystko, korzystając z tego, iż mam władzę przynajmniej w prawej ręce. Nie jestem w stanie chodzić, mówić, większość ciała została sparaliżowana. Kula przeszła przez rdzeń kręgowy, lecz jedynie naruszyła go, nie przerwała. Uszkodziła tkanki, zrywając połączenia układu nerwowego, pozmieniała neurony spotkane po drodze w miazgę. Prawie udana próba samobójcza. Przeprowadzona prawidłowo, włożyłem lufę w usta, wepchnąłem głęboko, nie przejmując się smrodem smaru i tym, że metal rani dziąsła. Kilka

minut wcześniej widziałem, jak w ten sam sposób odebrał sobie życie Marek. Nadzwyczajnie udana próba samobójcza. Nacisnął spust, huk wstrząsnął szybami zaniedbanego domu, na tapecie za moim przyjacielem... moim byłym przyjacielem rozkwitł bordowy kwiat. Nie, makabryczny znak nie przypominał kwiatu. Krew, odłamki kości i mózgu nie ułożyły się w płatki, lecz w kształt, który przypominał mi spiralę. W jej centrum tkwił kilkugramowy kawałek ołowiu, który uwolnił Marka od przekleństwa. Albo od konieczności przekazania przekleństwa komuś innemu.

Tak to się dla niego skończyło; tak, jak dla nas wszystkich zaczęło – prostym, znanym wszystkim znakiem. Coś wręcz trywialnego, kojarzącego się ze banalnymi przedmiotami: sprężyną, wirem, muszlą bezkręgowca, jest w istocie najstraszniejszym symbolem, kryje się za nim wszystko. Dosłownie WSZYSTKO. Jest bramą, jest kluczem, jest warunkiem sine qua non osiągnięcia wiedzy absolutnej. Nie do zniesienia.

Dzwoniąc do mnie, Marek znał przyszłość, musiał mieć świadomość, że wybierając się do niego, wezmę broń. Wiedział, że przyjadę. Wiedział, co się zdarzy, albo się zdarzyć może, jakie są prawdopodobne drogi rozwoju sytuacji, albo jaki jest jej jedyny możliwy finał. Który z punktów na płaskiej krzywej jest bliżej centrum.

– Paweł... przyjedź. Musisz mi pomóc to skończyć – niewyraźny głos w słuchawce telefonu. Oblęd i rany uniemożliwiały Markowi prawidłowe artykułowanie słów.

– Nie.

– Znam sposoby, by cię zmusić.

– Znasz, to fakt, ale niekoniecznie jesteś w stanie. Nie przyjadę.

– Przyjedziesz, też chcesz to zakończyć albo rozpocząć na nowo. Wcale nie czujesz się dobrze. Prawda?

Marek właśnie tym skłonił mnie do przyjazdu: obietnicą, że skończymy to razem. Gdy już otwierałem samochód, cofnąłem się i wszedłem z powrotem do domu. Broń ukrywałem w sejfie, w którym oprócz pistoletu i amunicji nie chowałem nic wartościowego. Zabezpieczonego glocka wetknąłem za pasek od spodni.

Dwie godziny później zaparkowałem przed brzydkim, piętrowym budynkiem w małej wsi pod Krakowem. Ja wychowałem się dwie ulice dalej, tkwiłem w tej cholernej dziurze do rozpoczęcia studiów dziennikarskich. Podobnie jak Marek, który powrócił tu, gdy został wypisany ze szpitala, a oblęd zniszczył jakiegokolwiek szanse na normalne funkcjonowanie. W jego domu rodzinnym wówczas mieszkała tylko siostra. Wyprowadziła się, zapłakana, niesiona histerią oraz poczuciem winy, po tym, jak brat powiedział dziewczynie, że zna szczegóły śmierci matki. Opisał wszystko dokładnie, spokojnym i cichym głosem człowieka,

który nie ma pretensji. Staruszka ciężko chorowała, leki tanie nie są, ani opieka prosta. Pewnego wieczoru Marzenka po prostu nie podała wszystkich tabletek. Nikt tego dokładnie nie sprawdzał, wszyscy uznali zgon za naturalną śmierć po wieloletniej walce o następny dzień życia.

Oczywiście, Marek zrobił to celowo. Zdawał sobie sprawę, że Marzena nie będzie w stanie mieszkać z kimś, kto ma świadomość, jak bardzo pragnęła śmierci matki. Chciał być sam i został tu sam, w niszczącym domu, razem ze swoją wiedzą.

Wszedłem nie pukając, od razu skierowałem się szybkim krokiem na piętro. W domu potwornie śmierdziało, odór świadczył o tym, że jedyny lokator nie przejmuje się zmianą pościeli, splukiwaniem toalety czy gnijącą żywnością w lodówce. Marek siedział w swoim pokoju, wpatrując się przez okno w rozgwieżdżone niebo. Od tygodni nie wstał z tego miejsca. Palce kurczowo zaciśnięte na poręczy fotela, wzrok wbity w szybę, uporczywa, bezsensowna walka, aby odsunąć od siebie to wszystko, co wiedział.

A wiedział wszystko.

– Daj mi broń. – Nie przywitał się, w żaden sposób nie skomentował mojego przybycia, nawet nie drgnął. Od razu przeszedł do konkretów.

– Marek...

– Co, będziesz mnie przekonywał, że życie ma sens? Uwierz mi, nie ma. Kogoś, kto wie wszystko, nie można przekonać do niczego. Prawda? I powiem ci coś jeszcze, coś o tobie...

Przerwał, aby z trudem wstać. Odwrócił się do mnie, w świetle latarni wyraźnie zobaczyłem jego twarz. Od czoła aż po podbródek biegły różowe blizny. Ostrze noża odcięło spory kawałek małżowiny usznej i nosa, uszkodziło jedno z oczu, porozcinało wargi. Lekarze uznali, że autoagresja jest jednym z objawów postępującej schizofrenii. Prawda jest trochę bardziej skomplikowana.

– Otóż, Pawle, przyjechałeś do mnie, mając nadzieję, że powiem ci, gdzie jest księga. Z drugiej strony, rozważasz też pożegnanie się z życiem. Tak jak Moszczyński. Tęsknisz za absolutną wiedzą, zdając sobie sprawę, jaka jest nieznosna. Teraz masz poczucie, że jesteś nikim i niczym, jak wszyscy ludzie na świecie. Chcesz zrobić to co ja, albo jeszcze raz wypowiedzieć zaklęcie i poczuć się... poczuć, że jesteś jak wszystkie wszechświaty. Przypomnieć sobie. Gdy byłeś na moim miejscu, to modliłeś się, aby ktoś zdjął z ciebie przekleństwo. Gdy tak się stało, zdałeś sobie sprawę, jak beznadziejnie nudna jest normalność.

– Zanim strzelisz sobie w łeb, powiesz mi, co wybiorę? – Położyłem broń na stole przed nim.

– Obie rzeczy: być jak bóg-idiota oraz umrzeć. „Księga Spirali” jest w piwnicy.

Szybko podniósł broń, wepchnął w usta i nacisnął spust. Gdy ciało upadło na podłogę, ja odwróciłem się i zszedłem na dół, do piwnicy.

W ciemnym pomieszczeniu zapach spalenizny przytłumił smród rozkładu. Nie musiałem długo szukać, to, co zostało z książki, znalazłem zaraz przy schodach. Ogień strawił prawie wszystko oprócz skórzanej oprawy i karty tytułowej, na której kamień litograficzny odbił symbol spirali. Nie będę w stanie nic odczytać, a co gorsza, nie pamiętałem zaklęcia.

Sukinsyn.

Miał rację, wybrałem obie rzeczy, lecz obu nie otrzymałem. Sąsiedzi, zaalarmowani hukiem wystrzałów, wezwali policję. Funkcjonariusze udzielili mi pierwszej pomocy, błyskawicznie przetransportowali do szpitala. Przytomność odzyskałem kilka dni później.

Próbowali mnie przesłuchiwać. Pytali się i oczekiwali odpowiedzi na piśmie, skoro nie potrafię mówić. Proszę opisać wydarzenia, jakie poprzedziły wypadek? Czy nakłaniał pan denata do samobójstwa? Jaki był jego stan psychiczny w momencie zdarzenia?

Rozumiem, w przypadku samobójstwa prokuratura musi sprawdzić, czy nie doszło do przestępstwa nakłaniania lub ułatwiania targnięcia się na życie. Rutyna i standardowe procedury, a przy tym idiotyzm. Absurdalność tych pytań wynika chociażby z informacji zawartych w naszych kartach chorobowych. Były lekarz i były dziennikarz, z problemami psychiatrycznymi, ze skłonnościami do autoagresji. A zblazowana pani prokurator pytała się, w jakim znajdowaliśmy się stanie psychicznym.

Nic im nie napisałem. Jednak, gdy prawniczka odwiedziła mnie ostatni raz, tylko po to, aby życzyć szybkiego powrotu do zdrowia oraz poinformować mnie, że nie znalazła podstaw do wszczęcia postępowania karnego, uznałem opisanie wszystkiego za dobry pomysł. Spisać to, co przeżyłem. Może dzięki temu będę w stanie przypomnieć sobie tekst zaklęcia. Inwokacja to tylko konwenans, nieistotny element rytuału. Liczy się tylko tych kilkanaście sylab, które wypowiem, stojąc w środku narysowanej spirali.

Chciałbym poczuć to jeszcze raz, zrozumieć wszystko, znać każdą przyczynę i każdy skutek. My potrzebujemy WIEDZIEĆ, ta potrzeba, silniejsza niż u innych ludzi powodowała,

że wybraliśmy taką, a nie inną drogę życia: ja, Marek i Moszczyński. Dziennikarz, doktor nauk medycznych i historyk.

Z tym, że Marek przeżył to najgorzej. Jego szaleństwo było najgwałtowniejsze, najbardziej destruktywne, najszybciej też stracił kontrolę nad sobą. Już w dwa tygodnie po tym, jak dostał księgę, zniszczył wszystko wokoło. Spotkałem wtedy jego kolegę ze szpitala, tamtejszego kapelana, który opowiedział mi, co się stało. Szedłem przez zatopiony w wiosennym słońcu Kraków. Spacerowałem po prostu, szczęśliwy i spokojny, mijałem ludzi, nie znając ich przeszłości, patrzyłem się na budynki, nie znając ich historii, pokonywałem kolejne metry, nie zdając sobie sprawy, kto szedł przede mną i kto pójdzie po mnie. Zwykły człowiek, wolny od nieskończonej ilości informacji, w tym wielu takich, których nie powinien posiadać nikt. Naprawdę, nikt. Tęsknić za tym zacząłem później, a w tamtej chwili czułem jedynie ulgę.

Ksiądz szedł z naprzeciwka, nie zauważyłem go w tłumie anonimowych już dla mnie ludzi. Gdybym rozpoznał go wcześniej, przeszedłbym na drugą stronę ulicy, odwrócił się, uciekł jakoś.

– Och, pan Paweł! Dobrze, naprawdę dobrze, że pana spotkałem!

Przyjrzałem mu się zdziwiony. Łysa czaszka, z naciągniętą na nią, pomarszczoną ze starości skórą. Spod siwych brwi patrzyły się na mnie zmęczone oczy mądrego puchacza. Nawet w tamtej chwili myślałem, że gdyby dalej spoczywało na mnie przekleństwo boga-
-idioty, to wiedziałbym o spotkanej osobie wszystko. A tak nie potrafiłem sobie przypomnieć, gdzie już go widziałem.

– Tak, no tak, nie pamięta pan naszego spotkania. Cóż, kilka razy odwiedził pan naszego przyjaciela Marka Mikołajczyka u nas w szpitalu. Kojarzy już mnie pan?

Kojarzyłem, jasne, lecz w tej chwili nie miało to większego znaczenia. Usłyszałem nazwisko człowieka, który przeze mnie oszalał albo wkrótce oszaleje. Z początku nie chciałem słuchać tego, co stary ksiądz ma do powiedzenia. Poczułem się zbity z tropu i zdezorientowany, nie miałem pojęcia, co robić. Zignorować go i odejść? Zaprzeczyć, „proszę księdza, to jakaś pomyłka”? Więc stałem i słuchałem. A może chciałem poznać konsekwencje swoich czynów? Nieważne, kapłan mówił dalej:

– Z naszym przyjacielem dzieje się coś niedobrego. Nie chcę używać poważnie brzmiących słów ani stawiać diagnoz, do których nie jestem upoważniony, jednak, wie pan, Marek albo oszalał... albo, cóż....

Albo został opętany, dokończyłem w myślach.

– Przykro mi, to straszne – tyle mniej więcej zdołałem wykrztusić.

– Naprawdę! Od tygodnia nie pojawił się w pracy. Wcześniej, przez kilka dni zachowywał się dziwnie. Tak nagle, nic wcześniej nie wskazywało, że ma... cóż... problemy. W szpitalu albo nie odzywał się, albo mówił ludziom rzeczy bardzo nieprzyjemne. Odmawiał podejmowania obowiązków, twierdząc, że nie ma sensu leczyć pacjentów, skoro i tak umrą, a on wie kiedy. Kilka razy zarzucił kolegom kłamstwo, słysząc ich rozmowy. Jakieś drobne sprawy, zupełnie Marka niedotyczące. Nie potrafił skoncentrować się na najprostszych czynnościach, sprawiał wrażenie albo totalnie nieobecnego... albo... jakby to powiedzieć. Wręcz odwrotnie. Najgorzej to ostatniego dnia, ordynator chciał już kogoś wezwać... wie pan, z oddziału psychiatryczno-neurologicznego.

Ksiądz przerwał na chwilę swoją opowieść. Westchnął, prawą rękę przyłożył do karku, aby poluzować sztywną koloratkę. Uświadomiłem sobie, że nie odejdę od niego, nie ucieknę pod byle pretekstem. I tu nie chodziło o mojego następcę, o nie. Chodziło mi o mnie.

Bo widzicie, cholera, ja prawie nic nie pamiętam.

– No więc, wie pan... on przyszedł do pracy w złym stanie. To znaczy, źle wyglądał. Nieogolony, brudny, w nieświeżych ubraniach. Mamrotał coś pod nosem, nie zwracał uwagi na polecenia ani na pytania. Chyba próbował, jakoś... nie wiem... zwalczyć to, co się z nim działo. Nie był jednak w stanie podjąć obowiązków. Po godzinie bezsensownego włączenia się po szpitalu, stanął przy oknie na klatce schodowej i po prostu patrzył się przez nie. Mamrotał coś do siebie. Ordynator, Michalski, nie chciał robić zamieszania, wie pan, to oddział geriatryczny. Nie chciał wzywać pielęgniarzy ani wszczynać procedury przymusowego badania psychiatrycznego, tym bardziej, że w sumie nie stwierdziliśmy, że... że chory stwarza jakieś niebezpieczeństwo. Ja z nim zawsze dużo rozmawiałem... bo, wie pan, przecież Marek to bardzo wierzący człowiek. No więc doktor Michalski poprosił mnie, abym to ja porozmawiał z Markiem. Podszedłem, próbowałem zagadać. On mówił do siebie, jakieś dziwne rzeczy, bardzo chaotyczne.

Ksiądz kolejny raz przerwał, poprawił znowu koloratkę, przetarł spocone czoło. Wykorzystałem sekundę ciszy, aby zadać pytanie:

– Co mówił? – Głos mi drżał z ciekawości i niepokoju. Pomyślałem, że jeśli usłyszę dokładnie, jak wyglądają objawy przekleństwa, może zacznę sobie przypominać to, co wiedziałem. Chociażby ułamek.

– Cóż, ja bym to nazwał bełkotem... wtedy... bo potem... No nieważne. Mówił o tym, co widzi, może myśli, a może wie. Strasznie chaotycznie. O ludziach, o zdarzeniach o przyszłości. Bardzo szybko wypowiadał słowa, tak na zasadzie skojarzeń. Abstrakcyjnych, ale niezwykle... niepokojących. Zwrócił na mnie uwagę dopiero za trzecim razem, gdy go

zawołałem. Odwrócił się do mnie i mówi: „Ty! To ty! Jesteś bardzo ważnym punktem na spirali! To już nie może być księga”. Poprosiłem, czy nie mógłbym go odwiedzić do domu, tam byśmy porozmawiali. On po prostu wyszedł i... teraz jest w szpitalu.

– Co się stało? – spytałem już bardzo opanowanym głosem. Kapłan, zanim odpowiedział, pokiwał powoli głową.

– Taaak... odwiedziłem Marka pięć dni później. Gdy zobaczyłem go w drzwiach... to niewyobrażalne! Nie do opisania. On okaleczył sobie twarz, przyjął mnie zakrwawiony, z policzkami i ustami zmasakrowanymi czymś ostrym. Ja oniemiałem. On był taki spokojny, panie Pawle, taki spokojny! Otworzył mi drzwi i wpuścił do środka. I zaczął mówić. Wyjaśnił, że nabył wiedzę, nieludzką i ponad pojęcie. Ból i rany miały mu pomóc, jak to mówił, utrzymać się na powierzchni. Nie pogrążyć się w nieskończonej otchłani informacji, bo instrumenty do ich przetwarzania są jak najbardziej ludzkie. Postukał się w głowę. A potem mi powiedział, że jestem już niepotrzebny i żebym się wynosił.

A więc jednak. Strzępy wspomnień tych dni, to, jak zabrali mnie wtedy na pogotowie. Psychiatra. Histeria Emilii, mojej byłej żony. Co ja jej powiedziałem? Co zrobiłem? Czego miałem świadomość? My naprawdę szalejemy, jeśli jesteśmy obarczeni przekleństwem. Umysł jest jak puste naczynie, ta wiedza jak cały ocean. Jeśli próbować wlać ocen do wiadra, to drugie zawsze pęknie. Raczej prędzej niż później.

– On po prostu jest chory, proszę...

– Nie. – Kapłan po raz kolejny pokiwał głową. – To coś więcej. Bo wie pan, ja poszedłem na pogotowie. Wróciłem z sanitariuszami. Przyszliśmy po niego, on się nie opierał. Spokojny, tak jak poprzednio. I powiedział mi coś na odchodnym. Dwie sprawy. Po pierwsze, że wtedy, w czerwcu, gdy odwiedziłem Bazylikę Grobu Świętego w Jerozolimie, i miałem kryzys wiary, to miałem rację. Boga nie ma, a ja służę ogłupianiu ludzi. Po drugie... on powiedział mi, że siostra w szpitalu bardzo chciała, żebym przyszedł i faktycznie, wściekła się na mnie, że musi umierać sama. Rozumie pan, co to oznacza?

To oznacza, że otrzymałem kolejny dowód na to, że przez pewien czas faktycznie ciążyło na mnie przekleństwo, które przeszło na mojego przyjaciela. Nic mi to nie dawało, nawet okruchy tego, co poznałem wcześniej, nie chciały do mnie wracać.

– To jest jakaś siła nieczysta. Ja nigdy, powtarzam, nigdy nie dzieliłem się z nikim, nawet ze spowiednikiem tymi wątpliwościami. I powiem panu coś, o czym myślałem ostatnio. Pan również miał problemy, prawda? Załamanie nerwowe, żona odeszła. A objawy tego załamania, z tego, co mi powiedziano, były podobne co u Marka. A teraz on... to samo przechodzi. I tak się zastanawiam, czy wie pan, co może...

Odszedłem bardzo szybko, nie dałem kapłanowi szansy na zapytanie mnie tonem już mniej przyjemnym, czy przypuszczam, co też mogło być przyczyną obecnego stanu Marka. Całe moje zadowolenie, że uniknąłem przekleństwa odeszło, aby już nigdy nie wrócić.

Poczucie winy, uczucie upokarzająco wręcz banalne, oraz nadzieja, że wiedza jakoś wróci, zmuszały mnie do interesowania się, co się dzieje z moim przyjacielem. Moim byłym przyjacielem. Wypisano go ze szpitala już trzy dni później. Lekarz, który podjął decyzję, nie chciał o niej rozmawiać. Nie mam pojęcia, jak go Marek zmusił. Boże, przecież wiedział o ludziach wszystko. Zostawił mieszkanie w Krakowie, przeniósł się do domu rodzinnego. Marzena zadzwoniła tego samego wieczoru, rozhisteryzowana, aby zwierzyć się, co usłyszała od brata. Ja nie miałem ochoty ani jej pocieszać, ani wyjaśniać, ani wysłuchiwać. Nie interesowały mnie jej wyrzuty sumienia ani strach, że ktoś zna jej tajemnicę.

Cały czas zastanawiałem się, czy Marek ma ze sobą księgę.

Paczka przyszła do mnie po trzech tygodniach bezczynności. Blokada, brak pomysłów, a nawet coś głębszego – poczucie totalnego bezsensu, bezwartościowości tego, co robię. Cztery miesiące wcześniej ukazała się moja książka „Najciemniejsza z białych kopert”, zbiór kilku reportaży śledczych. Podobno najlepszych w karierze, lecz pochwalne recenzje oraz gwiazdki przy tytule na lubimyczytac.pl tylko mnie irytowały.

Pisałem o polskich najemnikach walczących w prywatnych firmach w Iraku, gangsterze z Pruszkowa, który po odbyciu piętnastu lat kary wyszedł na wolność i założył sektę, korupcji w seminariach duchownych oraz tuszowaniu mobbingu w gigantycznych korporacjach. Ostre, gniewne dziennikarstwo, za które zbierałem nagrody i dostawałem listy z pogrózkami.

Z tym, że ja już nie potrafiłem pisać ostrego, gniewnego dziennikarstwa. Skończył mi się zapał, może to głupio brzmi, ale tak się właśnie stało. Do wygrzebywania brudu, opisywania go, poznawania i sprzedawania czytelnikom potrzebna jest paląca ciekawość. Co jest za zasłoną rzeczywistości? Jaka jest prawda o ludzkiej duszy? Kim naprawdę jest człowiek? Zacząłem odkrywać machlojki, demaskować konspiracje, oskarżać winnych i bronić skrzywdzonych, aby uszczknąć trochę wiedzy wyższej. Wydawało mi się, że mogę i że powinienem. Coś więcej niż romantyczne wyobrażenie o dziennikarstwie oraz marzenie, że kiedyś ujawnię skandal na miarę afery Rywina. Chciałem dostosować polską szkołę

reportażu do potrzeb społecznych XXI wieku, owszem. Chciałem być znany, a jakże. Lecz przede wszystkim pragnąłem dowiedzieć się prawdy przez zajebicie duże P.

Lecz jak napisali o mnie w „Polityce”, że jestem „Kapuścińskim polskiego reportażu śledczego”, to w ogóle się nie ucieszyłem. Interesowało mnie to tyle, co eunucha premiery filmów pornograficznych. Nie o to mi przecież chodziło. Nie udało mi się poznać prawdy o rzeczywistości, o tym czym-jest-to-co-jest. Ile bym nie ujawnił skorumpowanych polityków, to i tak nie wiedziałbym, jak zepsuta jest władza. Ile bym nie wskazał kombinacji potężnych korporacji, to i tak nie dowiedziałbym się, jak duży jest ich wpływ na społeczeństwo. Ile bym nie przeprowadził rozmów ze zgwałconymi dziewczynami i gwałcicielami w połowie odsiadki, nigdy bym nie poznał odpowiedzi na pytanie: „dlaczego ludzie gwałcą?”.

Księgę opakowaną w szary papier otrzymałem w momencie, gdy zdałem sobie sprawę, że mieszając patykiem po powierzchni szamba, nigdy nie zbadam, jak jest głębokie. Związana sznurkiem paczka, na wierzchu ktoś flamastrem napisał „Dla Pawła Zielińskiego. Nadawca: doktor Kazimierz Moszczyński”. Otrzymywałem różne rzeczy: dokumenty, zdjęcia albo anonimowe zapewnienia, że jeśli nie odpuszczę, to ktoś na moich oczach wybije wszystkie zęby żonie i użyje sobie na jej ustach. Książek nie dostałem nigdy, to już nie te czasy, aby ważne informacje przekazywać w opasłych tomach.

W niepozornej paczce znajdowała się książka oprawiona teczkowo, z poślódkłymi kartami objętymi przez twardą, tekturową okładzinę. Na pierwszej stronie znalazłem tylko litografię przedstawiającą spiralę. Na następnej zobaczyłem też tytuł, nawiązujący do znaku. *The Book of Spiral*, Londyn 1912. Zamiast nazwiska autora, jedynie jego inicjały. J. K. L.

Ktoś mi przysłał antykwaryczną księgę. Intrygujące. List dołączony do woluminu był już nie tyle intrygujący, co wręcz niepokojący. „*Szanowny Panie Pawle! Nazywałem się Kazimierz Moszczyński i zatrudniono mnie na stanowisku adiunkta na wydziale socjologiczno-historycznym Uniwersytetu Rzeszowskiego. Przesyłam Panu pewną pozycję, którą otrzymałem od mojego kolegi z zagranicy, która to księga być może pozwoli Panu znaleźć odpowiedzi na nurtujące pytania, na przykład dotyczące sposobu, w jaki jeden z bohaterów pańskiego reportażu zrekrutował pierwszą swoją ofiarę. Chodzi mi tutaj o tekst o sektach. Pozna pan prawdę, a w zasadzie nie prawdę, ale Prawdę*”.

Nigdy nie dowiedziałem się, w jaki sposób ten cholerny bandyta nakłonił osiemnastoletnią dziewczynę z dobrego domu do zamieszkania z nim, uprawiania z nim seksu, oddania mu ukradzionych rodzicom pieniędzy, a w końcu do założenia apokaliptycznej grupy religijnej oraz popełnienia samobójstwa na oczach innych mieszkańców Domu

Ostatniego Millenium. Gdy przeczytałem napisaną odręcznie wiadomość, nie zastanawiałem się, w jaki niby sposób stara książka ma mi pomóc pozyskać odpowiedzi na te akurat pytania. Pytałem sam siebie, zszokowany wręcz, skąd facet widział, iż mnie to nurtuje. Nikomu nie mówiłem, że nie znam początku historii. Uznałem to za dziennikarską porażkę, a ja bardzo nie lubię mówić o niepowodzeniach.

Zaintrygował mnie, naprawdę, cholera, zaintrygował.

A to wystarczyło, żebym zaczął czytać „Księgę Spirali”.

Przygotowując się do materiału o byłych więźniach zakładających obłądne kultury, przeczytałem bardzo dużo podobnej literatury. Podobnej, nie identycznej, bowiem Księga tylko sprawiała wrażenie kolejnego traktatu mistyczo-religijnego. Oraz krótkiej historii wszechświata. Oraz wykładu demonologicznego, zapisu kilku dziwacznych teorii spiskowych, podręcznika czarnej magii czy historii archeologicznej wyprawy do Syrii. Styl, w jakim tekst został napisany, sugerował, iż jego autorem jest kompletny wariat. Erudycja oraz umiejętność łączenia zjawisk i ich przedstawiania świadczyła, iż ów wariat wiedział, co pisze.

„Księga Spirali” momentami mnie oczarowywała, niekiedy przerażała, najczęściej jednak zadziwiała.

Ciągle i uparcie powracał wątek kosmologiczny. Według J. K. L., kimkolwiek on był, nasz wszechświat jest jednym z wielu, narodził się i umrze. Wszystkie rzeczywistości układają się w kształt spirali, są poszczególnymi punktami na krzywej. W centrum tej figury tkwi obłąkane bóstwo, wszechwiedzące, ale bezradne. Posiadające wiedzę absolutną, o wszystkim, co się zdarzyło i zdarzy się, o każdym fakcie, oraz o tym, jak te fakty się łączą. Azathoth, ślepy bóg-idiota, bezsilny wobec swojej własnej natury.

Autor zapewniał w jednym z ostatnich rozdziałów, iż w trakcie badań nad starożytnymi kultami zdobył umiejętność nawiązywania telepatycznej łączności z Azathothem. Dzięki niej śmiertelnik może uzyskać całą wiedzę, jaka dostępna jest bóstwu. Ten, kto wypowie inkantację, znajdując się w środku narysowanej spirali, będzie jak bóg. Problem polegał na tym, iż w tym samym czasie zaszczytu łączności z Azathothem mógł dostąpić tylko jeden człowiek. Jeden jedyny. Wypowiedzenie zaklęcia przez kogokolwiek powodowało, iż to na wypowiadającego przechodziło błogosławieństwo, a poprzednik je tracił. Coś jak sztafeta – chociaż drużyna liczy wielu zawodników, biegnie tylko jeden z nich. Gdy skończy, pałeczkę przekazuje następnemu. Opis rytuału zaczynał się patetycznie: *„łączność z Nim, z wiedzą i przeklętym błogosławieństwem uzyskuje się jedynie przez kombinację woli, znaku graficznego i wypowiedzianego na głos wezwania”*.

W tym momencie, gdy przeczytałem zapewnienia J. K. L., iż zna potężne zaklęcie, powinienem odłożyć książkę. W najlepszym wypadku, a tak po prawdzie, to powinna ona wylądować w koszu. Wszechświaty równoległe, wszechwiedzące bóstwo, zaklęcia, rytuały odprawiane na środku magicznego znaku – dobranoc, dziękujemy państwu. Zmarnowany czas na czytanie trzystu stron okultystycznego bełkotu.

Jednak nie potrafiłem ani wyrzucić „Księgi Spirali”, ani głośno przyznać się przed samym sobą, iż to nie tylko bełkot. Na tych trzystu stronach porozsiewano bardzo dużo niepokojących uwag. Niepokojących mnie, bo dotyczących moich problemów i moich przeżyć. Strona dwudziesta dziewiąta: adnotacja o przyszłym czytelniku, który czyta te słowa po zerwaniu ze swoją kobietą. Tydzień wcześniej odeszła ode mnie żona. Strona sto sześćdziesiąta ósma: opis rozterek przyszłego czytelnika, który został uznany za świetnego dziennikarza, a w ogóle go to nie cieszy. Strona dwieście osiemdziesiąta dziewiąta: i po raz kolejny, przyszły czytelnik pojawia się zupełnie niespodziewanie, w czasie opisu kolejnej teorii okultystycznej, jako człowiek, który z nikim już się nie kontaktuje, tylko ze swoim przyjacielem lekarzem. Faktycznie, dwa dni wcześniej widziałem się z Markiem.

Ciekawe? Na pewno. Niepokojące? Żeby tylko. Tak naprawdę, cała sytuacja zaczęła mnie przerażać, co nie zmienia faktu, iż dalej intrygowała. Wiele uwag dotyczących tego nieznanego przyszłego czytelnika, pomimo że równie osobistych, nie odnosiło się do mnie. Chyba... tak teraz podejrzewam... były to pułapki zastawione na moich poprzedników. Zapewne kilka z nich podziałało na Moszczyńskiego.

Odłożyłem książkę na biurko, i dopiero wtedy zauważyłem, że rogi ostatnich czytanych kartek poznały wilgotne plamy. Faktycznie, gdy jestem mocno zdenerwowany, pocą mi się ręce. Uruchomiłem komputer, postanowiłem, że zanim dokończę lekturę, sprawdzę, czy wszechwiedzący Google zna tytuł albo ma jakieś informacje o facecie, który przysłał książkę.

Na słowa kluczowe „The Book of Spiral” wyszukiwarka wyrzuciła mi masę typowych bzdur. Jakaś książka fantasy, jakieś gry RPG, jakieś psalmy. Lepiej poszło z hasłem „Kazimierz Moszczyński doktor”. Pierwszy wyświetlił się nekrolog. Świętej pamięci zmarły odszedł od nas śmiercią tragiczną w dniu, w którym paczka została nadana.

Cudownie, facet nadaje mi dziwną książkę, która oprócz tego, że jest szalonym podręcznikiem czarnej magii, to jeszcze jest rozprawą o moim życiu, a potem sobie umiera. Jak? Dlaczego? Po co?

Jedna z moich koleżanek ze studiów pracowała w lokalnej gazecie rzeszowskiej. Dziewczyna kiepsko wylądowała, szczególnie jak na tak ogarniętą dziennikarkę. Z pewnością mogła zdobyć szczegółowe informacje o śmierci naukowca z tamtejszej uczelni.

– Zieliński? – Ludzie ze studiów zawsze zwracali się do mnie po nazwisku. – A czemuż to gwiazda reportażu dzwoni do szarej myszy z prowincji?

– Ewka, to poważna sprawa, potrzebuję informacji o śmierci jednego faceta z Rzeszowa.

– Aha, potrzebujesz informacji. No przecież...

– Tak, cholera. Facet zmarł trzy dni temu, nazywał się Kazimierz Moszczyński. To ważne, odwdzięczę...

– O, pewnie, że się odwdzięczysz. Jak wszyscy w tej branży, psia wasza mać. Dobra, będę coś miała, to zadzwonię.

Ewka okazała się naprawdę ogarniętą osobą. Oddzwoniła tego samego wieczoru, z paskudną opowieścią. Archeolog, znany w swoim środowisku. Sporo publikacji, dobra opinia. Niedawno miał problemy psychiczne. Nikt się nie spodziewał, wszyscy wstrząśnięci. Skończył paskudnie, znaleźli go w godzinę po tym, jak powiesił się w mieszkaniu. Wcześniej widziano go na poczcie, ale wobec faktu, że okoliczności zdarzenia ewidentnie wskazywały na samobójstwo, nikt nie dochodził, co też obłąkany doktor wysłał.

Gdy odłożyłem telefon, zupełnie już suchymi dłońmi sięgnąłem po „Księgę Spirali”. Dokończyłem ją, przeczytałem wszystko wraz z opisem rytuału. Zaklęcie jest strasznie trudne, dopiero za trzecim razem udało mi się je wypowiedzieć poprawnie.

Pewien jestem, że gdyby teraz udało mi się je przypomnieć, wypowiedziałbym je właściwie już za pierwszym razem.

Trzy tygodnie później „Księgę Spirali” otrzymał Marek. Co działo się przez ten czas, prawie w ogóle nie pamiętam. Podobnie jak samej inkantacji.

Prawie nic.

Jest więc nadzieja.

Magdalena jest najmilszą pielęgniarką. Angażuje się w szczerzy, niewymuszony sposób. Nie tylko mówi do mnie, ale i cierpliwie czeka, aż napiszę odpowiedź. To ona zorganizowała mi laptopa. To ona podniosła mnie z podłogi w tę noc, gdy próbowałem wypowiedzieć zaklęcie.

Bo widzicie, cholera, ja je sobie przypominałem. Całe, co do jednej sylaby.

Dziesięć stron zapisanych notatek i wola wystarczyły, żeby wygrzebać z poranionych wspomnień brzmienie inkantacji. Miałem władzę nad prawą ręką, mogłem też ześlizgnąć się

na podłogę i pełznąć ku środkowi pokoju. Mogłem również narysować spiralę. Nie byłem w stanie jednak wypowiedzieć zaklęcia.

IA TH'AILOG! KTHAKLUTH M'KHUR'G ATH'LYS!

Jeśli ma się sprawny aparat mowy, prawidłowe wypowiedzenie skomplikowanej inkantacji jest trudne. Jeśli ma się krtań i gardło zupełnie niewładne, nie jest to po prostu możliwe. Dwie godziny powtarzania w myślach, prób wyszeptania, napisania ręcznie, wypowiedzenie bezwładnymi wargami nie przyniosły rezultatu. Oprócz woli i znaku graficznego do nawiązania łączności konieczne jest jeszcze wypowiedzenie na głos zaklęcia.

I tak znalazła mnie Magdalena, skulonego w płodowej pozycji, w środku absurdałnego symbolu namalowanego flamastrem. Nawet nie mogłem wyładować swojej frustracji, niemowa tak samo nie wypowie zaklęć, jak i przekleństw. Pielęgniarka podniosła mnie, pomogła z powrotem zająć pozycję w fotelu. Pytała się, jak może mi pomóc, zawiadomiła też lekarza. Psychiatra zareagował typowo, zwiększając dawkę neuroleptyku.

Nie zażywałem ich, nauczyłem się oszukiwać wkładając tabletki pod język. Mogłem myśleć, musiałem wręcz, tyle mi pozostało. Gapić się przez okno i usiłować wszystko zrozumieć.

Bo widzicie, cholera, to wszystko wydawało mi się bez sensu.

Skoro połączyłem się ze ślepym bogiem-idiotą, skoro nabyłem jego wiedzę, to poznałem również przyszłość. Dlaczego więc zgodziłem się na to, co mnie spotkało? Nałożyłem na siebie błogosławieństwo szalonego bóstwa, które okazało się przekleństwem. Oszalałem, co zmusiło mnie do rezygnacji z przekleństwa. Przekazałem je swojemu przyjacielowi, który miał podobne ambicje, z tym że skierowane ku wiedzy medycznej. Jego spotkała śmierć, mnie kalectwo. Spisanie całej historii, tygodnie spędzone w fotelu, gapienie się przez cały czas w rozgwieżdżone niebo.

Dlaczego się na to zgodziłem? Mogłem przecież palnąć sobie w łeb jak Marek czy powiesić się jak Moszczyński.

I chyba podejrzewam, o co w tym wszystkim chodzi.

O was.

To nie tylko wy domagacie się wiedzy, to wiedza domaga się was. Jest jak wirus, przenoszony z jednego nosiciela na kolejnego. Jednak aby zakażenie nastąpiło, nosiciel musi odprawić rytuał, czego nie robi, jeśli nie będzie zaintrygowany. Nikt już nie chce czytać opasłych ksiąg, szczególnie jeśli zawierają obłąkane treści. Mnie zaintrygowała księga, ale was zaintryguje coś krótszego.

Na przykład dziwaczny tekst znaleziony w internecie.

Cała ta makabra, nasze szaleństwo i nasze samobójstwa, wszystko to miało na celu uwiarygodnienie historii. Co innego znaleźć obłąkany tekst, co innego znaleźć obłąkany tekst napisany przez znanego samobójcę, który przyjaźnił się ze znanym samobójcą, a w tym obłąkanym tekście wymienia z imienia i nazwiska innego znanego samobójcę.

Nie jest przypadkiem, że mam władzę w prawej ręce. Mogę nie tylko stukać nią w klawiaturę, mogę też pewnie trzymać żyletkę. Trzeci trup jeszcze bardziej zaintryguje czytelnika.

Macie zapisany tekst zaklęcia, macie podstawowe informacje o rytuale. Macie też trzy nazwiska uwiarygadniające historię. Wygooglujecie je sobie. Przecież w internecie można znaleźć wszystko. Naprawdę, teraz już wszystko.

POKŁOSIE

KACPER KOTULAK
PAULINA J. KRÓL
JAROSŁAW TUROWSKI
JULIUSZ WOJCIECHOWICZ
MAREK ZYCHŁA

tylko w **PRZEDSPRZEDAŻY**:
darmowa wysyłka
e-book gratis

35 zł

30.03.15

Pięcioro autorów przybywa do literackiego zamczyska grozy, by oddać hołd swojemu mistrzowi. Uśmiechają się do niego, prawią uprzejmości, kłaniają się nawet, ale nikt na dworze nie daje się oszukać. Bo gdy zapada noc, pisarze szepczą, knują i marzą, jakby tu i dla siebie wykroić bogate lenno, diadem, a może i samą koronę króla Stefana. Gra o tron będzie długa, ale kości już zostały rzucone.

Łukasz Malinowski

Hołd to niezwykajny, bo autorzy opowiadań zebranych w *Pokłosiu* odnaleźli w Stephenie Kingu to, co najlepsze, a niekoniecznie oczywiste. Zamiast schematycznego straszenia mamy tu nostalgię za utraconym dzieciństwem, zamiast duchów – snute gawędziarskim tonem opowieści o życiu, wreszcie – zamiast gotyckich motywów – obserwację socjologiczną. Prawdziwy destylat z króla horroru!

Krzysztof Maciejewski

www.gmork.pl



fb.com/wydawnictwo.gmork

DZIKABANDA
PORTAL (NIE CAŁKIEM) KULTURALNY

HORROR.COM.PL

SZORTAL
UWOLNIJ MOC SŁĘTY W SŁOŻACH

OKIEM NA HORROR

BESTIARIUSZ
BESTIARIUSZ.PL

HISTERIA

StephenKing.pl

KOSTNICA
PIERWIEC DRZWIWA STRASZA
www.kostnica.com.pl

GŁOS KULTURY

GRABARZ.NET

CREATIO FANTASTICA
1999-2009-2014



„Kto jest najstraszniejszym facetem w Ameryce?
Najprawdopodobniej Jack Ketchum!” -

Stephen King


Replika

www.replika.eu

rys. Roman Panasiuk



SPOTKANIE

Antoni Nowakowski

Płomień trzaskał, zachłannie ogarniając coraz więcej grubych kawałów chrustu.

Wysoki mężczyzna, krzątający się przy ogniu, niedawno dołożył suche gałęzie, naprawdę sporo, choć wczesny wieczór wcale nie spowodował ochłodzenia. Wietrzyk tonował teraz upał, ciągle przesycający powietrze, i przynosił ulgę po dusznym skwarze dnia, jednakże knieja nadal emanowała obezwładniającą ciało ciepłotą.

Ten człowiek potrzebował jednak mocnego żaru w ognisku. Był niezbędny, bo gotował sutą wieszę. Zwykle wystarczyły liche ogniki, żeby podgrzać część zwierzęcej tuszy – ale nie dzisiaj. Nie teraz, gdy w jego samotni zjawili się niespodziewani goście – ci dwaj malcy z umorusanymi twarzami, niepewnie uśmiechający się i najwyraźniej bardzo

głodni. Zaskoczyli go, naprawdę go zaskoczyli – taka chwila przydarzyła się mu po raz pierwszy – gdy wychynęli zza grubych pni drzew, podszytych rozrośniętymi krzewami, wyłonili się ze zwartej ściany potężnego boru.

Gospodarz niewielkiej pustaci z widocznym zadowoleniem zatarł dłonie. Oceniał, że ogień jest akurat taki, jakiego potrzebował, żeby mięso stało się kruche, nie tracąc soczystości.

Ciągle dziwił się, jak ci dwaj chłopczkowie tutaj trafili – i nie potrafił tego zrozumieć. Długo szukał ustronnego miejsca w kniei, zacisznej polany, skrytej w gęstwie dębów, sosen i jałowców – aż w końcu ją znalazł. Dobrze pamiętał, jak bardzo wtedy się ucieszył. Spełniała wszystkie jego wymagania. Nie znajdowała się daleko od ludzkich sadyb – zależało mu, żeby mógł sprawdzić, raz na jakiś czas, czy nieodległe wioski i sioła nadal cuchną odorem śmierci. Fetorem rozkładających się dziesiątków zwłok i mdlącym zapachem zgnilizny. Czy nadal zieją pustką, czy wciąż mieszkańcami domostw są trupy, zastygłe w paroksyzmie śmierci, a jedynymi dźwiękami piski szczurów obgryzających zwłoki. Szczurzyśka, wielkie niczym koty, bardzo się spasty – i stały niezwykle zuchwałe. Jednakże jego, tak jak każda inna zwierzyna, omijały z daleka. Uciekały, gdy wolno kroczył gościńcem przez środek jakiegoś ogarniętego zarazą przysiółka, wypatrując, czy nie zobaczy oznak ustępowania dżumy. Nie ujrzy ludzi, wracających do przepelnionych śmiercią chat.

Skryta w gęstym borze łączka stała się jego schronieniem, naprawdę, jak oceniał, bardzo sposobnym. Drzewa na obrzeżach tego niewielkiego kawałka pustej ziemi rosły gęsto, zasłaniając ją przed czymś ciekawskim wzrokiem. Do polanki nie wiodły żadne dróżki, ścieżynki, świadczące o bytności ludzi. Nikt się nie kręcił w pobliżu, nie zbierał chrustu i grzybów, nie wznosił szałasów, żeby schronić się w leśnym ostępie przed zarazą, zabijającą prawie w okamgnieniu. Znalazł miejsce, którego szukał, kryjówkę, pozwalającą na niczym niezakłócony odpoczynek.

Miał teraz wiele wolnego czasu, naprawdę dużo, jednakże nie chciał trawić beczynnymi chwilami, kiedy śmiertelna choroba dotykająca ludzi zwolniła go z jego powszednich obowiązków. Przedtem też to się zdarzało – i wtedy zawsze postępował tak samo: zajmował się czymś innym.

Na tym niewielkim przestworze ziemi urządził sobie wygodny szałas – i całe obozowisko. Wcale nie musiał, jednakże po prostu był ciekaw, jak mu pójdzie. Czy w tej prostej, pospolitej czynności dorówna ludziom.

Jak zwykle, poszło dobrze... Czuł zadowolenie, że może spokojnie odpoczywać. I że bez ochyby wybrał miejsce na długą i spokojną chwilę beczynności, w części puszczy nieodwiedzanej przez ludzi.

Mężczyzna zręcznie wsunął do ognia jeszcze dwa ułamki konarów. Uśmiechnął się sam do siebie.

Jednak pomylił się – nie pamiętał, czy kiedyś zdarzyło się, że niewłaściwie wybrał miejsce spoczynku. Osiedlił się w ustronnym zaciszu, przez nikogo nieodwiedzanym – do chwili, kiedy dzisiaj, późnym popołudniem, zjawili się ci dwaj malcy, siedzący teraz przy ognisku i cierpliwie czekający na posiłek.

Rzucił na nich okiem. Przetykali ślinę. Jeden uśmiechnął się w odpowiedzi na jego spojrzenie. Naprawdę ufnie... Dzieci często przyjmowały go z radością. Z zadowoleniem...

Pewnie, osądził wysoki mężczyzna, chłopczyk dawał znać, że cieszy się z nieodległej w czasie uczyty.

Przygotowując wieczerzę, mężczyzna rozważał niedawne zdarzenie, to dziwne i niespodziewane spotkanie. Przyznawał, że malcy go zaskoczyli. Jeden z nich – ten wyższy – od razu zagadnął wielce śmiało:

– Panie, nie macie skibki chleba? Jesteśmy strasznie głodni, ja i mój braciszek.

Nie zdziwił się, że szkrab zwraca się do niego z taką estymą. Niepewnie, z szacunkiem, wyraźnie brzmiącym w piskliwym głosiku. Dwaj malcy wyglądali na synów co najwyżej jakiegoś yeomana, uprawiającego parę włók ziemi.

On w niczym nie przypominał kmiecia, wystraszonego pomorem i widmem śmierci od zarazy ciągle pustoszącej wieś, chroniącego się w leśnej głuszy. Przybierał kształt różnych postaci, w zależności od zmieniającego się czasu, jednakże zawsze wyglądał dostojnie. Pańsko... Szlachetnie, jak ostatnio określano takich ludzi.

Wiedział, że nogawice z drogiego sukna, skórznie z wysoką cholewką, kaftan z dobrze wyprawionej, miękkiej skóry wzbudziły podziw tych dwóch niedorostków. Pas ze złotą klamrą pewnie utwierdził ich w przekonaniu, że dziwnym trafem napotkali jakiegoś młodego dziedzica, może nawet syna landlorda. Coś powinno ich zdziwić, wzbudzić wątpliwość – ale pewnie byli zbyt młodzi, żeby zwrócić uwagę na brak oręża przy pasie.

Nigdy nie nosił broni, bo jej nie potrzebował, a nie chciał się niepotrzebnie obciążać nieporęcznym żelastwem. Nieraz musiał śpieszyć się, naprawdę szparko kroczyć, aby przybyć na błagalne wezwanie, więc już od dawna nie obarczał się tymi ciężkimi narzędziami do zabijania.

Pewnie też chłopców onieśmiewała jego twarz – oblicze młodego mężczyzny, bez znamion po ospie, z gładką skórą pozbawioną krost, z układającymi się w pukle długimi włosami o barwie pszenicznej żółci. Piękne oblicze, z wyrazem nieobecnego zamyślenia... Zwracało uwagę, ale uważał, że tak powinno być. Ci, którzy go potrzebowali, często rozpaczliwie, gorąco wzywali, od razu go poznawali.

– Nie mam chleba – rzucił wtedy bez zastanowienia. – Nawet kromki. Nawet zeschniętej skórki... Chyba zapomniałem wybrać się do wsi i przynieść kilka bocheneczków. Z rana zostało parę nieobgryzionych do końca kości. Zaspokoicie pierwszy głód, a ja coś przygotuję.

Szkraby rzuciły się łapczywie na nędzne resztki rannego posiłku. Nie zwracali na nic uwagi, zajęci napełnianiem wpadniętych brzusków.

Miał wtedy sposobność uważnie się im przyjrzeć – niewysokim postaciom w sukmanach z grubego lnu, przepasanych rzemykami, nogawicach z lichego płótna i znoszonych chodakach. Nie miał wątpliwości – napotkał synów jakiegoś parobka, co najwyżej ubogiego chłopca. Widywał ich wielokrotnie, bawiących się na podwórcach wiejskich chat albo już pomagających ojcu w pracy. Los zgotował jemu i im dziwne spotkanie, choć tym malcom pewnie nie przyszłoby do głowy myśl, kim on naprawdę jest.

Blżej stojący młodzieniaszek coś chował za plecami, a potem ściskany w piąstce przedmiot szybko wsunął za pazuchę, jakby chronił najcenniejszy skarb.

– A na wieczerzę co szykujecie, dobry panie? – zagadnął ten sam malec, kiedy już chłopaczekowie do cna objedli resztki jego rannego posiłku. – Podzieli się pan z nami? Strawy wiele nie ubędzie, a jutro stąd odejdziemy...

– Czemu nie... – odpowiedział bez wahania, sam nie wiedział dlaczego. – Jeżeli jutro mnie opuścicie, czemu nie...

Woda w saganku długo już wrzała, tak mocno, że pokrywka, podnoszona kłębami pary, podskakiwała rytmicznie. Skonstatował, że chyba mięso już się ugotowało. Powinno rozpląwać się w ustach, a wywar z gotowanej dziczyzny, cebuli i czosnku naprawdę dobrze smakować. Wcześniej wykroił kawałki sadła z brzucha odyńca, żeby sos nabrał gęstości. Kiedyś podejrzwał, że tak postępują ludzie, chroniący się przed dżumą w rozległej kniei.

– Naprawdę ładnie pachnie. – Niższy z chłopczków pociągnął nosem. – Dobrze masz też obozowisko. Takie... urządzone. Obszerny szałas zrobiłeś. Mocny, gałęzi i listowia u góry sporo, grubo, deszcz takiej leśnej strzechy nie przebijie...

Mężczyzna uśmiechnął się skąpo. Prawie nigdy jego twarz nie zmieniała wyrazu skupionego zamyślenia, jednakże teraz wypowiedziane z głębokim przekonaniem słowa niedorostka sprawiły mu nieoczekiwaną przyjemność. Ten chłopczyna docenił jego starania

i uznał, że zasługują na szacunek. W wznoszeniu tymczasowej siedziby on, ciągle zajęty innymi sprawami, dobrze się sprawił.

Jak zwykle, gdy za coś się zabierał, jednakże słowa szkraba po prostu przepelniły go zadowoleniem.

Drugi z chłopaczków też wyglądał na bardziej już ośmielonego.

– Panie, co szykujesz? – w głosiku zabrzmiała nieskrywana ciekawość. – Moglibyśmy pomóc, jeżeli zechcesz. W domu w wielu pracach pomagamy. Sporo już umiemy...

Dziecięcy dyszkant przesyciała duma.

Mężczyzna w milczeniu kilka razy pokiwał głową – nie wątpił w prawdziwość słów malca. Obaj szybko i bez ponaglenia zakrzętnęli się, żeby doprowadzić się do porządku. W nieodległym strumyku starannie wymyli chude twarzyczki i dłonie. Przeczesał włosy, oczyścili pospolite odzienie z igliwia i liści. Doprowadzili się do ładu, a on ceniał ład. Czasami konstatował, że po prostu wprowadza niezbędny porządek spraw, zapewnia ład istnienia.

Ci dwaj zachowywali się podobnie. Zaraz wzięli się na czyszczenie cynowych talerzy, łyżek i noża. Przyniósł je niedawno z wymarłej wioski, bo doszedł do wniosku, że mogą się przydać. Leżały na stole w jednym z odwiedzonych domostw, przed trupem, pewnie pragnącym zaznać przed śmiercią ostatniej przyjemności – wystawnej uczyty. Ciało odchodziło już od kości, ale martwe palce nadal pewnie dzierżyły okazały sztuciec.

Malcy wyczyścili wszystko piaskiem z potoku, opłukali, a potem dokładnie wytarli szmatką, też wziętą z tej chaty. Łyżki i talerz lśniły teraz jak metalowe lustra.

Jeden z malców wcześniej zadał pytanie, należało odpowiedzieć.

– Gotuję mięso odyńca – rzucił. Wzruszył ramionami. – Do tego reszta przedwczoraj ubitych zajęcy – starczy na kilka dni, dla mnie i dla was. Włożyłem też do kociołka sporo główek cebuli i dzikiego czosnku. Teraz mam dużo wolnego czasu – dodał z namysłem, uśmiechając się lekko. – A polowanie, jak zwykle, poszło szybko... Sprawnie.

Ze zdziwieniem stwierdził, że ten uśmiech przyszedł mu bardzo łatwo. Rzadko się uśmiechał, prawie nigdy. Może dlatego teraz twarz przybrała miły wyraz, bo lubił dzieci – a one też częstokroć witały go radośnie. Wyciągały rączki, choć pewnie domyślały się, dlaczego przychodzi. Uwalniał je od bólu, a one to rozumiały.

Przemieszał zawartość saganka. Oceniał, że wywar z główkami cebuli i ząbkami czosnku przyjemnie pachnie. Niedawno zauważył, że ludzie, chroniący się w kniei tak przyrządzają stawę – i postanowił sprawdzić, czy i jemu zwierzęce mięso będzie odpowiadać.

Smakowało, choć wcale nie czuł głodu. Tak naprawdę, nigdy nie czuł głodu.

– Zaraz dostaniecie, ale dokładnie żujcie – dodał. – Lepiej się nasycicie. Przydałyby się ze dwa bochny chleba, ale nie mam... Zjadajcie cebule i czosnek, sporo ich. Słyszałem, że polepszają zdrowie. Rozstaw miski, chłopcze.

Palcem wskazał na wyższego z niedorostków. Wiedział, że ma bardzo ładne palce – lubił je oglądać, a teraz używał do różnych gestów. Szybko się ich uczył – po prostu podpatrywał uciekinierów.

Nie za bardzo odpowiadały mu do cna wygotowane cebule i miękki jak przejrzała ulęgalka czosnek – bulwy białawej masy bez krztyny smaku, pozbawione jestestwa, wysane z tego, co najlepsze. Rozumiał, że oddawały swoje soki wywarowi, tak jak zwłoki użyźniają i wzbogacają ziemię, sądził jednak, że najlepiej byłoby wyrzucić rozgotowane warzywa. Jednakże ludzie je zjadali, więc i on kładł je sobie na talerzu.

Zauważył, że teraz malcy czują się jakby zdomowieni na tym małym skrawku pustego gruntu pośród majestatycznych drzew, szeroko rozpościerających grube konary. Niższy z młodzieniaszków uśmiechnął się, choć nadal trochę niepewnie.

Teraz nareszcie mężczyzna przy ognisku dostrzegł, co szkrab wcześniej tak pieczołowicie chował za plecami. Malec ścisnął w dłoni konika, wystruganego z drewna. Wyglądał ładnie.

Człowiek w pięknym kaftanie nie miał czasu, żeby dokładnie przyjrzeć się zabawce – nakładał mięso i nalewał sos. Kopiaste porcje, jeszcze parujące gorącym waru w kociołku, jak ocenił, smakowicie pachnące.

Chłopczyk jednak zauważył, że gospodarz polanki przyglądał się zabawce.

– Zobacz, jaki piękny! – Dzieciak niespodziewanie podszedł do ogniska i wyciągnął rękę. – Zrobił go tata, żebyśmy mieli się czym bawić, ja i brat. Popatrz tylko!

Prawie wcisnął zabawkę w dłoń mężczyzny, ciągle zajętego nalewaniem mięsnego wywaru.

Ten przerwał na chwilę, żeby coś sobie przypomnieć. I żeby wytrzeć dłonie, zatłuszczone od krzątania przy przygotowywaniu wieczerzy. Starannie rozwiesił potem szmatkę na wystającym z nakrycia szalasu ociosanej części konaru. Poświęcił trochę czasu na zdarcie kory i zastruganie drewna, właśnie w tym celu, żeby służyło za wygodne wieszadło.

Teraz usiłował przypomnieć sobie rzadko przez niego używane, niespodziewanie zapomniane słowo.

– Ojciec... – w końcu odnalazł w pamięci potrzebny wyraz – zostawił was samych? W tej leśnej głuszy? Niepojęte...

Zadał pytanie, męczące jego umysł od chwili, gdy ich zobaczył. Obracał konika, przyglądając mu się dokładnie: zadziwiał precyzją oddania szczegółów.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Obaj malcy jedli łakomie, wyławiając z misek kawałki dziczyzny i zachłannie pakując do ust. Niedorostek, który podał konika, odłożył łyżkę, wyjął z miski kość z grubym kawałkiem mięsiwa i zaczął objadać. Wgryzał się w przerośniętą tłuszczem i kapiącą sosem część tuszy niczym wilczek wbijający kły w gardło dopadniętej podczas polowania owcy.

Mężczyzna przełknął kilka niewielkich kęsów.

Patrząc na malców, skonstatował, że niebawem wymiotą wszystko do czysta. Poczul zadowolenie – w saganku pływało w wywarze jeszcze sporo dziczyzny, a chciał, aby chłopackowie naprawdę się nasycili.

– Dziwne, że waszego rodziciela tutaj nie ma... – stwierdził, wyławiając kawałek mięsa i podając starszemu z malców. Ten natychmiast znowu zaczął łakomie jeść, jakby otrzymał pierwszą porcję strawy. – A matka, cóż z nią?

Drugi z chłopców, niższy, podrapał się po nosie. Starannie oblizał łyżkę i dołożył sobie rozgotowaną cebulę.

Niespodziewanie przemówił pewnym głosem, śmiało, machając sztucem, może dla podkreślenia znaczenia słów.

– Tata miał przyjść, ale pewnie coś go zatrzymało... – Chłopczyk znowu podrapał się, tym razem w policzek. – Wiesz, panie, jak dużo jest zajęć z tymi... trupami... Bardzo dużo. Trzeba je szybko grzebać, bo powiadają, że są nadal siedliskiem zarazy, a zwłok ciągle przybywa. Czarna śmierć...

Wcale nie mówił teraz piskliwym dyszkantem, tylko pewnie brzmiącym, niskim głosem, niekiedy zacinając się przy formułowaniu dłuższych zdań. Z wypowiedzanych słów biła niezachwiana pewność, że niebawem spotka się z ojcem.

Brat potwierdzająco pokiwał kilka razy głową.

– Mama też przybędzie, ale później – tata powiedział, że pomaga innym. Znajdzie nas – stwierdził przejętym głosem. – Zna tę okolicę. Ustronna, to prawda, ale tata często zakładał tu wnyki na zajęce, bazanty i kuropatwy. Dobre schronienie przed czarną śmiercią, jeno trzeba wznieść jakiś szałas. Ojciec da sobie radę.

Nagle obaj chłopcy stali się gadatliwi. Mężczyzna osądził, że pewnie uczucie sytości przełamało załęknięcie, dotychczas widoczne na chudych twarzyczkach.

– Tata jest bardzo zapobiegliwy – z dumą obwieścił wyższy z malców. – Dzięki tym pułapkom w kniei mieliśmy mięso na niedzielę.

Oblizwał łyżkę.

– Pyszne mięsiwo, ale to pańskie też jest dobre – ciągnął. – Niebawem tata przyjdzie, jeno musimy jeszcze trochę poczekać... Pewnie jednak coś zatrzymało mamę, a chcą razem do nas dołączyć.

Malec śmiesznie zmarszczył nos.

– Poczekamy na nich wspólnie, dobrze? – dodał nagle, wcale nie proszącym tonem. – Przydamy się. Wiele już umiemy. Możemy dbać o naczynia i sprzątać. Szukać chrustu, pilnować ogniska... Matula chwaliła nas, że prędko staliśmy się dobrymi pomocnikami.

Znowu zaczął jeść, tym razem bez pośpiechu. Sos z obgryzanej łapy królika pociekł mu po brodzie.

Chłopiec wytarł ją rękawem sukmany, a potem uśmiechnął się, jakby milczenie wysokiego mężczyzny w pięknym kaftanie przyjmował za oznakę zgody.

Niespodziewanie powrócił do zupełnie innego wątku rozmowy.

– Prawda, że bardzo ładny? – Wyciągnął paluszek, wskazując zabawkę. Leżała w trawie. – Nawet z nim śpię... Tata powiedział – ciągnął chłopiec – że zrobi jeszcze drugiego – do pary. Będzie dla braciszka. Tutaj ojciec znajdzie więcej czasu na tę pracę, bo nie ma zmarłych do chowania. Będzie miał dużo czasu...

Mężczyzna pomyślał, że dzieciak ma rację – on też miał dużo czasu. Bardzo dużo wolnego czasu. Ludzie po nadejściu dżumy początkowo umierali dziesiątkami, a niebawem setkami – każdego dnia.

Nie musiał im w tym pomagać. Mógł odpocząć.

Postanowił wtedy zamieszkać w pobliżu człowieczych sadyb – i zobaczyć, jak żyją, dopóki nie powali ich czarna zaraza. Oglądał wszystko, zbierał rzeczy, badał ich funkcjonowanie. Zaczął nawet używać ludzkich przedmiotów – właśnie po to urządził obozowisko.

Na samym początku cieszył się z tej dziwnej odmiany, ale potem zaczęła go męczyć. Nużyć. Dnie i noce trawił na ciągnących się w nieskończoność chwilach bezczynności. Oglądał więc okolicę, przemierzył wiele traktów – i zwrócił uwagę na ceglane budowle obwiedzione murem, pełne rozkładających się ciał. Nie wiedział, czy patrzył na klasztor, czy może na siedzibę jakiegoś możnowładcy, ale tym się nie interesował. Spostrzegł jeszcze – posiadał i ten dar, dla niego niezbędny – że za parędziesiąt lat zabudowania zmienią się w ruinę, a potem w nędzne szczątki dawnej wspaniałości. Przechodził często przez sąsiednie wioski – i przyglądał się nielicznym ciągle tam przebywającym ludziom, w otępieniu czekającym na śmierć.

Nie potrzebowali jego pomocy. Ciągle jeszcze nie...

Bulgotanie gwałtownie już kipiącego wywaru przerwało rozmyślenia. Zręcznym ruchem odstawił garnek na bok. Nie wiedział, dlaczego wcześniej owinął szmatką rozgrzany kablak naczynia – ludzie odczuwali ból i bali się go, więc postępował podobnie. On nie odczuwał cierpienia, nie znał jego smaku, tak samo jak nie wiedział, czym jest strach, zmęczenie czy znużenie mięśni.

– Rozumiem... – stwierdził krótko. – Doprawdy, bardzo zmyślnie wyrzezany. Rodziciel się napracował. Masz rację, ja też mam niewiele zajęcia – naprawdę mało, a właściwie wcale – jak nigdy przedtem. Dziwny stan...

Nadal trzymał w dłoni lipową zabawkę. Czegoś takiego dotykał po raz pierwszy. Zadziwiła starannością i pięknem wykonania, precyzją oddania szczegółów budowy ciała zwierzęcia, wrażeniem zrywania się konia do pędu.

Obracał konika w różne strony, przyglądając mu się uważnie.

– Ładne masz palce, prawie takie same jak mama – niespodziewanie zauważył starszy z dzieciaków. Przerwał wysysanie szpiku z kości. – Wiem, bo zawsze gładziła nas przed zaśnięciem.

Mężczyzna coś sobie przypomniał – niedawno widział tak piękną dłoń jak jego, u kobiecej ręki, wystającej z dołu zasypanego wapnem. Pamięć przywiodła też wspomnienie łkającego mężczyzny, bardzo podobnego do tych dwóch szkrabów, już ze śladami czarnej zarazy na twarzy. W odruchu litości położył mu wtedy dłoń na czole.

Już wiedział: ci dwaj niepotrzebnie czekali – nie mieli na kogo czekać. Nikt nie przyjdzie, żeby odszukać malców w leśnej głuszy. Osądził, że pewnie ich rodzice, wiedząc już o nieuchronnie zbliżającym się końcu życia, odesłali ich tutaj, chcąc uchronić młodzieniaszków przed śmiercią w męczarniach. Pewnie liczyli, że któryś z uciekinierów, chroniących się w kniei, zajmie się nimi. Ktoś o dobrym sercu...

– Lepiej idźcie spać... – rzucił cicho. – Już zmierzcha. Rankiem pomyślimy, co dalej.

– Dobrze. – Wyższy z chłopaczków podniósł zabawkę z murawy. – Trochę się zmęczyliśmy... No i dobrze najedliśmy.

Z powagą pokiwał głową.

– Wyczyścimy jeszcze naczynia – dodał pospiesznie. – Panie, będziesz miał z nas pociechę, zanim ojciec nie przyjdzie. Wielką pomoc. Pożytek, zobaczysz.

– Powiesz nam, jak masz na imię? – Młodszy rąbkiem koszuli wytarł zatłuszczone dłonie. – Pierwszy powiem tacie, jak go spotkamy. Możesz też pogłaskać nas na dobranoc. Mama tak robiła. Naprawdę dobrze się potem śpi.

– Raczej nie... – Mężczyzna uśmiechnął się lekko. Malec nie wiedział, co stanie się, gdy położy im palce na czole. Nie mógł spełnić dziecięcej prośby. – Może innym razem. Kiedyś jednak na pewno...

Leżący na pościeli ze skór malcy zasnęli prawie natychmiast. Niższy znowu kurczowo ścisnął konika w dłoni. Posapywali i poruszali się niespokojnie.

Pewnie, stwierdził mężczyzna, obaj śnili o spotkaniu z ojcem – i w sennych rojeniach z przejęciem opowiadali o dzisiejszej wieczery. I o nim.

Derka nieco się zsunęła, więc delikatnie ją podciągnął i otulił chude ciało.

Patrząc na śpiących chłopczków, przypominał sobie teraz swoje imiona. Miał ich wiele, tak dużo, że niektórych już nie pamiętał.

Musiał wymyśleć nowe. Pewnie ten szkrab rano o nie znowu zapyta, a nie chciał go wystraszyć. Nie chciał też, aby nowe imię raziło pospolitością – powinno zapadać w pamięć.

Najbardziej lubił stare miano Thanatos. Teraz prawie wszyscy mówili, że jest Aniołem Śmierci, ale nowe określenie nie podobało mu się. Poprzednie brzmiało naprawdę dobrze.

Dźwięcznie. Lubiał je.

Przyglądał się uważnie śpiącym chłopcom.

Niespodziewanie, w tej długiej chwili przerwy od jego zwykłych zajęć, nużącej bezczynności, stał się ich opiekunem. Ten czas nie trwał długo – ledwo jedno upalne popołudnie. I nie musiał trwać długo... Naprawdę jednak zaciekawiała go ta rola. Pragnął sprawdzić, jak mu pójdzie. Czy da sobie radę...

Nóżka jednego z chłopców wysunęła się spod nakrycia pościeli. Rzemiy chodaka ledwie się trzymał. Wyglądało, że jutro pewnie się zerwie.

Thanatos pomyślał, że będzie musiał go przyszyć. Potem, gdy czarna śmierć ustąpi, trzeba będzie znaleźć jakąś wioskę i budzącego zaufanie opiekuna. Oddać chłopczków w dobre ręce, odwiedzać, może nawet często, żeby sprawdzić, jak im się wiedzie. Pomagać. Potem wycofać się, zniknąć, gdy już podrosną i staną na własnych nogach.

Odejść. Będą go wspominać, bo na długi czas stanie się ich drugim ojcem.

Thanatos uśmiechnął się, po raz drugi tego dnia.

Oni o tym nie wiedzieli, ale on dobrze rozumiał, że kiedyś jeszcze raz spotka się z nimi. Spełni dzisiejszą prośbę jednego z malców – położy swoje piękne palce na ich czołach i zabierze umysły.

Mógł tak postąpić teraz, podczas ich snu. Skonstatował, że wcale nie musi się spieszyć. Postanowił odwlec tę chwilę.

Zastanowił się na swoją decyzją, sprawdzając, czy w szafasie znajdują się igła i porządna dratwa do szycia chodaka – i już wiedział, dlaczego tak postępuje.

On nie zestarzeje się, pozostanie tym, kim zawsze był – wysokim, młodym mężczyzną o pięknej twarzy z nieobecnym wyrazem ciągłego zamyślenia. Nigdy nie zmieniał się, co pewien czas nakładał tylko inne szaty, właściwy przydzwiewek, żeby nie odróżniać się od ludzi.

Jednakże twarzyczki malców kiedyś pokryją zmarszczki, przygarbią się, a ich kości staną się kruche. Zapomną o dzieciństwie, przytłoczeni troskami codzienności i brzemieniem upływających lat. Nie będą nawet dobrze pamiętać, jak wyglądał. Zostanie im tylko niewyraźne, ulotne wspomnienie.

Zamierzał otoczyć ich swoją pieczę, bo po prostu był bardzo ciekaw, czy wtedy, kiedy przestaną dobrze widzieć, poznają dawnego gospodarza polany. Czy wtedy, kiedy ponownie przybierze ludzką postać, tak jak uczynił w tej długiej chwili męczącej bezczynności, powitają go równie radośnie i ufnie jak dzisiaj.

Czy przypomną sobie, gdy położy im dłonie na czołach i zabierze umysły, że kiedyś, dawno temu, jeden z nich prosił już o tę pieszczotę – a on jednak w końcu przybył, żeby spełnić dziecięce życzenie.

I jak to przyjmą...

rys. Marcin Czarnecki



ŚMIERTNY DĄB

Dariusz Kick

I

Antoni kochał Palowice, od kiedy otworzył oczy. Uwielbiał stawy łańcuchowe, okalające wieś od południa, i sosnowe bory, oddzielające go od reszty świata. Dawały mu poczucie bezpieczeństwa. W dzieciństwie bawił się w tych lasach ze swoim psem Chochołem. W Palowicach w drewnianej chacie przyszedł na świat jego ojciec. Było to jeszcze w czasach, kiedy za ogłoszenie w „Gazecie Polskiej” (wydawanej w Berlinie) płacono się dwa fenigi za słowo. Antoni urodził się w tej samej izbie, w roku, w którym powstał ludowy zespół Orzeł Palowice. Tydzień po jego narodzinach poroniła żona sołtysa. Mówiło się, że mąż ją obił, bo koledzy się z niego śmiali, że dziecko zrobił jej jeden z robotników, którzy kręcili się przy hucie Waleska.

W tej samej wsi chodził do szkoły podstawowej. Nie tej, która była odpowiedzią

mieszkańców gminy na apel Władysława Gomułki, „Tysiąc szkół na tysiąclecie Państwa Polskiego”. Nienawidził tej szkoły. Przy budowie pomagał jego ojciec. Zresztą, pomagali wszyscy, a ci, co nie pomogli, zostali wymienieni z imienia i nazwiska w „Głosie Palowic”. Antoni uczęszczał do starej szkoły, wybudowanej w 1899 roku. Dawniej Niemcy germanizowali w niej okoliczną młodzież, a później żołnierze Armii Czerwonej niemal doprowadzili budynek do ruiny, przerabiając go na lecznicę dla koni i miejsce do dezynfekcji mundurów. „Tacy już oni są, ci czerwonoarmiści”, mówiło się wtedy, „czego się nie dotkną, zamienia się w gówno”. Po wojnie budynek udało się uchronić od ruiny, pociągnięto do niego prąd, a lekcje wreszcie odbywały się w języku polskim.

Nowa szkoła, ta z 1965 roku, była dla Antoniego jak otwarta rana, która nie chce się zasklepić. Pamiętał tamten dzień jak mało który w swoim życiu. Słońce zaglądało do chaty od samego rana. W powietrzu unosił się zapach jablecznika, który matka wyjęła z piekarnika. Ojciec stał w progu kuchni w swoim wypłowiałym drelichu. Matka spojrzała na niego, „Siedź na dupie, tyś dziad stary. Tam potrzeba młodych i zdrowych”. Ojciec wyjął metalową papierośnicę, w której trzymał popularne. Wziął jednego, zmiękczył palcami i polizał językiem końcówkę. Zawsze tak robił. Włożył papierosa do czarnej drewnianej fifki i zapalił. Ślina na bibułce miała sprawiać, że papieros nie będzie spalał się zbyt szybko. Spojrzał na nią przez siwy kłęb dymu, jakby chciał się za nim ukryć. „Baba mi nie będzie gadała, co trza robić”, rzucił, po czym wyszedł, puszczając do Antka oko. Wtedy widzieli go po raz ostatni. Przynajmniej żywego.

Później różnie się mówiło. Że wódka była, że kłótnia jakaś. Różnie ludzie gadali. Prawdy nikt nie doszedł. Ktoś z obecnych zaklinał się na wszystkie świętości, że widział, jak stary Wiecheć leciał z rusztowania i jeszcze zdążył się przeżegnać. W „Głosie Palowic” napisali, że oddał życie dla oświaty i postępu. Przyznano mu nawet pośmiertnie medal przodownika pracy. Wdowie wypłacono trochę grosza, a gmina wzięła na siebie koszty pogrzebu. Ponieważ Bernard zdążył jeszcze przed śmiercią wykończyć nowy dom, sołtys skrzyknął ludzi i wszyscy pomagali Ernestynie i Antkowi w przeprowadzce do nowego murowanego budynku, który stał nieopodal stawu Jesionka, mniej więcej w połowie drogi do Woszczyc.

Ernestyna nie dawała po sobie niczego poznać, jednak w głębi serca nigdy nie pogodziła się ze śmiercią męża. W piątą rocznicę jego śmierci wdrapała się na dach tej samej szkoły. Odeszła w wielkim stylu, choć równie bezsensownie, jak kiedyś jej mąż. W powiecie huczało przez miesiąc. Byli tacy, którzy mówili, że wdowa tylko czekała, aż odchowa Antka, żeby mógł zostać na swoim, żeby nie ciągal go po urzędowych domach, jak nazywali państwowe domy dziecka. Nie przewidziała tylko problemów z pochówkiem. Proboszcz zawziął się i za nic nie chciał jej pogrzebać na poświęconej ziemi. Grzmiał z ambony, „Komunistom i samobójcom do nieba wstęp jest wzbroniony, a wszystko po to, żeby za

Piotrową bramą było przyzwoite towarzystwo”. Dużo musiał się Antek nagimnastykować, żeby pochować matkę.

Antoni zawsze niechętnie opuszczał rodzinną wieś i robił wszystko, żeby to się działo jak najrzadziej. Zawodówkę skończył w Żorach. Podjął pracę w elektrowni Łaziska, skąd posłali go do Katowic na tygodniowy kurs spawacza. Później musiał już tylko dojeżdżać do Łazisk, gdzie pracował jako ślusarz. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni (jeśli zima nie przychodziła zbyt szybko), jeździł do pracy swoim ukochanym czterosuwowym Junakiem M07. Takich samych używała milicja. Był z niego dumny, kosztował go dwadzieścia trzy tysiące ówczesnych złotych.

Poszedł w ślady ojca i poślubił miejscową dziewczynę. Koledzy, których nigdy nie miał zbyt wielu, mówili mu, że „Gabrysia dobra do rodzenia dzieci. Postawna jest fest i szeroka w biodrach”, klepali go przy tym po ramieniu. Niestety, nigdy się nie doczekali potomstwa. Ostatecznie musiał ją pochować po tym, jak znalazł ją martwą w fotelu przed telewizorem. W telewizji akurat leciał nowy serial „Daleko od szosy”. Kiedy odbierał zwłoki z kostnicy, zapytał lekarza, co zabiło jego żonę. „Morbus ischaemicus cordis”, usłyszał. Aż go przeszły ciarki. Krążyły później plotki, że Antek chodzi na grób żony zawsze po tym, jak leciał kolejny odcinek serialu, przy oglądaniu którego odeszła. Miał opowiadać jej o nowych perypetiach serialowego Leszka.

Antoni, jak tylko został wdowcem, odciął się od świata jeszcze bardziej. Wszystko wokół mierzilo go, drażniło. Irytowali go przyjezdni z Katowic, Rybnika i Bóg wie skąd jeszcze. Osiedlali się jak u siebie. Budowali nowoczesne domy, a ich dzieci nie potrafiły nawet powiedzieć dzień dobry. Na szczęście mieszkał z dala od tego całego chaosu, za co był wdzięczny swojemu ojcu, świeć Panie nad jego duszą.

Później spotkała go jeszcze jedna tragedia. Było to mniej więcej w czasie, kiedy wkoło mówiło się o liście Wildsteina. Elektrownia miała duże problemy finansowe, co przekładało się na atmosferę w zakładzie. Wskutek błędu elektryków Antoniego poraził prąd. Sponiewierało go jak szmacianą lalkę. Rysiek Włodowski z Gardawic, który był w pobliżu, opowiadał później, że Wiecheć wyglądał jak jeden z tych Murzynów, którzy trzęsą się w jakimś dziwnym transie. Gdyby on, Rysiek, właśnie nie skończył kursu BHP, pewnie Antek by tego nie przeżył, a i tak wyglądał jak wielkie cygaro, rzucone niedbale na podłogę. Z jego lewej stopy i nogawki kopcilo się okropnie.

Stopy nie udało się uratować, do tego pogorszył mu się wzrok i w ogóle długo musiał dochodzić do siebie w szpitalu wojewódzkim w Katowicach. Elektrownia wypłaciła mu szybko dwadzieścia pięć tysięcy złotych, byle tylko nie szedł do sądu. ZUS przyznał mu tysiąc dwieście złotych renty. Koledzy podjudzali, żeby walczył o swoje, a te dwadzieścia

parę tysięcy, to niech sobie włożą tam, gdzie słońce nie dochodzi. Jednak Antoni uważał, że wszystko jest w porządku. Przecież on o niczym innym nie marzył, byle już nigdy nie opuszczać ukochanych Palowic. Wrócił więc ze szpitala do swojego domu z dala od ludzi.

Po powrocie ograniczył kontakt ze światem zewnętrznym do całkowitego minimum. Można go było spotkać, jak szedł, kulejąc, na grób Gabrysi, gdzie zapalał znicze i modlił się za spokój jej duszy. Kiedy już był do tego zmuszony, szedł do Nowakowej, która prowadziła sklep wielobranżowy. Kiedyś była przyjaciółką Gabrysi i często odwiedzała ją w ich domu, póki ta nie szczyła w ziemi. Coraz mniej przyjemności dawały mu spacer po lesie. Nic już nie było takie jak dawniej. Nie było przy nim Chochoła, który biegał między drzewami z wywieszonym językiem. Nie było Gabrysi, która czekałaby na niego z kubkiem gorącej waleriany. Nie było już nikogo, na kim by mu zależało. Świat wokół zmienił się, choć pozornie pozostawał wciąż taki sam.

II

Wiosenny wieczór był przyjemny, choć jeszcze nieszczególnie ciepły. W powietrzu unosił się ulotny zapach nadchodzącego lata. Tak pachnie powietrze, kiedy mróz wychodzi z ziemi, a jej zapach miesza się z kwitnącą florą. Ten zapach zawsze wypełniał jego serce radością i tęsknotą za czymś nieokreślonym. Wyobrażał sobie, że letni podmuch przywędrował z dalekich krajów, a po drodze wielu ludzi mogło się cieszyć jego dotykiem. Myślał o wietrze jak o niewidzialnym i niestrudzonym wędrowcy, który pielgrzymuje dookoła ziemi od niezliczonych milionów lat. Aż mu łzy stanęły w oczach na te myśli. Kiedy już niebo nakryło się czarnym kocem upstrzonym gwiazdami, zaparzył sobie kubek waleriany i włączył telewizor. To Gabrysia nalegała, żeby kupili antenę satelitarną. On śmiał się wtedy, że z talerza to się je, a nie wiesz go na ścianie. Rozejrzał się po pokoju i uznał, że dom bez niej marnieje. On nie miał ręki do porządków. Nie potrafił tchnąć w niego życia, jak to umiała Gabrysia. W końcu znużony położył się w łóżku. Przed snem zdążył jeszcze pomyśleć, że Gabryśka musi się w grobie przewracać, patrząc z góry na ten barłóg. Zasnął z solenną obietnicą, że weźmie się za siebie i za dom.

Obudził go lekki podmuch chłodnego wiatru. Podniósł powieki i dostrzegł nad sobą gwiazdziste niebo. Zerwał się przestraszony i oszołomiony na równe nogi. Jego koszulka była wilgotna od trawy, na której spał. Gdzieś w oddali odezwał się puszczyk, księżyc przyglądał mu się z ciekawością. Serce Antoniego biło jak kościelny dzwon na pasterkę, nie wiedział, co się dzieje. Rozejrzał się dookoła, wypatrując spłoszonym wzrokiem nie wiadomo czego. Przypomniał mu się moment, kiedy ocknął się tuż po porażeniu prądem.

Czuł się wtedy, jakby go sam diabeł popieścił. Wtedy również nie miał pojęcia, co się dzieje i gdzie się znajduje. Zaraz po tym naszała go straszna myśl, że on też ma morbus ischaemicus cordis i pewnie już jest martwy. Poczul nawet wstyd, że ludzie znajdą go w tym barłogu.

Usłyszał coś. Dźwięk był ulotny jak szept księdza w konfesjonale. Minęła chwila, zanim zdał sobie sprawę, że to melodia, której źródła nie potrafi zlokalizować. W jego uszach pobrzmiwały nuty pełne tęsknoty i żalu. Było to fascynujące misterium, przyprawiające o gęsią skórkę. Melodia rozbudziła w nim uczucia, o których istnieniu nie miał pojęcia. Zawładnęła nim fascynacja, a pogłos stawał się coraz bardziej wyraźny. Nagle zdał sobie sprawę, że źródłem czarującej melodii jest pobliski las. Wiatr poruszał koronami drzew jak wytrawny wirtuoz, zmieniając akordy z delikatnych w intensywne i tak na zmianę. Było w tym mnóstwo tęsknoty, łagodności i pasji. Wzruszenie wypełniło jego serce. Muzyka pętała umysł, wprowadzając w rozkoszny letarg. Zakręciło mu się w głowie. Jakież to było przyjemne, poczuć ten delikatny zamęt i ekscytację w sercu. Szeleszczący, otaczający go zewsząd zaśpiew zdawał się zrozumiały i klarowny, choć jednocześnie pozostawał ulotny jak kropla deszczu, która traci swój kształt zaraz po tym, jak spadnie na ziemię.

Rano jego wspomnienia okazały się spowite gęstą mgłą, nie pamiętał nawet, jak znalazł się w łóżku. Zaczął podejrzewać, że coś mu się przyśniło. Ulotny, intensywny sen, którego sens, choć zdaje się znajdować na wyciągnięcie ręki, wciąż pozostaje nieuchwytny. Wydarzenia ostatniej nocy przesłaniała tajemnicza i gęsta pomroka, a on pozostał z niejasnym uczuciem przeżytego fenomenu. Próby przypomnienia sobie szczegółów przyprawiły go o ból głowy. Czuł się bardzo dziwnie. Z jednej strony zaczął się zastanawiać, czy wszystko z nim w porządku, a z drugiej miał nieodparte wrażenie, że stoi u progu odkrycia jakiejś tajemnicy. Przez resztę dnia chodził po domu rozkojarzony i lekko rozdrażniony. Cisza, która go otaczała, wydawała mu się wymowna, zachłanna. Czuł, że coś wisi w powietrzu.

Następną noc ocknął się w tym samym miejscu za domem, jednak tym razem przeszywał go intensywny ból. Jakby ktoś ścisnął kombinerkami opuszki jego palców. Koszmarne pulsowanie przenikało każde włókno jego ciała, docierając aż do mózgu, który zaczynał już tętnić, jakby miał eksplodować. Oszołomiony spojrzał na dłonie. Były umazane świeżą ziemią i krwią, a jeden z paznokci odstawał pod niewłaściwym kątem. Początkowe oszołomienie zostało szybko wyparte przez strach, który jak wąż owinał się wokół kręgosłupa. Miejsce, w którym powinien znajdować się paznokieć, stanowiło mięsistą, krwawiącą i rozjątrzoną ranę. Zrobiło mu się niedobrze, a kiedy pochylił się ku ziemi, dostrzegł świeżo rozkopaną glebę. Padł na kolana i patrzył z niedowierzaniem. Zauważył drugi paznokieć. Leżał tuż obok niewielkiego kamienia. Zrozumiał, że to on musiał w jakimś amoku rozkopać ziemię gołymi rękami, zrywając przy tym paznokcie i raniąc skórę dłoni. „Co tu się do diabła wyprawia?!”, krzyknął do księżycy, ale odpowiedział mu tylko puszczyk.

Z jego oczu popłynęło kilka łez. Szok i ból mąciły umysł do chwili, kiedy usłyszał pierwsze osobliwe akordy, płynące spokojnie jak martwa posztormowa fala na głębokim morzu. Dźwięki były ciche i dyskretne jak górski strumyk szemrzący w oddali. Niecodzienna kompozycja szybko wprawiła go w zniewalający bezwład ciała i umysłu. Sączyła się do jego uszu. Do jego serca. Była jak woda, która wdziera się przez każdą dostępną szczelinę. Melodia była jak uścisk matki, która tuliła go do spódnicy, wciskając w rękę pajdę świeżego chleba z masłem i cukrem. To było takie sentymentalne, rozczulające, że zaczął płakać, tyle że łzy przynosiły mu radość i ulgę. Wypełniły go silne emocje. Jakby sam stał się instrumentem. Rozbudzona pasja przyprawiła go o gorączkę. Drzewa szeptały coraz głośniej, skarżąc się, tłumacząc mu coś, a on miał wrażenie, że unosi się w powietrzu, choć wciąż pozostawał na ziemi. Przez chwilę poczuł się zawieszony w nieodgadnionej przestrzeni. Czuł otaczającą go potęgę. To było spektakularne, chwytające za serce. Wszystko było jednocześnie niezrozumiałe i klarowne. Fascynujące i przerażające zarazem. Póki słyszał dźwięki, rozumiał je, jednak wystarczyło, że umilkły, a cały sens ulatywał z niego, pozostawiając zaledwie przecucie, że obcował z czymś wspaniałym i potężnym.

Rano wymowa osobliwego koncertu znikła jak poranna rosa przy pierwszych promieniach słońca. Poczul się zagubiony. Przytłoczyła go świadomość, że jest małym, nic nieznaczącym robakiem, a jednocześnie jak nigdy wcześniej poczuł się częścią wszechświata. Czuł się również bogatszy wewnątrz. Uświadomił sobie, że dopuszczono go do tajemnicy uświęconej milionami lat istnienia. Przez te ulotne minuty, może godziny – nie miał pojęcia, ile trwał cudaczny spektakl – mógł choćby w niewielkim ułamku poznać boski zamysł i harmonię. Poczul się jeszcze bardziej nic nieznaczący, mały i zagubiony.

Następnego dnia zapragnął odwiedzić grób żony. Ona zawsze wiedziała, co powiedzieć, żeby podtrzymać go na duchu. Umiała wszystko wytłumaczyć i potrafiła znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Była jego słońcem, które nigdy nie zachodziło, dopóki nie umarła. Stojąc nad jej mogiłą, przypomniał sobie 1993 rok. Jego zakład miał poważne problemy i pojawiło się widmo masowych zwolnień. Chodził jak struty. Był jak cień błakający się po kątach, ale ona powiedziała tylko: „Nie przejmuj się tak, Antos”. Akurat gniotła ciasto na stolnicy i cała była upačkana mąką. „Przecie oni nie są głupi, żeby pozbywać się takiego robotnika jak ty. Kto im będzie za dwóch robił?”. Udawał, że jej nie słucha, że zbywa ją machnięciem ręki. Trochę jak jego ojciec, wtedy, kiedy poszedł pomagać przy budowie szkoły. Jednak jej słowa rozgoniły wszystkie lęki. Dodały mu otuchy i ostatecznie nie zwolniono go z pracy. Wierzyła w niego bardziej niż on sam. Przy niej nic nie było straszne. Wszystko miało tylko jasne strony.

Z przyjemnością wciągnął w płuca haust świeżego powietrza, stojąc nad jej grobem. Dzień był słoneczny i poczuł przyjemne ciepło na plecach i karku, kiedy pochylał się, próbując zapalić znicz. Robił to niezdarnie, ponieważ jego dłonie owinięte były bandażami,

na których zdążyły wykwitnąć karmazynowe kwiaty. W oddali dostrzegł grabarza pochylonego nad świeżo wykopanym grobem, ale nie obeszło go, kto umarł. Wszyscy, których kochał, już dawno odeszli. Resztę mogą porwać diabli. Nagle spojrzął jeszcze raz w tamto miejsce, czując, że coś mu świta. Spojrzął na nagrobek żony i uśmiechnął się do jej zdjęcia. Czuł, że to jej sprawka. Przywiodła go tutaj. Była jak światło na końcu tunelu, za którym podążał. Kochana, niezastąpiona kobieta. Nawet z zaświatów miała na niego oko. To dzięki niej natknął się na kopidoła i wiedział już, co musi zrobić.

Wracając do domu, poczuł ból w stopie, którą mu amputowali. Przypomnił sobie, że lekarz wspominał o tym. *Jak on to nazywał*, musiał pogrzebać chwilę w pamięci jak na zapuszczonym strychu, *bóle fantomowe*. Przypomnił sobie. Przez resztę drogi zastanawiał się, co to za złuda, skoro łupie jak jasna cholera.

W nocy po raz kolejny ocknął się za domem. Choć już nieco mniej, to wciąż był oszołomiony i lekko zdezorientowany. Poczul intensywny zapach świeżo rozkopanej ziemi i gnijących korzonków. Nad głową miał ciemne, nieprzeniknione niebo i ledwie kilka gwiazd do towarzystwa. Gdzieś daleko we wsi zaszczekał pies. Inne mu zawtórowały. Dłonie pulsowały mu z bólu. Bandaże były przesiąknięte krwią. Tym razem ścisnął w dłoniach łopatę. Tę samą, którą wbił w ziemię zaraz po powrocie z cmentarza. Dół był głęboki na jakieś półtora metra. Otoczony ziemią poczuł się jakby żywcem pochowany. Wypełniły go mroczne, nieprzyjemne myśli. Jakby sam sobie kopał mogiłę. Przeszył go złowrogi dreszcz.

Na szczęście szybko pojawiło się ukojenie w postaci dźwięków dobiegających z lasu. Chociaż noc była bezwietrzna, konary kołysały się w osobliwym, ekstatycznym tańcu. Miał wrażenie, jakby drzewa zebrały się wokół niego, żeby snuć swoją rzewną opowieść. W miarę upływu czasu melodia zdradzała coraz więcej podniecenia i ekscytacji. Las nucił, opowiadał jak wytrawny gawędziarz swoją najlepszą historię. Im bliżej było finału, tym napięcie stawało się nie do zniesienia. Nagle zrozumiał. Ta świadomość spłynęła na niego niespodziewanie. Jak błyskawica na ciemnym niebie, zwiastująca rychłą burzę. One chciały, żeby kopał dalej. W ziemi musiało się znajdować coś bliskiego ich sercom. Coraz wyraźniej słyszał szept, szelest, zachętę. *Kop głębiej, nie przestawaj*.

Złapał za łopatę i rzucił się gorączkowo do pracy. Przez długą chwilę słychać było tylko jego świszczący oddech. Las zaczął szumieć, szemrać i mruczeć coraz głośniejsze. Wyczuwał Ich rosnącą ekscytację. Czuł na sobie Ich wzrok. Dopingowały go. W jego płucach świszczowało jak w starym kominie, pot spływał mu po plecach, a w głowie zaczynało się kręcić z wysiłku. Melodia stawała się coraz szybsza. Choćby chciał przerwać, nie mógł. Nie był już panem swojego ciała. To One przejęły nad nim kontrolę. *Głębiej, głębiej*. Jego ciało zdawało się powtarzać wyuczone wcześniej ruchy, a on był tylko bezwolnym świadkiem tego spektaklu. Czuł ból w krzyżu, ale melodia zdominowała go. Była coraz

szybsza. Podniecenie zdawało się sięgać zenitu. Serce biło jak szalone. Miał wrażenie, że zaraz straci przytomność. Chocholi taniec stawał się coraz szybszy. *Kop, kop*. Jeszcze chwila. Jeszcze sekunda. Jeszcze... nagle trafił na coś twardego. Odrzucił łopatę i zaczął odgarniać ziemię dłońmi, nie bacząc na ból. Wygrzebał coś i w tym samym momencie zapanowała cisza absolutna. Totalny bezgłos. Nabożne milczenie.

Wyszedł z dołu, niezgrabnie wspinając się po osuwającej się ziemi. Było w tej ciszy coś z gorliwej religijności. Antoni był oszołomiony, obolały i podekscytowany. Wyciągnął nad głowę ręce, w których trzymał znalezisko. Czuł się jak kapłan, a cisza zdawała się określać potęgę wiernych. Tę chwilę potrafił przyrównać jedynie do konsekracji podczas mszy świętej, kiedy dokonuje się bezkrwawa ofiara. Tajemnica. Podniósł głowę, żeby zobaczyć skamieniałą korę dębu, skąpaną w świetle księżyca. Niczym celebrans padł na kolana przytłoczony potęgą, która wypełniła powietrze i jego serce. To było niesamowite. To była ekstaza, upojenie. Euforia. Las westchnął głęboko, donośnie. Nawet trawa zdawała się kłaniać z pokorą.

Podniósł się z kolan. Wciąż był oszołomiony. W ustach czuł słony smak łez. W sercu czuł żar. W głowie wciąż panował zamęt. Oczyścił skamielinę z drobinek ziemi. Spojrzał z lękiem i jednocześnie z pożądaniem. Czuł ogromną wolę życia, która emanowała ze znaleziska. W dłoniach poczuł delikatne mrowienie, jakby błąkał się w niej niewielki ładunek elektryczny. Promieniowała z niej moc, boskość, świętość! Czy powinien dotykać jej gołymi rękami? Czy jest godzien? Mrowienie nasiliło się. Rozejrzał się wokół. Gdzie okiem sięgnąć otaczał go las. Drzewa obserwowały go w skupieniu. Ciemność gęstniała wokół niego. To była Wielka Noc. Tymczasem mrowienie stało się tak silne, że sprawiało mu ból, który przyłgął do niego jak wilgotny kozuch. W pewnym momencie nie potrafił znieść cierpienia i z krzykiem odrzucił skamielinę na ziemię. Uświadomił sobie, że to coś wysysało krew z jego dłoni. Skamieniała kora dębu sączyła jego posokę z rosnącą natarczywością. Łapczywie i zachłannie, jakby trzymał w dłoni czterdziestocentymetrową pijawkę.

Dłonie trzęsły mu się, częściowo z bólu, a częściowo ze strachu i zaskoczenia. Spłynęła na niego przerażająca myśl, że wykopał coś plugawego. Coś, co powinno pozostać w ziemi na wieki. Dał się omotać, zwieść diabelskiej sile. To było wstrętne. Złapał za szpadel i zaczął zakopywać dół. Dopiero po chwili opamiętał się, że przecież fosylia wciąż leży w trawie. Ostrożnie nabrał ją na łopatę, spoglądając w stronę lasu. Obawiał się, że drzewa zejdą się wokół niego i spętają swoimi gałęziami. Nic takiego się nie stało. Kora mieniła się w księżycowym świetle czernią i granatem. Wrzucił ją do dołu, zasypując najszybciej, jak potrafił, i nerwowo oglądając się za siebie. Tymczasem drzewa pozostały na swoich miejscach.

Dobiegł do domu na miękkich nogach. Zamknął się na wszystkie spusty. Oczekiwał

niezwykłości i cudów, ale noc pozostała spokojna. Psy ujadały w oddali jak wcześniej. W lesie odezwał się puszczyk. Nie działo się nic niezwykłego. Na wpół żywy ze strachu i zamętu, który panował w jego głowie, zaparzył sobie waleriany. Z lękiem spoglądał przez okno, gasząc uprzednio światło w pokoju. Noc była ciemna, nieprzenikniona, ale wiedział, że gdzieś tam w oddali stoją drzewa, które czujnie mu się przyglądają. Długo nie mógł zasnąć. Nie potrafił powstrzymać się od zerkania w okno. Musiał wiedzieć, czy czarna ściana lasu nie zbliżyła się do domu.

Obudził się nagle, siadając nerwowo na łóżku. W domu było już widno. Towarzyszyło mu straszne przeświadczenie, że zrobił coś złego i głupiego. Uczucie ssania, które tak przeraziło go w nocy, teraz skojarzyło mu się z tym, co musi czuć matka tuląca niemowlę do swojej piersi. Został wybrany i zawiódł przez swoją płochliwą naturę. Wskoczył z łóżka i kulejąc pospieszył wykopać znalezisko. Dobiegł na miejsce roztrzęsiony i wściekły na siebie. Nagle stanął jak wryty. Na własne oczy zobaczył cud. Kilka godzin później usiadł w pokoju nad czystą kartką papieru i zaczął spisywać ewangelię. To był jego obowiązek.

III

Nowakowa czekała pod drzwiami dłuższą chwilę. Już miała odejść, kiedy drzwi otworzyły się, a w progu stanął Antoni. Jego aparycja zaskoczyła ją. Wyglądał, jakby dawno nie zmieniał ubrania. Skórę miał zszarzałą, schudł znacznie, a pod oczami majaczyły sine obwódki. Wzrok miał mętny, odniosła wrażenie, jakby jej nie poznawał. Stali chwilę w milczeniu, aż wreszcie zrobił miejsce, żeby mogła wejść. Jej entuzjazm nieco przygasł. Nie spodobał jej się wygląd Antka, podobnie jak bałagan i duchota panująca w domu. Powietrze zdawało się zakwaszone. W kuchni było jeszcze gorzej. Na stole wały się zeschnięte resztki jedzenia. Na ceracie zastygły plamy, które tworzyły niepokojące wzory. Zlew był pełny. Brudne naczynia wrzucone były chaotycznie. Nad nimi kręciły się muchy. Wszystko tutaj znajdowało się w nieładzie. „Wieki całe już cię nie widziałam w sklepie”, odezwała się, ale jej głos stracił rezon. Dziwnie zabrzmiał w tym brudnym otoczeniu. Dostrzegła w Antonim coś, co wzbudziło jej lęk. Może to był wyraz jego oczu, a może cała sylwetka. Stał brudny, pomięty, bosi i milczący. „Zmizerniałeś, Antek, co z tobą?”. Nie odpowiedział, a jej puls przyspieszył. Rozejrzała się. Nie mogła zrozumieć, jak dom mógł się tak zmienić. Pamiętała go jeszcze za życia Gabrysi. Było tu jasno i wesoło. Teraz wszystko znajdowało się w stanie dziwnego rozkładu. Nawet powietrze zdawało się zepsute. I on, Antek, był jakiś inny. Jakby z za tych mętnych źrenic obserwował ją ktoś zupełnie obcy. „Nieżyły masz tu bajzel”, podeszła

do zlewu i odkręciła wodę. „Zawsze mówiłam, że chłop bez baby długo nie pociągnie”. Mówiła, starając się wyrzucać z siebie jak najwięcej słów. Cisza wydawała się jej upiorna, a słowotok był jedynym lekarstwem, żeby odegnać strach. „Pomyślałam: wpadnę, zajrzę, co tam u ciebie...”, mówiła, nie patrząc na niego, „...przecie na takim pustkowiu to zwariować można tak samemu”.

Wzięła się za zmywanie, choć najchętniej rzuciłaby wszystko i wybiegła na zewnątrz. Zganiła się w myślach za własną głupotę. To pewnie dlatego, że zjawiała się tutaj pierwszy raz od śmierci Gabryśki. Jednak nie potrafiła stłumić niepokoju, który ją wypełnił. Który sprawiał, że chwilami włoski stawały jej dęba na karku. Coś musiało być w powietrzu. Powinna otworzyć okna, wpuścić świeże powietrze i słońce. „Potrzebny mi nawóz”, usłyszała go tuż za sobą. Jego głos był chrapliwy, obcy. Odwróciła się, czując, że zalewa ją zimny pot. Coś mignęło w powietrzu. Gdzieś w tle dostrzegła jego twarz, ale była rozmazana, niewyraźna jak poruszona fotografia. W jej uszach rozbrzmiał głuchy dźwięk. Coś się stało, ale nie była pewna co. Była zbyt przerażona, zszokowana i zdeorientowana, nieświadoma nawet bólu. Coś szarpnęło nią, uwierało w głowę. COŚ było nie tak, jak powinno. W mózgu czuła nieprzyjemne mrowienie. I jeszcze to wrażenie, jakby ktoś wylał jej na głowę ciepłą czekoladę, która spłynęła na twarz. Wreszcie osunęła się na podłogę. Antoni złapał za trzonek siekiery, który sterczał jej z głowy, jednak nie potrafił jej wyciągnąć. Rozejrzał się za młotkiem. Wiedział, że bez niego się nie obejdzie.

Noc była wyjątkowo ciemna. Księżyc zniknął za niewidocznymi na czarnym niebie chmurami. Ola zatrzymała się, widząc samotny dom, stojący na polanie otoczonej lasem. W głowie kręciło jej się od wypitego wina, ale skinęła na swojego chłopaka, ponaglając go. Robert podszedł do niej, rzucając pustą butelkę w krzaki. Natychmiast próbował ją objąć, łapiąc przy okazji za pośladek. „Weź się”, strąciła nachalną dłoń. „Wiesz, kto tu mieszka?”. Chłopak spojrzał za jej palcem. Ledwie dostrzegał zarys budynku. Pokręcił głową, dając do zrozumienia, że nie ma pojęcia. „Taki jeden stary dziwak”, oznajmiła. „No i co?”, czknął głośno, „Kręcą cię tacy?”. Uderzyła go w ramię. „Słyszałam, że ten ramol zgarnął niezłą kaskę z elektrowni. Miał jakiś wypadek czy coś”. „Myślisz, że trzyma ją w domu?”, w jego głosie pobrzmiwało niedowierzanie. „Tacy jak on zawsze kiszą kasę w skarpecie”. „I co, chcesz ją zabrać?”, zapytał bez większego zdziwienia. Bez słowa skinęła głową. „A co ja będę z tego miał?”. Spojrzała na niego, „Oprócz kasy?”, jej dłoń wylądowała między jego nogami i zacisnęła się na przyrodzeniu, „Może będziesz miał odrobinę szczęścia i pozwolę ci

się pobawić moją pisią”. Zaśmiał się, oblizując wargi.

Przecieli polankę, wchodząc na posiadłość od strony południowej. Rozdarła sobie koszulkę o drucianą siatkę i cicho zakląła. Zatrzymali się przy dużym dębie z rozłożystą koroną, która jeszcze bardziej zagęszczała mrok. „Co tu tak cuchnie?”, Robert wciągnął nosem powietrze, krzywiąc się przy tym. „Skąd mam wiedzieć?”, syknęła wściekła. „Może to drzewo tak wali? Chodźmy lepiej po kaskę”. „Czekaj”, zrobił kilka kroków w stronę drzewa, „Cuchnie trupem”. „Przestań pieprzyć”, poczuła się niepewnie. „Zaczekaj chwilę”, sięgnął po telefon komórkowy, „Co tam jest?”. „Gdzie?”, wytyczyła wzrok, ale było zbyt ciemno. „Tam”, skierował światło telefonu na pobliską gałąź. „Ja cię pierdolę, zobacz to”, pociągnął ją za ramię tak, że niemal straciła równowagę. Spojrzeli tam, gdzie skierował światło telefonu. Z gałęzi coś zwisało. Światło nie sięgało tak daleko, rozpraszało się, ginąc w ciemności. Niczego nie dostrzegła. Musieli zrobić jeszcze dwa kroki. Wtedy zauważyła to. Ludzką dłoń odrąbaną tuż nad nadgarstkiem, przywiązaną rzemieniem do gałęzi. Zwisała palcami w dół niczym makabryczny rebus. „Boże”, dziewczyna czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Szybko się zorientowali, że więcej gałęzi zostało udekorowanych w ten sposób. Wszędzie pełno było dłoni i stóp. Niektóre z nich były w stanie rozkładu. Zwisały z drzewa jak upiorne amulety.

„Co to za miejsce?”, zapytał z obrzydzeniem i strachem. Odwrócił się do niej, jakby oczekiwał wyjaśnień. Próbowwała się odezwać, ale nie potrafiła zmusić ust, żeby się otworzyły. Chciała mu powiedzieć, że widzi bladą sylwetkę, majaczącą w ciemności tuż za nim, ale jej język zesztyniał. Odmówił współpracy. Nagle chłopak zesztyniał. Zamarł i spojrzał na nią ze zdziwieniem i żalem. Obydwoje spojrzeli w dół. Z jego brzucha sterczały zęby wideł, po których spływała krew. Jego krew. Próbował coś powiedzieć, ale było już za późno. Słowa uwięzły mu w gardle. Nie mógł już rozmawiać. Przecież martwi nie mogą mówić. Widziała, jak jego oczy zachodzą mgłą. Ogarniał ją coraz większy strach, ale nie mogła się ruszyć. Była jak posąg odlany z brązu. Chłopak opadł na kolana, żeby ostatecznie paść na brzuch. Z jego pleców sterczały widły. Teraz w polu jej widzenia znajdował się wychudzony stary człowiek. „Potrzeba więcej nawozu”, odezwał się nieprzyjemnym głosem.

Chciała uciekać, niczego jeszcze nie pragnęła w życiu tak bardzo. Alkohol wyparował z niej w ciągu ułamka sekundy. Spociła się, jakby stała przy otwartym piekarniku. Serce łomotało jej w piersiach. Nie była zdolna do najmniejszego ruchu. Mogła tylko obserwować starego, który właśnie rozebrał Roberta do naga. W jego chudej bladej ręce zamajaczył sierp, który wbił z impetem w brzuch chłopaka. Zaczął się siłować, próbując rozciąć stawiającą opór skórę. Stary sapał i szarpał sierpem, kalecząc zwłoki coraz bardziej. Jego zmaganiom towarzyszył dźwięk przyprowadzający ją o mdłości. Docierały do niej ciche, tępe i głuche odgłosy. Obrzydliwe, wręcz wulgarne i lubieżne. Na jej dzinsach pojawiła się ciemna plama. Nie zapanowała nad pęcherzem. Nie panowała już nad niczym. Nawet nad sutkami, które

zesztywniały i pulsowały boleśnie.

Oprawca złapał za kozik i włożył ręce w brzuch chłopaka, zanurzając je aż po łokcie. Po chwili wyjął blady kawałek mięsa. Narząd lśnił, ociekając krwią i śluzem. Wyślizgnął mu się z rąk, padając na trawę z nieprzyjemnym, sprośnym cmoknięciem. Ola widziała wszystko coraz mniej wyraźnie. Widziała, że ten obleśny staruch ma więcej narzędzi. Była wśród nich piła, siekiera, duży młot i inne, których nie potrafiła rozpoznać. Co jakiś czas przerywał posapywanie i mówił coś o nawozie. Wokół unosił się intensywny odór. Ziemia była mokra od wydzielin, narzędzi i porozcinanych płatów skóry. Robert po chwili przypominał krwawy ochłap mięsa. Nagle dziewczyna odzyskała władzę w nogach. Nie zastanawiając się wiele, zerwała się do ucieczki. Udało jej się zrobić dwa kroki, kiedy coś zacisnęło się wokół jej szyi. Spojrzała zaskoczona. Kto to? Musiała stracić rozum, bo to, co czuła na szyi, przypominało gałąź tego przeklętego dębu.

Chmury płożyły się na niebie, przypominając tafłę jeziora, którą marszczy lekka bryza. Do zachodu miał jakieś dwie godziny. Wiktor spojrzał na polankę, gdzie przy ogrodzeniu przed domem czekał na niego mężczyzna. Czuł się dziwnie, zbliżając się do tego miejsca. Starszy człowiek, który stał przy płocie, wyszedł mu naprzeciw. Spojrzeli na siebie w milczeniu i weszli na opuszczoną posiadłość. „Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać”, rzucił, choć nie doczekał się odpowiedzi. Rozejrzał się dokoła. „Więc to tutaj, co?”. Starszy człowiek wciąż milczał, skinął tylko głową twierdząco. „To co, panie Władku, opowie mi pan, jak to było z tym całym Antonim?”. Jego rozmówca sięgnął do kieszeni, skąd wyjął wymiętego papierosa. Włożył go w usta i zapalił. „A co pan wie?”, odezwał się wreszcie. Wiktor wcisnął dłonie do kieszeni spodni, wciągnął głęboko powietrze i spojrzał na resztki spalonej szopy. „To, co wszyscy. Mieszkał tu jakiś starszy gość, zupełnie sam. Oszalał po śmierci żony...”. „A może zawsze był szalony?”, przerwał mu mężczyzna. „Kto wie”, nie dał się wyprowadzić z rytmu, „W każdym razie zaczął zabijać. Zamordował miejscową sklepową...”, policzek słuchającego go mężczyzny drgnął nieznacznie, „...zabił podobno jeszcze kilka osób, ale jakoś niewiele na ten temat jest informacji. Wszystko skończyło się, kiedy zamordował młodego chłopaka i uwięził jego dziewczynę. Z tego, co mi wiadomo, zanim policja dotarła z nakazem, spalił ją i siebie. Podobno była w ciąży”. Jego słuchacz spojrzał na niego, splunął i rzucił, „To gówna pan wiesz”.

„Miejscowa sklepowa, o której pan wspomniałeś, to moja żona”. Wiktor poczuł się zmieszany. Wbił wzrok w podłogę i przeprosił starego. „Nic nie szkodzi, skąd miałeś pan

wiedzieć? Mówiłem jej, żeby zostawiła tego skurwysyna w spokoju. Nigdy za nim nie przepadałem, ale moja żona przyjaźniła się z Gabrysią, znaczy się z jego żoną. Antek zawsze wydawał mi się sobkiem i odludkiem. Taki marzyciel z głową w chmurach. Zawsze mówiłem, że tacy są jak chodzące bomby zegarowe. Gdybym wiedział, że się do niego wybiera, zamknąłbym ją w pokoju. Bóg mi świadkiem, tak bym zrobił”, spojrzał w niebo, a jego oczy zrobiły się wilgotne. „Wszystko jest niby tak, jak pan mówiłeś. Zabił moją żonę, zabił tamtych nastolatków. Było kilka innych ofiar. Ale wiesz pan, że ciało jako takie uchowało się tylko po tej nastolatce? Całą resztę identyfikowali wyłącznie po DNA i jakichś resztkach zakopanych w ziemi i wiszących na drzewie. Wyobrażasz pan sobie? Zrobił z mojej żony pierdoloną ozdobę choinkową i nawóz”, z trudem przełknął ślinę. Wiktor nie był gotowy na takie wyznanie i sam zaczął przebierać nerwowo nogami. Zawsze źle się czuł w obecności ludzi, których spotkała jakaś tragedia.

„Ile w sumie było ofiar, pewnie się nie dowiemy. Nie wiem, czy nawet policja jest tego pewna. Jedni mówią o pięciu. Inni, że było tego znacznie więcej. Ale nieważne. Wiesz pan, nie dawało mi to spokoju. Chodziłem tu, kręciłem się przy tym przeklętym domu jak ćma przy ognisku. I wreszcie znalazłem jego zapiski”. „Zapiski? Mówi pan, że pisał jakiś pamiętnik?”, Wiktor poczuł przypływ adrenaliny. „Pamiętnik? Ten sukinsyn nazywał to nową ewangelią”. Mężczyzna splunął ponownie. „Słucham?”. „Panie, nawet pan nie zdajesz sobie sprawy, co on tam wypisywał. Twierdził, że wykopał z ziemi jakąś skamielinę, a ona piła jego krew i puściła pęd. Wyrósł z tego dąb. Dokarmił go własną krwią. Rozmawiał z nim, zresztą, kurwa, jemu się wydawało, że rozmawia z całym lasem. Dasz pan wiarę?”. Wiktor zaczął nabierać wątpliwości, czy facet, z którym się spotkał, jest przy zdrowych zmysłach. „Widzę, że pan nie wierzysz. Kolejny staruch, który stracił żonę i oszalał, co? Pisał, że dokarmił to drzewo, a ono rosło. Kiedy już było większe, potrafiło samo zwabić do siebie wiewiórki, zaskrońce, a później nawet dziki. To drzewo z nim rozmawiało. Pomyślałem wtedy to, co pan teraz myślisz. Stary pierdziel zbzikował do reszty”. Wiktor odezwał się najspokojniej, jak potrafił. „Skoro były jakieś pamiętniki...”. „Ewangelia.”, poprawił go, „OK, ewangelia. To dlaczego policja tego nie znalazła?. „Panie, policja jak ma dowody, nie interesuje się tak bardzo motywem. Motyw zresztą był chyba oczywisty. Szaleństwo. Po cholere mieli tracić czas? Za to ja, ja tego czasu mam znacznie więcej”. „No dobrze. Ale sam pan powiedział, że wziął go za szaleńca. Co panu kazało myśleć inaczej?”. Chwilę milczeli oboje. Wreszcie mężczyzna odezwał się, „Chodź pan. Pokażę panu”.

Przeszli kilka metrów i zatrzymali się przed dębem. Drzewo wyglądało na umierające. Jego obumarłe konary sterczały na tle czerwieniejącego nieba. Gałęzie były krzywe, toczone bolesną śmiertelną chorobą. Wyglądało to paskudnie. „Miejsce, w którym stoimy, wszystko wokół tego dębu i on sam też, jest w pewnym sensie jednym wielkim grobem. Tutaj znaleziono ludzkie DNA”. Wiktor spojrzał z niechęcią na drzewo. „Przecież pan powinien

wiedzieć, czy ten dąb rósł tutaj od dawna, czy faktycznie pojawił się nagle”. „No i widzisz pan. Dziwna rzecz, bo ani ja, ani ktokolwiek, z kim rozmawiałem, za cholere nie pamięta. Stało, nie stało, nikt tego nie potrafi powiedzieć”. „Panie Władku, pan się nie obrazi, ale jakoś tego nie kupuję”. Mężczyzna patrzył na niego dłuższą chwilę. Jego oczy zdawały się nieodgadnione. Wiktor zaczął się zastanawiać, czy aby ten gość nie jest równie niebezpieczny jak bohater tej całej historii. „Kiedy policja tutaj pracowała, to drzewo było zdrowe jak pan czy ja. Było zielone i miało rozłożystą koronę. Miało się całkiem dobrze. Wszystko się zmieniło, kiedy któregoś dnia postanowiłem upamiętnić śmierć żony i przybiłem do jego pnia obrazek Matki Boskiej, wiesz pan, dla żony i wszystkich innych. Kiedy wbiłem w nie gwóźdź, to pierdolone drzewo ożyło”. Mężczyzna rozpiął koszulę i pokazał swoją klatkę piersiową, na której czerwieniły się głębokie rany. „Dwadzieścia szwów, tyle mi założyli w szpitalu. Kiedy tutaj wróciłem, drzewo wyglądało tak jak teraz. Ono umiera od momentu, kiedy umieściłem obrazek Matki Boskiej, który był poświęcony przez naszego proboszcza”. „To gdzie on teraz jest?”, Wiktor zerknął na wysuszony pień.

Mężczyzna zbliżył się do drzewa, zachęcając do tego samego Wiktora. „Patrz pan”, wskazał miejsce, w którym kora była wypukła. Na pierwszy rzut oka wyglądało to, jakby w tym miejscu znajdowała się dziupla. Jednak to kora narosła na relikwii, otulając ją, pochłaniając kawałek po kawałku. Widać było już tylko oczy Matki Boskiej. „O kurwa”, zaklął. „Lepiej się odsuńmy. Strzeżonego Pan Bóg strzeże”. Wiktor posłuchał rady i wycofali się kilka kroków. „Ma pan te notatki? Znaczą tę ewangelię?”, „Nie. Spaliłem w cholere. Niech mnie pan nie pyta dlaczego. Po prostu czułem, że to gówno trzeba unicestwić. Nawet pan nie zdajesz sobie sprawy, co tam było napisane. Ale mogę panu pokazać to”, wyjął z kieszeni fotografię, na której widać było grupę techników policyjnych, zbierających materiał pod przeklętym dębem. Drzewo wyglądało na zdrowe. Zupełnie inaczej niż teraz. Po chwili mężczyzna sięgnął po zapalniczkę i spalił zdjęcie. „Co pan robi!”, krzyknął Wiktor. „Przemyślałem sobie to wszystko. Nie chcę od pana żadnych pieniędzy. Nie będzie żadnych dowodów, to nie będzie artykułu. Teraz to tylko jedna z tych historii, które będzie się opowiadać przy ognisku”.

rys. Roman Panasiuk



WYRYTE W KOŚCI

Olga Rot

I.

Nocą ulice portowych miast południa zamieniają się w pełen niebezpieczeństw labirynt, w sercu którego nie czai się nic poza mrokiem i zagrożeniem. Zbłąkany wędrowiec wpada w jego rozwarte szczęki jak komar w sieć pająka i tylko niewiarygodny cud jest w stanie wyprowadzić go bez szwanku z tej pułapki zaułków i noży.

Zbłądziłem, usiłując o własnych siłach wrócić do skromnego mojego hoteliku, załatwiwszy pomyślnie pewien drobny interes z kapitanem statku „Królowa Południa”. Droga wydawała mi się prostą i niedługą, lecz szybko zorientowałem się, że po zmroku

ciemne ulice zdają się tańczyć dokoła mnie i niepodobnym było odnaleźć tę właściwą. Tubylcy, ci, których ośmieliłem się zagadnąć, widząc we mnie cudzoziemca, odwracali się spiesznie, z niechętnym mi wyrazem twarzy. Dziwne było to miasto, wszędzie czuło się niespotykaną nigdzie indziej nieufność czy nawet wrogość w stosunku do obcych, o czym zdążył już uprzedzić mnie kapitan.

– To dziwne miasto, panie B. – powiedział mi na odchodnym. – Tyle się tu dzieje takich rzeczy, że naprawdę lepiej załatwić, co się ma do załatwienia, i zmiatać stąd jak najszybciej. Ludzie są tacy jacyś nieprzyjaźni, mrukliwi, a jak kto nie zna miasta, łatwo może kiesę i życie postradać. Tu się nie patyczkują, nożem pod żebro i cześć. Po prawdzie, to im się nie dziwię, takie rzeczy się dzieją... ludzie giną, dzieci, jakieś dziwne śpiewy słysząc nocami w niektórych domach czy na cmentarzach... Po nocach ludzie jacyś chodzą po chałupach, a rano się okazuje, że tego czy tamtego nie ma... Nie wiadomo, kto ich zabrał, władza, bandyci czy kto tam jeszcze, i dlaczego... No to nic dziwnego, że ludzie są nieufni. Są nieufni, bo dziwne rzeczy się dzieją, i dziwne rzeczy się dzieją, bo ludzie są nieufni. Tak czy inaczej, na pana miejscu trzymałbym się dzielnicy Centralnej, tam przynajmniej świecą się latarnie. A w ogóle to nocą niech pan lepiej siedzi w hotelu. Nie ma po co kusić losu.

Tymczasem ja właśnie zaryzykowałem, idąc pieszo do hotelu i rezygnując z dorożki czy chociaż przewodnika. Nie miałem przy sobie dość pieniędzy, by opłacić jedno czy drugie, sądziłem bowiem, że swój interes uda mi się załatwić szybko i jeszcze przed zmrokiem wrócić na kwaterę. Tymczasem rozmowa nasza przeciągnęła się niespodziewanie i gdy opuściłem statek, było już zupełnie ciemno. Próbując odtworzyć w pamięci drogę, jaką przebyłem idąc w drugą stronę, ruszyłem przed siebie, nurkując głową naprzód w mrok rzucany przez gnijące budynki. Mijałem mamroczących niezrozumiale pijaków i milczące, lecz bynajmniej nie przyjazne grupki mężczyzn stojących na rogach ulic i w bramach. Obserwowali mnie uważnie, lecz pozwalali mi przejść. Coraz bardziej jednak traciłem orientację i perspektywa przeczekania nocy w jakiejś bramie wydawała się coraz bardziej realną.

Błądziłem kilka godzin, aż wreszcie wydostałem się na otwartą przestrzeń. Jakieś sto metrów przede mną rozciągała się szeroka połać miejskiego cmentarza, tu i ówdzie rozświetlona płomieniami świec. Nie jestem przesądny, teraz jednak niezbyt podobała mi się myśl, że mógłbym włóczyć się po cmentarzu o północy tuż przed wiosennym ekwinokcjum. Już chciałem zawrócić, gdy spomiędzy grobów wyłoniła się wysoka, smukła postać otulona ciemnym szalem. Podeszła do mnie szybko i zapytała z dziwnym, miękkim akcentem:

– Zgubiliście się, panie?

Gdy potwierdziłem, odrzuciła z twarzy szal i zobaczyłem, że jest to młoda kobieta, niemalże dziecko. W świetle księżycy wyglądała jak posąg jakiejś pogańskiej bogini odlany z brązu, jej wielkie, ciemne oczy wydawały się czarne i bezdenne. Na moment straciłem dech, ona zaś uśmiechnęła się niespodziewanie i ujęła mnie za rękę.

– Zrazu widać, żeście nie stąd. Gdzieście postali? Zawiodę, gdzie trzeba.

Z trudem wydusiłem z siebie nazwę hotelu i ulicy. Kiwnęła głową i poprowadziła mnie ciemnymi uliczkami, akurat w tę stronę, z której przyszedłem. Szła lekko jak duch, nie wydając żadnego odgłosu. Miałem wrażenie, że prowadzi mnie jeden z cieni tego miasta między inne cienie – i z racji tego jestem zupełnie od nich bezpieczny. Patrzyłem na jej włosy wymykające się spod szala i próbowałem zapanować nad oddechem i zawrotami głowy. Udało mi się zapytać ją o imię.

– Jestem Neszama – odpowiedziała krótko.

– Jesteś Żydówką? – zdziwiłem się nieco.

– Nie, panie! – szarpnęła głową. – Jestem dobrą chrześcijanką, ochrzczoną w imię Boże, niech się sławi imię Jego.

– Wybacz, nie chciałem cię zdenerwować. Po prostu twoje imię pochodzi z hebrajskiego i sądziłem, że może mieć coś wspólnego z religią twojej rodziny.

– Moja matka tak mnie nazwała. Ale nie była Żydówką, była dobrą chrześcijanką, jak i ja.

Przez chwilę szliśmy obok siebie w milczeniu. W końcu, pomny słów kapitana, zapytałem z ciekawością:

– Czemu po nocy chodzisz na cmentarz?

– A bo snadź są tacy zmarli, których za dnia nie godzi się odwiedzać – odpowiedziała ostro.

Bałem się, że ją uraziłem. Ona jednak po chwili uśmiechnęła się do mnie i zapytała, kim jestem i skąd pochodzę. Przedstawiłem się i opowiedziałem jej krótko o moim rodzinnym mieście, skąd przybyłem w celu przeprowadzenia badań w miejscowej bibliotece, jestem bowiem dziennikarzem i historykiem z zamiłowania. Skorzystałem z zaproszenia profesora K., wykładowcy na tutejszej akademii i przyjaciela mojego ojca. Neszama zainteresowała się naturą moich badań. Postanowiłem być tajemniczy i z uśmiechem zdradziłem jej jedynie, że chodzi o wierzenia mniejszości etnicznych przybyłych tutaj z Dalekiego Wschodu.

Usilnie myślałem, czym bym mógł jej jeszcze zaimponować. Sięgając do mych wszystkich – przyznaję, że raczej skromnych – pokładów wiedzy na temat kobiecej natury,

uznałem, że tematem, który najwięcej interesuje młodą damę, jest ona sama. Zagadnąłem tedy:

– Niezwykłe masz imię i bardzo piękne.

– Dziękuję – odparła sucho, jakby w obawie, bym znowu w wątpliwość nie poddał jej chrześcijańskiego pochodzenia.

– Nie wiem, czy jest ci to wiadomym, lecz u starozakonnych dusza ludzka nie jest jednolitą, lecz z części dwóch się składa. *Neszama* intelekt i namiętności hamowanie oznacza, jak u Greków *agape*... – zatrzymałem się w swym krasomówczym pędzie, uświadomiwszy sobie, iż ta prosta dziewczyna ma święte prawo nie wiedzieć, o czym mówię.

– Hm, imię to znamionuje kobietę roztropną i powściągliwą.

– Źle nie być taką, gdy się jest Murzynką i to taką... – zawahała się – ...jak ja.

Szła obok mnie, piękna jak noc, a ja myślałem tylko o tym, jak ją poznać lepiej, zatrzymać. Nagle stanęliśmy przed moim hotelem, z czego wcale nie byłem zadowolony. Zwróciłem się do niej:

– Jeśli zechcesz poświęcić mi jeszcze chwilę, obiecuję wynagrodzić cię za twój czas i fatygę. Obiecuję, że będziesz usatysfakcjonowana... rada – dodałem, nie wiedząc, czy rozumie znaczenie tego słowa. Ona jednak potrząsnęła głową.

– Pan się mylisz, ja nie jestem z takich dziewczyn, chociaż po nocy na cmentarz chodzę. – Nie była jednak urażona. Pospieszyłem tłumaczyć się i przeproszać, że o nic zdrożnego mi nie chodziło, a jedynie o wynagrodzenie jej dobrego serca, które skłoniło ją do poratowania mnie w potrzebie. Pragnąłem zapłacić za powóz, którym mogłaby bezpiecznie dostać się do domu. Odmówiła ze śmiechem.

– Znowu mnie pan bierzesz za kogoś, kim nie jestem. Nie boję się chodzić po nocy, ja nie z tych, co się boją. – Zaśmiała się gardłowo, po czym nagle urwała, przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie inaczej, miękko i zmysłowo. – Jedno, czego bym chciała, to jeszcze was, panie, zobaczyć. Jeśli wam towarzystwo służebnej nie wstrętne.

Odparłem od razu głupio i z żarem, że żadne towarzystwo nad jej nie jest mi miłszym. Znow się roześmiała i pogłaskała mnie po policzku.

– Jakbym wiedziała, że obcy są tacy mili, częściej bym im miasto pokazywała – dotknęła palcem mojego nosa i znikła w mroku zaułka.

W nocy nie mogłem spać. *Neszama* nawiedzała mnie jak upiór, wywołując w moim sercu i lędźwiach rewolucje, jakich w całym moim życiu dotąd nie doświadczyłem. Jakimż byłem głupcem, że nie spytałem jej, gdzie mieszka! Znałem tylko jej imię i dotyk jej ciepłej dłoni, i blask księżycy na jej hebanowej skórze. Nie mogąc usnąć, zerwałem się z pościeli

i zacząłem pisać nieskładne listy do matki, w nadziei, że uda mi się uspokoić nerwy i zmęczyć się do tego stopnia, że rzuciwszy się na łóżko, od razu osunę się w zbawczy sen. List mój zaczynał się od zwyczajnych zapytań o zdrowie pozostawionej w dalekim kraju rodziny i zapewnień, iż podróż minęła mi szybko i bez problemów. Później jednak myśli moje zaczęły się rozpraszać, zdania rwały się jak sznury paciorków i powstał z tego taki belkot, że roześmiałem się serdecznie z własnego nieszczęścia. Dorosły mężczyzna, nawet rzec by można, że wkraczający w wiek średni, z miejsca zadurzył się w przypadkowo spotkanej nocą Murzynce. Rodzice moi nie byłiby zachwyceni. Zagłębiony w całkiem wygodnym fotelu paliłem papierosa za papierosem, nie wiedząc, jak jeszcze mógłbym ulżyć swoim napiętym nerwom.

II.

Następnego dnia miałem spotkać się z profesorem K. Kiedy rankiem spojrziałem w lustro, niemal nie rozpoznałem własnej twarzy. Byłem śmiertelnie blady, oczy miałem przekrwione i podkrążone, ogólnie sprawiałem wrażenie człowieka, który całą ubiegłą noc spędził na różnorodnych niestosownych rozrywkach. Zimna kąpiel, puder i woda kolońska ostatecznie ukryły ślady mych nocnych męczarni, drzenie kończyn jednak udało mi się opanować dopiero wówczas, gdy niemal siłą wmusiłem w siebie śniadanie i filiżankę mocnej, czarnej kawy.

W świetle dnia miasto sprawiało o wiele bardziej sympatyczne wrażenie. Ulice były gwarne i rojne, kolorowo ubrani ludzie spieszyli za swoimi sprawami, a w powietrzu unosił się nieokreślony zapach kojarzący się ze śmiechem i beztróską. Nie rozpoznawałem ulic, którymi tej nocy wiodła mnie Neszama: w świetle dnia były przyjazne i wesołe, a przynajmniej takimi mi się wydawały, jak wszystko inne tego dnia. Nie mogłem dojść ze sobą do ładu, nie wiedziałem, czy jestem radosny, czy nieszczęśliwy, czy też może to i to jednocześnie. Kiedy wreszcie stanąłem przed obliczem profesora K., nie panowałem nad sobą do tego stopnia, że chwyciłem go w objęcia, zaraz się zawstydziłem swojego wybuchu i jąłem go przeproszać. Staruszek przyjrzał mi się ciekawie.

– Czyżby jakaś jaskółka przyniosła ci w prezencie złoty włos, mój chłopcze? – zapytał, sadzając mnie w fotelu i częstując herbatą. Skromnie i wstydliwie wyznałem, że miałem tej nocy niezwykle spotkanie i do tej pory nie mogę się otrząsnąć. Profesor roześmiał się i wlał do mojej filiżanki nieco rumu, który w wielkiej tajemnicy chował na biblioteczce za tomem „Raju utraconego”. – Przyda ci się coś mocniejszego. Kobiety to największa

przypadłość serca mężczyzny, a chory organ winien być leczony. Na zdrowie. – Sobie też nalał od serca i wzniosł filizankę. Opowiedziałem mu o Neszamie. Nie był zachwycony; zmarszczył brwi i powiedział po chwili:

– Ja i twój ojciec obawialiśmy się, że do tego dojdzie. Że jak już cię jakaś zauroczy, będzie to albo Cyganka, albo Murzynka. Co myślisz z nią zrobić? Bo żenić się, mam nadzieję...

Odpowiedziałem, że nie zastanawiałem się nad tym. Było to dla mnie zbyt świeże, póki co przeżywałem fale nastrojów i emocji, nie roztrząsając ich przyczyn i źródeł.

– Wiesz, mógłbyś ją... kupić – zasugerował profesor. – Oficjalnie nie ma u nas niewolnictwa, i to już od dobrych kilku lat, ale życie biegnie swoim torem, ludzie mają swoje przyzwyczajenia, a czarnuchom wszystko jedno, czy są wolni, czy też nie. Pracę dają im biali i czy dostają za to pieniądze, które i tam muszą oddać za wikt i opierunek, czy też nie dostają, to już jest Murzynom wszystko jedno. Byle nazreć się i wyspać, a narobić jak najmniej. Wszystkie czarnuchy są takie same.

Nie chciałem kłócić się ze staruszką. Miałem w kwestii niewolnictwa bardziej liberalne poglądy, byłem jednak na tyle dorosłym i dojrzałym człowiekiem, by wiedzieć, że w praktyce muszą się one zmierzyć z panującymi od wieków obyczajami i warunkami ekonomicznymi. Można sobie być humanistą w krainie wiecznej szczęśliwości; w tym rozmokłym, portowym mieście ze wszystkimi jego przesądami i tradycjami, humanizm musiał ustąpić odziedziczonemu po przodkach systemowi, w myśl którego Murzyn służył białemu, czy to z niewolniczego przymusu, czy też z ekonomicznego.

Profesor K. nadal był wzburzony. Wywodził się z jednego z pierwszych rodów osiadłych na Nowym Łądzie i wychowanie, jakie odebrał w domu swego ojca, ukształtowało jego charakter – człowieka pełnego uprzedzeń, lecz w gruncie rzeczy wielkodusznego. Był bez wątpienia rasistą, podobnie jak wszyscy ludzie z jego towarzystwa. Do mnie jednak odnosił się z pełną szacunku serdecznością, przez wzgląd na przyjaźń z moim ojcem i moje osobiste zainteresowania naukowe. Teraz jednak patrzył na mnie pośępnie, jakbym osobiście go czymś obraził. Wreszcie fuknął:

– Przedstaw sobie, że od jakiegoś czasu giną nam w mieście dzieci, białe dzieci z porządnych rodzin. Idą do szkoły, a do domu już nie wracają. Jakby mnie kto pytał, to bym powiedział, że trzeba by malców poszukać na Mason i Hope Street, gnieźdzą się tam całe klany tych negroidów.

Z uprzejmym uśmiechem zapytałem staruszka, jaki więc cel przyświecałby miejscowym Murzynom. Nicco go to stropiło, ale wymamrotał:

– Nie wiadomo, co tam się u nich dzieje, połowa z nich praktykuje voodoo i inne czarostwa. A druga połowa udaje, że nic nie widzi i palcem nie kiwnie, by ukrócić pleniące się wśród nich bezprawie.

Obaj przez chwilę milczeliśmy. Po drugiej filiżance herbaty z rumem staruszek podniósł się i z jednej z szuflad hebanowego biurka wyjął nieduży pakunek owinięty w szary papier. Przywołał mnie gestem i obaj pochyliliśmy się nad bezpośrednią przyczyną mojego przybycia do tego miasta.

Była to niewielka, kościana płytką w kształcie stożka, pokryta osobliwymi znakami nieprzypominającymi żadnego pisma, którym posługują się cywilizowane ludy tej planety. Ja jednak swego czasu miałem okazję zetknąć się z pisemnymi przekazami azjatyckiego ludu Na'Gaja, barbarzyńskiego, lecz stojącego stosunkowo wysoko pod względem rozwoju. Dzięki badaniom doktora Phineasa Richardsona z Uniwersytetu Miskatonic udało mi się zapoznać ze skomplikowanym systemem wierzeń tego szczepu, który z jednej strony umiejętnie tłumaczył zachodzące zjawiska przyrody i sens funkcjonowania wszechświata, z drugiej usprawiedliwiał tak barbarzyńskie praktyki jak składanie ofiar z ludzi czy kanibalizm. Znaki, które zobaczyłem na leżącej na biurku profesora tabliczce, były ludzko podobne do tych, które przedstawił mi doktor Richardson. Nie identyczne, lecz podobne.

– Co o tym myślisz, mój drogi chłopcze? – zapytał mnie szeptem profesor K.

– Nie jestem naukowcem – odpowiedziałem ostrożnie. – Jeśli jednak chce pan polegać na mojej amatorskiej wiedzy i spostrzegawczości, mogę podjąć się próby przetłumaczenia tego tekstu na język zrozumiały. Czy mógłbym wypożyczyć od pana ten obiekt?

Profesor K. był w rozterce. W posiadanie artefaktu wszedł w sposób nieoczekiwany i nie do końca zgodny z prawem, nie chciał się z nim rozstawać, tym bardziej, że miałby znajdować się on nie w chronionym budynku uniwersyteckim, lecz w zwykłym hotelu. Z drugiej strony był świadom, że praca nad przekładem może wymagać czasu, ja zaś byłem prawdopodobnie jedynym człowiekiem na tej półkuli, który był w stanie rozwiązać zagadkę osobliwej tablicy. Ponieważ doktor Richardson pół roku temu zaginął podczas badań w rejonie Konga, pozostawałem jedyną w miarę kompetentną osobą, która mogłaby pomóc profesorowi w odczytaniu zagadkowego tekstu. Mimo to wciąż się wahał. Widząc rozterkę staruszka, zobowiązałem się odszyfrować tekst możliwie najszybciej, może nawet w przeciągu dwóch dni. To ostatecznie przekonało profesora. Powierzył mi tabliczkę jak swój największy skarb, zastrzegając sobie wyłączne prawo do wszelkich wniosków, jakie mógłbym wysnuć podczas swoich amatorskich badań.

Artefakt, który trzymałem w dłoniach, z archeologicznego punktu widzenia był stosunkowo młody, profesora zainteresował jednak ze względu na miejsce, w którym został odnaleziony. Nie stało się to bowiem wśród azjatyckich stepów, gdzie można by się tego spodziewać, lecz w domu pewnego słowiańskiego robotnika kolejowego, który ową tabliczkę traktował z wielkim uszanowaniem jako święty i potężny artefakt odziedziczony po przodkach. Aresztowany pod zarzutem nielegalnego handlu alkoholem, zmuszony był udostępnić władzom śledczym do przeszukania swoje lokum, w którym gnieździł się on sam i jego czternastoosobowa, czteropokoleniowa rodzina. Tabliczkę i kilka innych osobliwych artefaktów znaleziono bez trudu w pokoju noszącym znamiona gościnnego. W tak zwanym świętym kątku stał posrebrzany krucyfiks, obrazek z Bogurodzicą i ów kościany artefakt, z kultem chrystusowym nic wspólnego niemający. Sposób, w jaki z policyjnego depozytu trafił do szuflady biurka profesora K., pozostawał zagadkowy, niezbyt mnie jednak interesował. Trzymałem w dłoniach coś, co stanowiło relikwinię niedawnej i wciąż żywej przeszłości, odbijającej się echem w wielu miastach Zachodu i krzewiącej się w nich jak rak na żywym organizmie.

Kość była niewiele większa od mojej dłoni, dość płaska i spiczasta. Mimo kilkusetletniej historii swego istnienia, wyrzeźbione nań znaki były niemal nietknięte i wciąż czytelne. Osobliwe, kanciaste piktogramy układały się w dwie linijki tekstu, który miałem nadzieję odczytać po powrocie do hotelu; nad nimi zaś widniało coś jakby zarys pyska żaby czy ropuchy, otoczonej kłębowiskiem wijących się macek. Zastanawiałem się, czy jest to jakieś alegoryczne przedstawienie hybrydy istoty amfibicznej i typowo morskiej, w tym przypadku ukwiału; czy lud, który wytwarzał temu podobne artefakty, nie był przypadkiem świadom, iż źródła życia na lądzie należy szukać w oceanach? Przekazywana od wieków ludowa mądrość jednoznacznie wiąże życie z wodą, gdyby jednak ciemny lud środkowej Europy świadomie łączył i utrwał w swej prymitywnej sztuce teorie Darwina... To mogłoby wstrząsnąć światem nauki i całkowicie zmienić jego wyobrażenie o prymitywnych kulturach. Być może dowodziło to nawet istnienia czegoś w rodzaju instynktu uniwersalnej prawdy, daleko wykraczającego poza granice tak zwanego zdrowego rozsądku i pozwalającego – pomimo religijnej indoktrynizacji – zachować wiedzę o podstawowych prawach rządzących wszechświatem. Rozumiałem w pełni podniecenie profesora.

Żegnając się z nim, jeszcze raz zobowiązałem się do jak najszybszego zwrotu tabliczki. Ukryłem ją troskliwie w wewnętrznej kieszeni płaszcza i pospieszyłem do hotelu, by czym prędzej zabrać się do pracy. Na miejscu recepcjonista poinformował mnie

z porozumiewawczym uśmiechem, iż oczekuje mnie młoda dama. Z pewnością zastanę ją czekającą na piętrze.

Popędziłem na górę, przeskakując po dwa stopnie na raz. Przeczucie mnie nie myliło, przed moimi drzwiami zobaczyłem Neszamę. W świetle dziennym wydawała mi się jeszcze piękniejszą niż ubiegłej nocy; ubrana w skromną, wieśniaczą sukienkę, trzymająca w swych smągłych dłoniach przykryty czystą serwetką koszyk, była tak świeża, taka młoda, że w jednej chwili gotów byłbym zapomnieć o całej swej powadze i wieku, i wziąć ją w ramiona jak zadurzony sztubak. Pohamowałem się jednak. Ukłoniłem się jej stosownie i zapytałem, czemu zawdzięczam tę niezwykłą łaskawość losu. Uśmiechnęła się do mnie, ukazując rząd równych, białych zębów i odparła:

– A jeśli wam powiem, że się stęskniłam, to co mi odpowiecie?

– Odpowiem, że nie wiem, czym zasłużyłem sobie na takie szczęście. Czym mogę służyć?

– Przyniosłam panu prezent – powiedziała tajemniczo, uchylając rąbka serwetki. W jej koszyku czerwieniły się piękne, rumiane jabłka, których zapach wyczuwałem z dzielącej nas odległości. Podziękowałem jej za podarunek i zaproponowałem, by zechciała wypić ze mną kawę w moim pokoju. Słowa te wydobyłem z siebie z łatwością, której sam po sobie bym się nie spodziewał, ona zaś równie naturalnie przyjęła zaproszenie.

Znalazłszy się z nią sam na sam, straciłem odwagę. Wychowawszy się w konserwatywnej, by nie rzec: purytańskiej rodzinie, nie wiedziałem, jak obchodzić się z istotą taką jak Neszama. Ona jednak potrafiła cudownie rozproszyć napięcie: gawędziła ze mną o tym i owym, wreszcie zainteresowała się moimi planami na czas pobytu w tym mieście. Odparłem szczerze, że prawdopodobnie najbliższe godziny upłyną mi na pracy i nawet pokazałem jej otrzymany od profesora artefakt. Obracała go w dłoniach z ciekawością dziecka, po czym zapytała, czy jestem w stanie odczytać to dziwne pismo.

– Cóż, przynajmniej spróbuję – odparłem skromnie. – Pracowałem kiedyś z pewnym doktorem z uniwersytetu Miskatonic, który opowiedział mi sporo o szczepach azjatyckich, które posługują się bardzo podobnym pismem. Być może moja wiedza i to, czego mnie nauczył, wystarczą do przetłumaczenia tego napisu.

Bardzo żywo poparła ten pomysł i zachęcała, bym jak najszybciej zabrał się do pracy. Poprosiła też, bym odwiedził ją w jej domu przy Mason Street, jeśli tylko uda mi się skończyć pracę przed północą.

Wychodząc, minęła się w drzwiach z pokojówką, tęgą Murzynką w średnim wieku. Zdziwiłem się widząc, że obecność Neszamy wyraźnie ją zirytowała; krzyknęła do niej coś

w niezrozumiałym dla mnie, miejscowym dialekcie i szybko zatrzasnęła drzwi za jej plecami. Odwróciła się do mnie i z silnym akcentem zapytała, czego chciała tu ta dziewczucha. Odparłem, że przyniosła mi w prezencie koszyk jabłek.

– Niech ich pan nie je – powiedziała gniewnie, wymachując grubym palcem. – Ona i ten jej ojciec, diabli wiedzą, co oni tam w tej swojej chałupie wyprawiają, mówię panu, to czarownik! A ona i też niewiele lepsza, latawica zapowietrzona, nie żadna tam dobra chrześcijanka. Spytaj się pan, co się z jej matką stało, wszyscy panu powiedzą, że ten jej ojciec to nic dobrego. Trzymaj się pan od niej z daleka, bo jeszcze się panu nieszczęście jakie przytrafi.

Zaskoczył mnie ten jaskrawy przejaw prymitywizmu, usiłowałem jednak dowiedzieć się czegoś więcej. Pokojówka mówiła, szorując jednocześnie moją małą umywalkę.

– Nikt go nigdy na niczym nie złapał, ale ja panu mówię, to jest dziwny człowiek, ten jej ojciec, znaczy się. Stary, a silny tak, że ani by się człek nie spodziewał. Bogaty, a nie wiadomo, skąd pieniądze bierze. Nigdy nic nie mówi, a tylko oczami błyska, jakby duszę na wylot w człowieku widział. Dziwne rzeczy się w ich chałupie dzieją, a kto ma rozum, to się z dala od nich trzyma. Mnie się widzi, że stary to czarownik i to nie nasz, on z przodkami nie rozmawia, on jest obcy. Obcym duchom służy. Żaden chrześcijanin, tylko zwykły magus, tfu! – Splunęła na lustro, które dopiero co skończyła czyścić.

Nie chciałem słuchać dalej tych bzdur. Poleciałem jej dokończyć porządków kiedy indziej, pragnąłem bowiem jak najszybciej zabrać się do pracy. Powiedziała jeszcze tylko na odchodnym: „Żeby nie było, że ja coś, to tamto!” i zamknęła za sobą drzwi.

III.

Pracowałem nieprzerwanie kilka godzin. Przeglądałem notatki udostępnione mi przez doktora Richardsona i usiłowałem w jakiś sposób porównać je do tajemniczego napisu, który miałem przed sobą. Materiał, którym dysponowałem, był bardzo obszerny, lecz w żaden sposób nieusystematyzowany i wyszukiwanie potrzebnej mi informacji przypominało błądzenie po omacku w labiryncie. Pracując, pogryzałem przyniesione przez Neszamę jabłka, a myśli moje co jakiś czas rozpraszała czuła myśl o tej wielkodusznej i poczciwej dziewczynie. W ślad za nią wracały do mnie dziwne słowa pokojówki, brałem je jednak za przejaw typowych dla niewykształconych klas uprzedzeń i zawiści wobec zamożniejszego sąsiada.

Po kilku godzinach poszukiwań i analiz byłem niemal pewien, że udało mi się dokonać poprawnego przekładu. Brzmiał on następująco:

*Ty, który sycisz się grozą i krwią niewinnych, usłysz sług swych wołanie,
Zbudź się i przybądź, by siać terror i uświęcić ciemności wieczyste panowanie.*

Według przekazów doktora Richardsona, ta dziwna inwokacja odnosić się miała do jednego z barbarzyńskich bóstw czczonych przez plemiona południowego Pacyfiku. Bóstwo owo przedstawiane było jako osobliwa hybryda ropuchy i muła, dodatkowo wyposażona w liczne macki wyrastające w miejscu przednich kończyn. Kult jego przypominał najbardziej odrażające praktyki europejskich czarownic, włącznie z krwawymi ofiarami ze zwierząt i ludzi oraz bluźniercze orgie w świetle księżyca. Doktor Richardson przytaczał pewną opowieść wodza imieniem Sza'magua: wojownicze plemię, zwane przez sąsiadów Niewymownymi, najechawszy pobliską wyspę, złożyło z pojmanych ofiar hekatombę swemu bóstwu. W ciągu trzech dni zabito powyżej setki ludzi, dokonując rytualnej dekapitacji u stóp idola. Według doktora, imię owego krwiożerczego bóstwa brzmiało Gurgamot lub Gor-ba-toth. Wydarzenia, o których opowiadał Sza'magua, rozgrywały się na długo przed jego urodzeniem i przekazane mu przed starszych szczegóły zatarły się w pamięci tego dobiegającego osiemdziesiątki człowieka.

Odłożyłem pióro i zamyśliłem się głęboko. Znane mi były barbarzyńskie praktyki dzikich plemion rozsianych po całym świecie; żyjące w izolacji wyspiarskie szczepy wytworzyły system wierzeń religijnych całkowicie niezrozumiały dla człowieka Zachodu. Kanibalizm i krwawe ofiary nie należały do rzadkości. Skąd jednak ślad bluźnierczego kultu owego Gurgamota czy też Gor-ba-totha w samym sercu Europy, skąd został przywleczony do Nowego Świata? Jak bliscy przodkowie prostego robotnika kolejowego weszli w posiadanie kawałka kości, zawierającego odrażającą podobiznę egzotycznego bóstwa i skierowaną doń modlitwę? Czyżby jego kult przywlekli ze sobą arabscy kupcy podążający bursztynowym szlakiem? Teoria, jakoby wpływy ich imperium sięgały poprzez ocean aż na ziemie Niewymownych, nie przemawiała do mnie; z drugiej strony wciąż miałem w pamięci szaleńcze zapiski obłąkanego Abdula Al-Hazreda, z którymi u progu dorosłości zapoznałem się w uniwersyteckiej bibliotece wbrew najsurowszym zakazom rektora. Byłem młody i na tyle lekkomyślny, by usilnie dążyć do zgłębienia wszystkich tajemnic świata ludzi starszych i – jak się okazało – o wiele mądrzejszych ode mnie. Bluźnierstwa, które wówczas odnalazłem w przeklętym Necronomiconie, zatrwały moją duszę i w połowie semestru

zmuszony byłem zrezygnować z nauki pod groźbą zamknięcia w lecznicy dla umysłowo chorych. Niechętnie wracając wspomnieniami do tamtych dni, roztrząsałem problem badanego przeze mnie artefaktu. Jedyne rozwiązanie, jakie przychodziło mi do głowy, wymagało uznania słuszności zdania naukowców utrzymujących, iż tysiące lat temu musiała istnieć jakaś posępna cywilizacja, której mroczne dziedzictwo mimo rozpadu kontynentów uchowało się w najodleglejszych zakątkach globu.

IV.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dziewiąta wieczorem. Uznałem, że jest to jeszcze zupełnie przyzwoita pora, by odwiedzić profesora K., tym bardziej, iż cierpiący na bezsenność staruszek nie miał zwyczaju kłaść się przed pierwszą. Zebrałem artefakt wraz ze swoimi notatkami i udałem się na Mourning Street, gdzie najpewniej mogłem znaleźć dorożkę. Sunąc mrocznymi ulicami, przeglądałem w myślach zgromadzone informacje i starałem się je uporządkować, by w końcu przedstawić je profesorowi w sposób możliwie jasny. W pewnym momencie dorożkarz wstrzymał konie: kilka metrów przed nami przysiadła ciężko na bruku inna bryka, której woźnica daremnie usiłował wymienić pęknięte koło. Dorożkarz odwrócił się do mnie:

– Zdaje się, że tędy nie przejedziemy. Trzeba będzie zawrócić i jechać przez Cathedral Square. Chyba że się panu spieszy, to możemy jechać Mason Street. Jak się pan nie boi.

– Czego miałbym się bać?

– Wie pan, różnie to bywa. I różne ulice bywają – odpowiedział wykrętnie i zawrócił konie.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu, w sercu zaś toczyłem sam ze sobą prawdziwą bitwę. To prawda, że powinienem czym prędzej odwieźć staruszkowi jego odrażający skarb, obiecałem mu wszak pośpiech; z drugiej strony, skoro i tak będę na Mason Street, dlaczego by nie wpaść na chwilę do domu Neszamy i opowiedzieć jej, co udało mi się odkryć? Podziw, jaki zobaczyłem w jej oczach, gdy opowiadałem jej o moich badaniach, dał mi więcej satysfakcji niż badań owych ukończenie. Nie bez wstydu sam przed sobą przyznałem, że jestem niezwykle rad z niespodziewanej zmiany drogi i nade wszystko pragnę czym prędzej zobaczyć tę dziewczynę. Podjąwszy decyzję, krzyknąłem do woźnicy:

– Wie pan, gdzie na Mason Street mieszka z ojcem taka młoda Murzynka, Neszama?

– A co mam nie wiedzieć, pewnie, że wiem. Wszyscy wiedzą – którą chałupę omijać, he, he! Ten stary jest jakiś dziwny.

– Może się pan tam zatrzymać? – zapytałem, ignorując jego uwagę.

– Móc mogę. Tylko żeby nie było, że nie ostrzegałem.

Dorożka zatrzymała się przed piętrowym domem otoczonym niewysokim kamiennym murem. Woźnica odebrał zapłatę i pospiesznie odjechał, zupełnie ignorując moją prośbę, by zaczekał pół godziny. Dom Neszamy i jej ojca nie wyróżniał się spośród sąsiednich zabudowań, więc może ich bogactwo objawia się tylko w wystroju wnętrza? Stanąwszy przed niskimi drzwiami ujrzałem, że jest na nich namalowane białą farbą niezgrabne słowo:

GOULE

Widocznie powszechna niechęć sąsiadów, sprowadzona przez złą sławę ojca Neszamy, przestała przejawiać się wyłącznie w docinkach i plotkach. Biedna dziewczyna, chciała chyba zmyć ten hańbiący napis, litery bowiem były nieco zamazane. Plama na drzwiach jednak pozostała, podobnie jak plama na honorze.

Drzwi były otwarte. Zastukałem dla formy we framugę i nie doczekawszy się odpowiedzi, pchnąłem przeraźliwie skrzypiące skrzydło. Światło księżyca oświetlało trzy małe schodki wiodące w głąb domu. Zstąpiłem po nich i przez chwilę pozwalałem oczom przyzwyczajając się do panujących ciemności.

Neszama leżała bez ruchu na podłodze.

Ukląłem przy niej i odwróciłem jej twarz do światła. Była nieprzytomna, a z kącika opuchniętych warg sączyła się krew. Dopiero po chwili udało mi się ją ocucić. Przez chwilę toczyła wokół błędnym wzrokiem, po czym nagle wytrzeszczyła oczy i krzyknęła:

– O Boże, ojciec...! Dziecko!

V.

– ...On zabrał dziecko!

– Uspokój się i mów, co się stało.

– Ojciec... on... on przyprawił małego Millhouse'ów... ja próbowałam... ale uderzył mnie i potem już nie wiem... Boże, zabrał go na żalnik! On go zabije! Ty go nie znasz, to straszny człowiek jest, *un sorcier*!

– Chcesz powiedzieć, to on jest odpowiedzialny za te zaginięcia...?

– A kto inny? To straszny człowiek, on czci diabła!

– Musimy wezwać pomoc.

– Tak, ale... – Nagle w jej oczach załśniły łzy. – Pan jest dobry człowiek, ale obcy, nie stąd, pan nie wie... Ludzie od razu go zabiją, a ja... A moja matka... – Przez chwilę walczyła ze sobą, po czym powiedziała z desperacją – On przy mnie zabił moją matkę. A ona go tak kochała, że zaklęła mnie jeszcze, żebym go nie wydała. Gdyby teraz... to ona by...

Zrozumiałem od razu jej myśl. We dwójkę ujmimy starca i doprowadzimy go do bailiffa, gwarantując mu przynajmniej sprawiedliwy proces zamiast linczu.

Podniosłem płaczącą Neszamę i powiedziałem stanowczo:

– Teraz musisz się wziąć w garść. Czy stąd daleko na ten cmentarz?

– Nie, zupełnie blisko, trzeba przejść przez...

– Po drodze mi opowiesz, teraz szybko!

Biegliśmy razem mrocznymi uliczkami, pełni rozpaczliwej nadziei, że może jeszcze zdążymy na czas. Wiatr rozwiewał czarne włosy Neszamy i wyciskał łzy z jej oczu, ja zaś walczyłem ze zmęczeniem i oporem nienawykłego do fizycznego wysiłku ciała.

Gdy dotarliśmy na cmentarz, zatrzymaliśmy się wśród niskich nagrobków, ciężko dysząc i nie wiedząc, co dalej.

– Ojciec wspominał kiedyś... pijany... – mamrotała Neszama. – Mówił: „pod ziemią”. To musi być gdzieś pod ziemią...

– Katakumby? Są tutaj jakieś katakumby? To znaczy: podziemne grobowce?

Usłyszawszy zrozumiałe słowo, Neszama energicznie pokiwała głową i rzuciła się biegiem w kierunku rozpadającej się ze starości cmentarnej kaplicy. Szarpnęła za żelazny uchwyt otwierający drzwi, lecz ani drgnęły. Odsunąłem ją i sam spróbowałem – otworzyły się nawet dość łatwo. Neszama zawstydzila się swojej słabości i by zatrzeć przykre wrażenie, z odwagą pierwsza wkroczyła w ciemność.

– Na Boga, zaczekaj! – zawołałem za nią, wyjmując kieszonkową latarkę i oświetlając wyślizgane schody, po których dziewczyna zbiegła zwinnie jak gazela. Mnie sprawiło to większą trudność i dwukrotnie straciłem równowagę. Znaleźliśmy się w długim korytarzu, którego boczne odnogi bieły we wszystkie strony, sięgając zapewne daleko poza granice cmentarza.

– Dokąd teraz? – zapytałem bezradnie. Neszama niepewnie wskazała jedną z odnóg. Zastanowiła się, po czym wyjęła zza paska kawałek kredy i narysowała na ścianie duży krzyż.

– Może teraz nie poblądzimy – powiedziała, wkraczając w ciemność.

Nie wiem, jak długo szliśmy ciemnym, podziemnym labiryntem. Nieszama szła krok przede mną, co jakiś czas robiąc znaki na ścianie. Ariadna wiodąca mnie na spotkanie Minotaura. Przypominałem sobie wszystko, co do tej pory usłyszałem o jej ojcu. Nie było tego wiele, ale dość, bym traktował całą rzecz poważnie. Nie wierzyłem, by naprawdę był czarownikiem, za to z całą pewnością był szaleńcem o morderczych skłonnościach. Serce waliło mi jak młot, nerwy miałem napięte do granic i gdy parokrotnie wróciliśmy w to samo miejsce, z trudem powstrzymałem wybuch wściekłości.

W końcu – zdawało mi się, że po całych wiekach błądzenia w ciemności – Nieszama zatrzymała się i wyciągnęła za siebie rękę.

– To chyba tu – szepnęła. Wysunąłem się przed nią i wkroczyłem do tonącej w mroku jaskini.

– Nie ruszaj się, jesteś aresztowany! – krzyknąłem w ciemność i dokładnie w tej chwili straciłem przytomność.

VI.

Ocknąłem się, czując potworny ból w głowie. Przez chwilę nie miałem pojęcia, co się stało ani gdzie się znajduję. Próbowałem poruszyć kończynami, ale okazało się to niemożliwe. Byłem przykuty kajdanami do wielkiego głazu głową w dół, a wygięty pod nienaturalnym kątem kręgosłup mógł pęknąć w każdej chwili.

– To nie potrwa długo, obiecuję – usłyszałem głos Nieszamy i po chwili stanęła przy mnie, trzymając w dłoni staromodną latarnię. – Dobiega północ, a wówczas, niestety, będziemy musieli się pożegnać. Mamy jeszcze trochę czasu, pogadamy sobie trochę?

– Tyyyy...– wycharczałem, a ona przysiadła na piętach obok mnie i uśmiechnęła się smutno.

– Ciekawa byłam, kiedy się domyślisz. Biedny papa, zawsze wszystko brał na siebie, chociaż wcale nie chciał. On nawet nie lubił czarownic. Moją matkę zabił, jak się dowiedział, co ona tu robiła, wiesz? Tylko że nie wiedział, że przed śmiercią zdążyła mnie nauczyć, czego trzeba. A jak się dowiedział, byłam już zbyt silna. Na tyle silna, że nie mogłam uciec, gdy mu wrywałam język.

Podniosła się i odeszła kilka kroków. Blask jej latarni oświetlił lśniąca tafłę podziemnego jeziora, następnie kamienny ołtarz, a na nim ułożonych rzędem dwanaście głów w różnym stadium rozkładu. Jedenaście należało do dzieci, zaś najbardziej świeża, dwunasta – do starca.

Nie miał oczu.

– Zdziwiłbyś się, jak łatwo jest zabrać białe dziecko – mówiła Neszama. – Udajesz opiekunkę, służącą, że niby masz je zawieźć do jednej czy drugiej ciotki, a idą za tobą jak po sznurku. Albo idziesz do szkoły i mówisz, że przyszedłeś po Gertie, Johna czy Fanny. Tym lektorom nawet do głowy nie przyjdzie, że możesz nie być służącą rodziców. Dla nich wszystkie czarnuchy są takie same – zaśmiała się cicho, a ja z trudem powstrzymałem się przed omdleniem. Czuję, jakby głowa miała mi eksplodować. Neszama zaś mówiła:

– Powiadam ci, nic prostszego niż ściągnąć w odludzie białego szczeniaka. Szły za mną, gdzieś chciała. Żał mi trochę ich było, ale nawet nie bardzo. Nie jesteś stąd, nie wiesz, jak tu się żyje Murzynce. Murzynce źle, a co dopiero córce murzyńskiej czarownicy? Tu cię każdy może opluć, pobić, a ty, czarnuchu, leż i przyjmuj, co ci pan daje. Zwijaj się u pańskich butów i proś zmiłowania! – Coraz bardziej się zapalała i w końcu zaczęła krzyżeć: – Pan jesteś dobry człowiek, pan byś się zajął Neszamą! Pan byś ją zabrał do swojego dalekiego kraju i panią zrobił! Ale Neszama nie z takich, Neszama sama sobie panią i sama siebie panią robi! Kiedy w noc przesilenia o dwunastej godzinie Gorgoroth, Przyczajony, pożre trzynastą ofiarę, Neszama się zemści na całym tym mieście i wszyscy zapłacą! I wszyscy zapłaczą! Neszama będzie szła jak królowa, a łby będą leciały jeden po drugim pod nogi Neszamy, *iä! Iä!*

W tej chwili kluczyk, który udało mi się ukraść, chwytając go czubkami palców, gdy kuciała obok mnie, wskoczył wreszcie do zamka i wykręcając palce, zdołałem go przekręcić. Oswobodziłem rękę, lecz Neszama podeszła znów do mnie, na powrót spokojna i bardzo smutna.

– To będzie bolało tylko chwilę, wiesz?

Zadzwoiłem kajdanami u rąk, dziewczyna zmarszczyła brwi i pochyliła się nad moimi dłońmi, by sprawdzić zamek. W tej chwili moje ręce znalazły się na jej szyi i zacisnęły.

VII.

Muszę przyznać, że sprytnie to sobie wymyśliłaś, moja droga. Chylę czoła! Pomnij, jak ci mówiłem o znaczeniu twego imienia – roztropna Neszama! Pięknie ci szło, wszystkie atuty miałaś w ręku, nie podejrzewał cię nikt. Kiedy wpadłaś na to, by zrobić z ojca czarownika? Naprawdę sprytna i roztropna z ciebie dziewczyna, i tak nieroztropnie na samym końcu zagrałaś. Szczęśliwie nie grałem z tobą w brydża! Blisko już było, ale nerwy,

moja mała, trzymać trzeba na wodzy i gardę wysoko, nawet jeśli przeciwnik już nawet nie dyszy.

Wiesz, jestem ci bardzo wdzięczny za to, że wyręczyłaś mnie z cyklem ofiarnym. Obawiałem się, że nie zdążę ze zdobyciem artefaktu i całą resztą przed ekwinokcjum i będę musiał czekać do jesieni. Tymczasem ty byłaś uprzejma przygotować wszystko i nawet teraz mi pomagasz, stając się trzynastą. Dwanaścioro niewinnych, trzynasta zaś... No cóż. Nie wątpię, że Przyczajony nie będzie wybrzydzał.

Kiedy się zorientowałaś, że On jest tutaj? Ach, twoja droga matka. Próbowała go przebudzić, lecz nie zdążyła złożyć trzynastu ofiar, prawda? Wielka szkoda.

Powiedz mi, jak to się stało, że nie wpadłaś na to, by zabrać mi artefakt, gdy byłem nieprzytomny? Mama ci nie mówiła, czym jest i co potrafi? Och, nie, wybacz nietakt i pozwól, że ci wyjaśnię: widzisz, kość, z której jest wykonany, to ząb należący do samego Przyczajonego, który bardzo chciałby go odzyskać. Jest zdolny wyczuć go z drugiego końca globu i otchłani piekieł, a przynajmniej tak twierdzi czcigodny Abdul Al-Hazred. Po stokroć błogosławiony mędrzec! Przez wszystkie te lata był mi przewodnikiem w mych pielgrzymkach i poszukiwaniach! Więcej, był mi mentorem, towarzyszem i druham – wraz z wiedzą swoją przekazał swe natchnienie i swoje szaleństwo. Jeśli jednak jest ono drogą do celów wielkich, tytanicznych, czyż naprawdę godzi się mienić je szaleństwem miast geniuszem? Czyś miała kiedy w rękach święty Necronomicon? Wielka szkoda.

...Kiedy ten kiel przywędrował tu zza oceanu wraz z rodziną prostego robotnika, Gorgoroth podążył jego śladem. I teraz czeka, by osiąść ostatnią, trzynastą ofiarę, która pierwiej zdążyła tuzin innych poświęcić, by jako ostatnia paść na ołtarzu. Wspaniale ci to wyszło, chylę czoła! To powinno wypełnić lukę po tym, czego nie zdążyła powiedzieć ci twoja czcigodna matka. Wielka szkoda, że i jej czerep nie znalazł się dzisiaj w tym szacownym gronie.

O, my tu gadu gadu, a dochodzi północ, czas się żegnać. Ale wiesz co? Jestem ci do tego stopnia zobowiązany, że spełnię twoje życzenie. To miasto rzeczywiście jest odrażające.

*Ty, który sycisz się grozą i krwią niewinnych, usłysz sług swych wołanie,
Zbudź się i przybądź, by siać terror i uświęcić ciemności wieczyste panowanie.*

Iä! Iä! Magh'glui k'dawh Gorgoroth nagh!



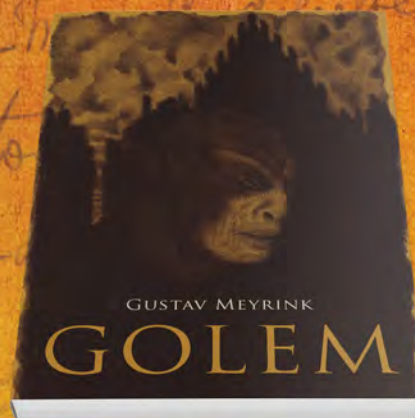
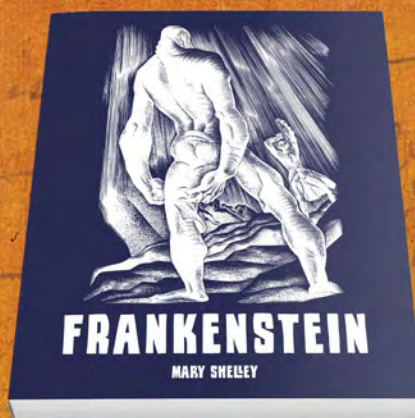
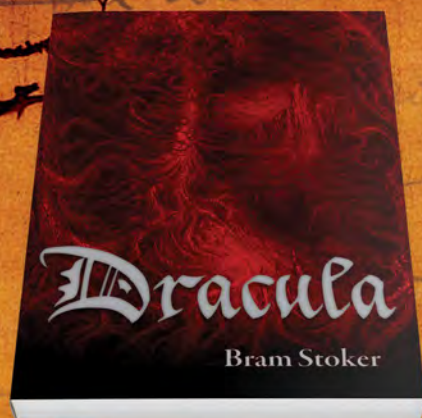
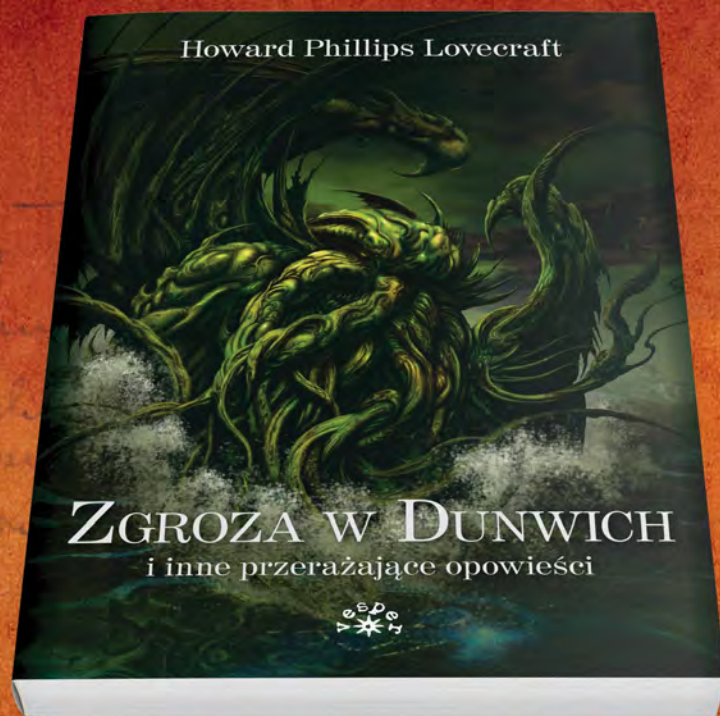
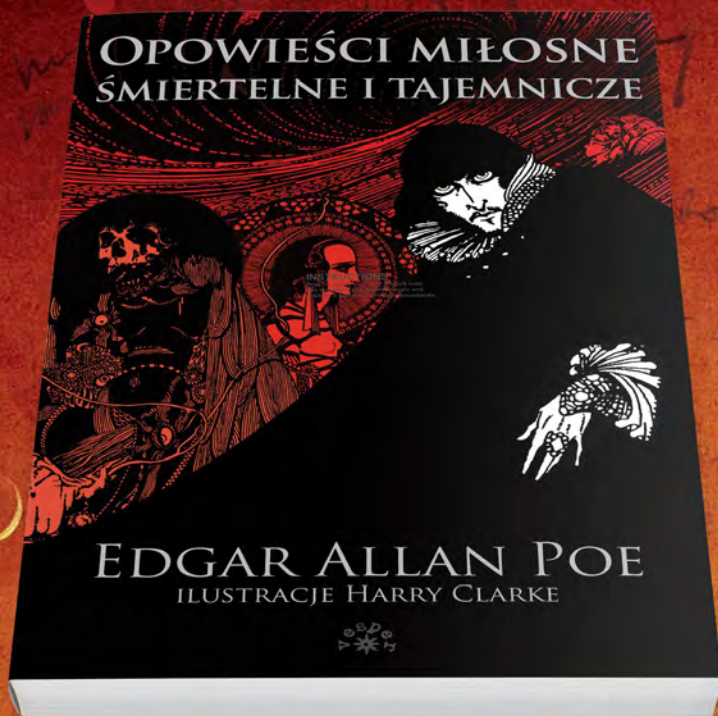
SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

KLASYKA HORRORU W NAJLEPSZYM WYDANIU,
TYLKO OD WYDAWNICTWA 

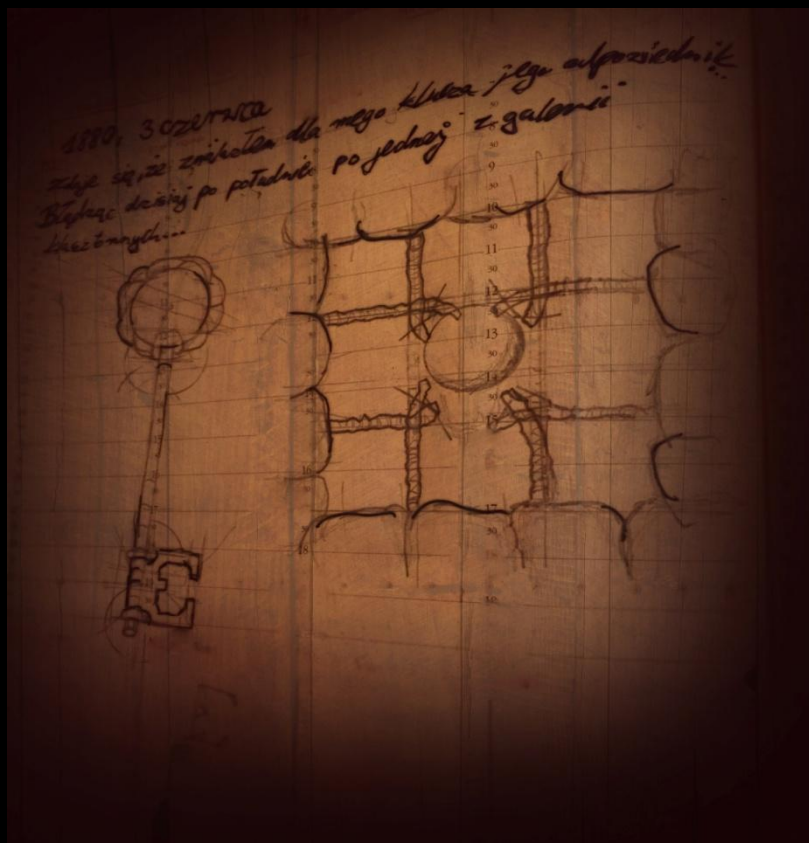


Wydawnictwo Vesper

ul. Gdynska 30A, 62-004 Czerwonak, tel. 61 86 86 506, e-mail: sklep@vesper.pl, www.vesper.pl

facebook: Wydawnictwo In Rock / Wydawnictwo Vesper youtube: inrockvesper





PROJEKCJE

Stefan Grabiński

Maj 1880

Nazywam się Tadeusz Śnieżko — z zawodu jestem architektem; mam lat 42 i jestem kawalerem. W piórze nie próbowałem szczęścia nigdy i jeśli dzisiaj zaczynam spisywać swe przeżycia, to naprawdę nie z pobudek literackich. Właściwie sam nie wiem, co mnie skłania do prowadzenia tego dziennika, który prawdopodobnie nie wyjdzie nigdy drukiem, bo mam zamiar zniszczyć go przed śmiercią. Może piszę dlatego, by uświadomić względnie wytłumaczyć sobie później to, co od jakiegoś czasu przeżywam. Mam wrażenie, że to, co się teraz dzieje, przesuwa się na mym horyzoncie tak szybko, tak nieuchwytnie, że utrwalenie w piśmie ułatwi mi kiedyś orientację. Zresztą może w ten sposób wynagradzam życiu moje

obecne próżniactwo, gdyż od paru miesięcy przestałem pracować. Zmęczony wykonaniem ostatnich projektów architektonicznych, przyjechałem tutaj właściwie na odpoczynek i rozrywkę.

Jakoż przez pierwsze tygodnie pobytu w tym mieście bawiłem się niezłe, znalazłszy towarzystwo miłe i dobrane. Dopiero od pewnego czasu wszystko jakoś zmieniło się; zabawy zbrzydły mi i zacząłem stronić od ludzi. Zdaje mi się, ta nagła zmiana w nastroju nastąpiła dni temu dziesięć, po powrocie z pierwszej mojej wycieczki do ruin starego klasztoru trapistek.

Pamiętam ten wieczór ciepły, słoneczny. Pod kopułą nieba rozpiętą w turkusowy baldachim rysowały się tajemniczo kontury średniowiecznego opactwa, gorzały purpurą zachodu zwietrzałe koronki wieżyc.

Wracałem od ruin wzdłuż klasztornego muru, co poszczerbiony i popękany w tysiące szpar i przepuklin szczyrzył się liszczami odłupanego tynku, ropił ranami cegieł. Ze szczytu, przykrytego miejscami spróchniałym zupełnie daszkiem, zwisały festony dzikiego wina, spływał błękitną kaskadą powój. W jednym miejscu ściana załamana w głęboką wnękę ujmowała opiekuńczym uściskiem posążek jakiejś świętej; rysów twarzy nie można było rozeznaczyć, gdyż zwietrzały kamień odpadł kawałkami i zniekształcił głowę. Tylko szaty zakonne, powłóczyście, sznurem w pół przepasane świadczyły, że święta była za życia mieszkanką klasztoru.

Ówdzie, na zakręcie, z okola tarniny i zdziczałych róż wychylała się kapliczka. Czyjaś ręka pobożna nalala oliwy do ampulek i zapaliła światło, które migotało smutnym, nagrobnym blaskiem w szklanych, ciemnowiśniowych latarenkach. Znać miejsce często nawiedzane, bo na przechylonej ku piersi szyi Zbawiciela chwiał się w powiewach wieczornych świeży wianek róż i jaśminu. Krwawy blask latarek ślizgał się cicho po sercach wotywnych, po zeschniętych kwiatach, różańcach, czarnych paciorkach i lizał żółtkę, umęczone stopy Chrystusa...

Wróciłem smutny i zamyślony. W nocy śniły mi się ruiny, ich pustka głucha, beznadziejna i smutek cichy, klasztorny. Zbudziłem się znużony, z głową bolącą i ze wspomnieniem woni starych, zasuszonych ziół i płaczu konających gromnic...

Po południu odwiedziłem znów klasztor, by powrócić wieczorem z uczuciem łagodnego smutku i melancholii.

Tak powoli zżywałem się z rozwalinami, doznając w ich otoczeniu wrażeń dziwnych, dotychczas mi nie znanych, pełnych ukrytego czaru i tajemniczości. Dobrze mi było błądzić tak godzinami po długich, chłodnych korytarzach, gdzie kroki moje budziły dawno przebrzmiałe echa, zapuszczać się w kryte ganki podniebnych wież, przemierzać wieczorną

porą wyniosłe refektarze. Słodko było spędzać słoneczne popołudnia w zaciszu klasztornych murów, otwierać puste i zimne cele, na pół zagrzebane i zielskiem zarosłe kaplice... Jakaś moc tajemna ciągnęła mnie do tych ruin i zwiedzałem je codziennie, zawsze z tym samym zajęciem, z tym samym uczuciem nieokreślonego lęku i czaru zarazem.

A stary klasztor miał swe tajniki, ukryte głęboko przed okiem ciekawych komysze i podziemne zapusty, które rozpięte krzyżową siecią lochów i piwnic, szły hen, hen w podwaliny murów. Każdy dzień przynosił niespodziankę, każda wycieczka nowe odkrycia.

Nie potrzebowałem przewodnika ani burgrabi; obznajomiony dobrze z techniką architektoniczną średniowiecza, orientowałem się szybko, odgadując niejednokrotnie intuicją zawile problemy budowniczego. Zapoznałem się również z historią klasztoru, którą znalazłem w małym dziełku z XVIII wieku u antykwarza. Klasztor uległ zniszczeniu w czasie wojen w wieku XVII od kul armatnich, chociaż podobno stał pustką już pół wieku przedtem z niewiadomych przyczyn. Ten punkt niejasny w jego dziejach zaciemniła mi jeszcze bardziej opowieść mojego sąsiada, kościelnego przy farze, który utrzymywał, że na klasztorze tym zaciążyła klątwa jednego z papieży; powodu anatemy nie umiał mi podać. W każdym razie już przez 50 lat z górą przed wspomnianym bombardowaniem klasztor świecił pustkami.

Chodziły też wieści, że wieczorną i nocną porą snują się po celach i korytarzach białe postacie w zakonnych szatach, słyhać śpiew pogrzebowy i głos organów; wiosną, zwłaszcza w porze majowej, dochodziły podobno z ruin echa piekielnych śmiechów i długi, przejmujący chichot kobiecy.

Oczywiście gawęda starego poczciwca nie wpłynęła w niczym na gorliwość, z jaką odwiedzałem klasztor; uważałem całą historię za romantyczny pieprzyk, za rodzaj ornamentyki; która uzupełniała tylko obraz ruin w jednolitą, stylową całość. Każda ruina ma swoje tajemnicze dzieje, w każdej pokutować muszą potępieńcze dusze...

Pewnego wieczora wróciłem z przechadzki później niż zwykle. Tego popołudnia wspinałem się parokrotnie na wieżę po schodach przeżartych czasem i co krok grożących zawaleniem; dlatego czułem się trochę znużony.

Zapaliwszy światło, usiadłem zamyślony przy biurku i ukryłem twarz w dłoniach. Gdy po dłuższym czasie odjąłem ręce i wyjrzałem przez okno, na dworze panowała już noc zupełna. Zapuściłem storę i usiadłszy z powrotem, zacząłem bezmyślnie wodzić oczyma po pokoju... Nagle postrzegłem na ścianie naprzeciw wyraźny cień klucza.

Podszedłem bliżej, pewny, że ulegam złudzeniu, by przekonać się, że jednak mnie oko nie myli: na ścianie widniał dokładny kontur klucza. Był duży, z dwoma potężnymi wymkami w znak greckiego *sigma* i z obszernym, rozmiarów ludzkiej dłoni uchem.

— Hm, skąd się wziął tutaj? W jaki sposób mógł powstać podobny cień?

I rozglądałem się uważnie dokoła. Lecz żaden szczegół w otoczeniu nie wyjaśniał projekcji. Sprzęty w pokoju stały jak zwykle na swoich uświęconych zwyczajem miejscach; zresztą żaden z nich nie mógł rzucać wizerunku klucza. Lampa elektryczna u stropu paliła się w takim położeniu, że żaden ze znajdujących się wewnątrz przedmiotów nie mógł stanowczo zasłaniać sobą źródła światła: docierało wszędzie.

— Ciekawa historia. A może istotnie jakiś klucz zwisa ze stropu?

Nie dowierzając oczom, które i temu przypuszczeniu zadawały kłam oczywisty, postawiłem krzesło na biurku i wstąpiwszy na to sztuczne rusztowanie, zacząłem wodzić ręką w przestrzeni pod sufitem... Klucza ani śladu — palce trafiały w próżnię.

— Tam do licha! Zabawny objaw! Cień niewidzialnego przedmiotu! Jak w bajce!

Nadrabiałem miną, lecz przyznam się, było mi jakoś nieswojo. Odwróciwszy się tedy plecyma od ściany, zagłębiłem się w lekturze powieści Flauberta. Lecz świadomość, że tam poza mną kreśli swe ciemne kontury zagadkowy przedmiot, nie dawała spokoju i po paru minutach rzuciłem znów okiem w tamtą stronę.

Klucz nie zniknął! Owszem: cienisty rysunek jakby nabrał soczystości i siły. Przysunąłem do ściany ekran spod pieca i zasłoniłem nim tajemniczy wizerunek klucza; cień ekranu wchłonął go w swoje prostokątne ramy i zakrył przede mną. Uspokojony wróciłem do lektury, która potrwała do północy, po czym zgasiwszy światło, zasnąłem nerwowym, niespokojnym snem. Śniły mi się ruiny klasztoru we fantastycznym, bengalskim oświetleniu, pełne snujących się po krużgankach mniszek.

2 czerwca 1880

Po tygodniowej przerwie zabieram się znów do pisania. Byłem chory i dlatego zaniedbałem pamiętnik. Zresztą nie zaszło w tym czasie nic ważnego. Cień klucza pojawiał się jeszcze przez parę dni z rzędu i dotychczas nie zdołałem zbadać przyczyny. Ponadto wystąpił dzisiaj wieczorem jakiś inny rysunek, równie zagadkowy i pozbawiony fizycznego podłoża jak tamten... Jest nim lekki, nadzwyczaj słabo zarysowany kontur czworobocznej ramy w odległości paru cali od klucza. Cień ten, względnie półcień sprawia wrażenie niezdecydowanego szkicu: coś tam majaczy między tymi czterema liniami, lecz co —

powiedzieć dziś jeszcze nie umiem. Wszystko to zbyt niewyraźnie i jakoby tylko zaznaczone. Może przyszłość wyjaśni...

3 czerwca

Zdaje się, że znalazłem dla mego klucza jego odpowiednik w rzeczywistości. Błądząc dzisiaj po południu po jednej z galerii klasztornych potrąciłem o jakiś przedmiot żelazny, który mi zadzwięczał pod nogą. Schyliłem się i podjąłem duży, zardzewiały klucz, zupełnie podobny do tego, który od tygodnia rysuje się na ścianie mego pokoju. Schowałem do kieszeni i mam go tu na stole przed sobą. Lecz, rzecz dziwna — tego samego wieczoru po zapaleniu światła nie ujrzałem już jego cienia; zniknął bezpowrotnie ze ściany. A szkoda! Chciałem go porównać ze znalezionym w ruinach. Jestem głęboko przekonany, że to był cień tego samego klucza. Kształtem i wielkością zgadzały się jak najzupełniej. Nie potrafię wytłumaczyć sobie tej dziwnej trochę pewności, lecz niemniej przysięgłbym, że tak jest istotnie. Zastanawia tylko owo nagłe zniknięcie jego cienia z chwilą, gdy odnalazłem go w rzeczywistości. Wygląda to naprawdę na projekcję, tylko w trochę innym niż potoczne znaczeniu...

Ostatecznie jednak nie rozumiem celu — nie wiem, po co to wszystko i ku czemu zmierza. Może być wskazówką, może być zapowiedzią — gubię się w przypuszczeniach...

Równocześnie z usunięciem się projekcji klucza wystąpił wyraźniej mdły dotychczas cień drugi: obraz owej niby-ramy. Dzisiaj już linie nabrały sytości i mocy jakby drogą rekompensaty za zanik poprzedniego widma. Owa wczoraj jeszcze mglista, jak pajęczyna wiotka i rozwiewna siatka płam w pośrodku czworokąta przedstawia się wcale wyraźnie. Patrząc na nią w tej chwili i nabieram przekonania, że jest to wizerunek zakratowanego okna. Lecz krata widocznie jest w samym środku wyłamana, jak gdyby przeszła przez nią wielka, działowa kula lub jakiś ciężki, twardy przedmiot. Może kamień? Cienie krat urywają się w środku, który świeci szerokim, białym otworem pustki. W przystępie dziecinnego kaprysu przyłożyłem głowę do tej idealnej wyrwy, by przekonać się, że rozmiarami odpowiada szerokości mej czaszki.

Gdyby tam — pomyślałem z uśmiechem — poza tą kratą ukrywała się jakaś piękna mniszka, mógłbym ją od biedy przez ten wyłom pocałować; wystarczyłoby wychylić tylko głowę przez otwór na drugą stronę... A kuku, moje kochanie — a kuku!...

15 czerwca

Od tygodnia staczam walkę z cieniem zakratowanego okna. Uparty cień! Ilekroć usiłuję zasłonić go moim ekranem, podchodzi w górę i zjawia się ponad moją głowę, gdzie go nie mogę dosięgnąć. Wspinałem się już parę razy na stół, by stamtąd przykryć jego krnąbrny obraz. Bezskutecznie! Wymyka mi się spod ram ekranu i zjawia na innym miejscu. Dziś przeniósł się na przeciwległą ścianę, tuż nad lustro. Wędrowny cień!...

A jednak ta włóczęga zdaje się go wyczerpywać, bo jest teraz słabszy i jakby skureczony: okno zmalało do rozmiarów kilku decymetrów...

17 czerwca

Projekcja wyłamanej kraty skarłała zupełnie. Dziś wygląda jak mały, o kilkucentymetrowym obwodzie prostokącik zawieszony gdzieś w górze pod samym sufitem. Za to wystąpił rysunek nowy, delikatny i misterny ogromnie. Wygląda na cień średniowiecznej chrzcielnicy z parą skrzydlatych aniołków po bokach. Nie zasłaniam jej już ekranem, bo wiem, że to byłoby bezskuteczne. Zresztą dziś mnie to już nie denerwuje. Ciekawy tylko jestem, co z tego będzie?...

30 czerwca

Szalona opowieść! Gdyby ktoś przeczytał te zwierzenia, uznałby mnie chyba za wariata. A jednak zdrow jestem na umyśle zupełnie i mówię prawdę...

Wizerunek okna dotychczas nie zniknął: utrzymuje się wciąż, lubo w zredukowanych wymiarach. Może jest on motywem przewodnim w całej tej cienistej historii! Nie wiem. W każdym razie ciągle powtarza się i trwa uporczywie tam, pod stropem, gdy inne obrazy zmieniają się jak w kalejdoskopie. Tajemniczy leitmotiv cieniów!...

A teraz opowiem w kilku słowach, co widziałem wczoraj na ścianie. Opowiem krótko i zwięźle, bo było ohydne i świętokradzkie. Jeśli to tylko wytwór mego chorego mózgu, niechaj mi ktoś na ulicy strzeli w łeb jak psu!...

Było tak. Po zapaleniu światła wynurzył się na ścianie prześladowający mnie już od dni 13 cień chrzcielnicy. Patrzyłem znużonym spojrzeniem na złośliwie skrzywione profile aniołków pochylonych nad masywną, wygiętą wargami brzegów czarą.

Wtem z wnętrza naczynia zaczęło się coś podnosić, coś rósć pałkowatym trzonem, pęcznieć... Nagle wzdrygnąłem się, odwracając z obrzydzeniem oczy.

Z chrzcielnicy wydzwignął się olbrzymi fallus...

2 lipca

A jednak zdaje się, że projekcje mają jakiś związek z rzeczywistością: zaczynają z wolna przeglądać tajemne przesła i spoiwa łączące je z życiem — przynajmniej z moim życiem...

Dziś przekonałem się, że klucz znaleziony przeze mnie przed miesiącem miał mi oddać ważną przysługę: przydał się. Zwiedzając jak zwykle ruiny, wpadłem na trop nie znanej mi dotychczas galerii podziemia. Ciągnie się na prawym skrzydle klasztoru, może trzy metry pod poziomem. Dotąd zapuszczałem się zawsze w te kręte chodniki bez przeszkody: stały przede mną otworem; jeśli były jakieś drzwi, zastawiałem je zwykle lekko uchylone lub tylko przymknięte — ustępowały pod silniejszym pchnięciem. Dziś po raz pierwszy natknąłem na zamkniętą szczelnie bramę wiodącą do wspomnianej galerii na skrzydle. Nacisnąłem klamkę — drzwi nie ustąpiły. Próbowałem wyważyć je nogą, opierałem się o nie całym ciężarem ciała, lecz bezskutecznie: były widocznie zamknięte na klucz. Zmęczony wysiłkiem usiadłem naprzeciw na kamieniu i obejrzałem dokładnie uparte wierzeje. Ciekawa brama! Prawdopodobnie jest cała z brązu, pokryta od dołu do góry płaskorzeźbami, które rozmieszczono na sześciu polach: każde ujęte w kwadratową listwę niby w ramę. Rzeźba zachowana przedziwnie; rysunek czysty i wyraźny — nie skaziła go patyna wieków.

Co za tematy! naprawdę zaczynam wierzyć okropnościom, o których mówi *Młot czarownic*, i przestaję dziwić się fanatyzmowi św. Inkwizycji.

Powstałem z kamienia.

Oto pole pierwsze na lewo od góry. Jakiś mnich nagi zupełnie, przepasany tylko różańcem, chłoscze rzemieniem półobnażoną mniszkę. Twarz katowanej zdradza ból i rozkosz bez miary.

Na polu sąsiednim parę nagich kobiet w woalach zakonnych zawiodło jakiś taneczny, piekielny korowód. Obraz trzeci — to adoracja fallusa, ohydna w swoim cynizmie, brutalna w wykonaniu, kusząca rozbewstwiem. Rzeźby u dołu przedstawiają trzy sceny z «czarnej mszy», wstrząsające bezwstydem, groźne, dzikie, obłąkane.

Obiecujący portal! Co też ukrywa poza sobą? Ponowiłem próbę wywalenia drzwi z zawiasów. Na próżno. Wtem przypomniałem sobie klucz znaleziony, który od paru dni, nie wiadomo dlaczego, noszę ze sobą w kieszeni.

— Może to od tej bramy?

Wkładam w zamek, zakręcam — o dziwo! Zamek zgrzytnął chropawo, drzwi odchyliły się i ujrzałem czarną czeluść podziemnego kurytarza. Duszna woń stęchlizny uderzyła we mnie studziennym wyziewem. Wnętrze, znać od dawna zamknięte, zaczęło oddychać po wiekach trującym powiewem.

Niebezpiecznie zapuszczać się tam teraz... Niech się wpierw przewietrzy. Powrócę tu za parę dni.

Drzwi zostawiłem otwarte...

15 lipca

Cień zbezczeszczonej chrzcielnicy nareszcie zniknął. Nie widzę go więcej. Natomiast „motyw przewodni” trwa dalej. Nawet jakby się znów powiększył i zstąpił z wyżyn pod sufitem: wyłamana krata czerni się obecnie w połowie wysokości ściany. *Remember me!*

Są też i zawiązki czegoś nowego; jakieś przejrzyste, pajęczko delikatne szale snują się po ścianach, zwijają w mgliste spirale, skupiają w chwiejne ośrodki. Na coś się zanosi...

Nie ulega dziś już dla mnie wątpliwości, że między tym, co się pojawia od pewnego czasu na ścianach mego pokoju, a murami klasztoru istnieje związek. Tylko nie mogę dopatrzeć się w tym wszystkim celu, nie mogę zrozumieć intencji...

Przed paru dniami wpadł mi w ręce mistyczny traktat nie znanego bliżej zakonnika z opactwa kartuzów; poglądy w nim zawarte odpowiadają mi bardzo i może tłumaczą choć w części zjawiska, których jestem świadkiem od kilku miesięcy.

Autor rozprawy mówi o projekcjach myśli zgęszczonych do kształtów widomych i rozwodzi się szeroko na temat widm przedmiotów, które pozornie nie istnieją. Jako ogniwo pośrednie w tym łańcuchu wywodów dorzuciłbym z mej strony problem myśli podświadomych, istniejących pod progiem jawy, przyczajonych w komyszach jaźni.

Lecz któż mi zaręczy, czy nie współdziałają w tej dziwnej historii siły jakieś poza mną, może nawet wrogo usposobione?

Chwilami ogarnia mnie lęk, okropny lęk, i dławi przedmierzchową porą. W ostatnich czasach spędzam całe wieczory po ciemku, gdyż nie mam odwagi zapalić światła i patrzeć na ścianę. Może by zmienić mieszkanie lub wynająć z kimś drugim na spółkę?...

20 lipca

Senne majaki, o których wspominałem ostatnim razem, przybrały kształt wyraźny; z mgławicy wyłonił się na ścianie cień zdecydowany. Jest nim cudowny profil zakonnicy. Twarz rzymska, o nieskalanie czystych liniach, nos orli, bosko sklepienie czoło pod szerokim kornetem: głowa klasycznej westalki. Oczu nie mogę oderwać od ściany...

25 lipca

Wczoraj odkryłem nową odrośl podziemia — długi, niezmiernie długi chodnik, ciągnący się wąską szyją aż hen, hen poza miasto. Szedłem nim całą długą godzinę. U wylotu znalazłem się na jakimś kamiennym dziedzińcu zarosłym chwastem i trawą ze szczątkami murów i gotyckich wykuszy.

I to jakieś ruiny, lecz na pewno nie są dalszym ciągiem tamtych; jest to odrębna, zamknięta w sobie całość architektoniczna, również o charakterze zakonnym. Zresztą zbyt to daleko od klasztoru trapistek — niemal pół mili drogi. — Jakoż nie pomyliłem się. Dziś wiem już, że są to szczątki opactwa cystersów...

Więc istniała podziemna komunikacja...

26 lipca

Przeniosłem się z mej pracowni do sąsiedniego pokoju i teraz stale przebywam w sypialni. Uciekłem przed cieniem pięknej mniszki...

30 lipca

Wszystko nadaremnie. Cień Westalki goni mnie i prześladowuje od dni paru: wykwił i tu, w sypialni, ponad moim łóżkiem.

A obok złowieszczą miniatura kraty...

2 sierpnia

Przed chwilą wróciłem od lekarza i siedzę w ciemnym pokoju z obawy, by nie ujrzeć ruchu jej warg i długich jedwabistych rzęs. Bo przysięgam wam — one się ruszają! Zauważyłem to wczoraj. Cudownie zakrojone usta rozchyliły się nagle i zadrgały niemą skargą. Ona chce przemówić! A potem ten łagodny ruch rzęs. Widziałem wyraźnie, jak wysuwały się jedwabistą frędzlą i znów cofały w głąb powiek. Dreszcz zbiega me ciało — dreszcz rozkoszy i grozy zarazem. Mrugający cień...

4 sierpnia

Przed godziną wróciłem z klasztoru i dotychczas nie mogę się uspokoić. Drzę cały jak w febrze. Muszę mieć gorączkę, bo pulsa tętnią mi młotami. Spojrzawszy w lustro, przeląknęłam się siebie. Jestem blady jak płótno, z włosiem zjeżonym na głowie i spoglądam okiem szaleńca. Okropna wycieczka!...

Zwiedziłem nareszcie galerię odkrytą przeze mnie miesiąc przeszło temu. Zaprawdę, brama, która ją do tej pory tak zazdrośnie zamykała, ma rzeźbę stylową, dostosowaną wybornie do tajemnic wnętrza...

Z płonącym stokiem zeszedłem w dół po stromych kamiennych schodach. Zaduch teraz był mniejszy; atmosfera oczyściła się dzięki przeszło miesięcznej wentylacji. Mimo to światło pełgało tylko nikłym, chorym płomykiem...

Tak uszedłem kwadrans drogi i skręciłem w boczny korytarz. Tu grunt obniżył się jeszcze bardziej, a przestrzeń między murami zwęziła do rozmiarów ludzkiej postaci. Z trudem posuwałem się naprzód, od czasu do czasu zaczepiając głową o niskie sklepienie. Nagle chodnik skończył się, rozwierając w szeroką, półkulisto sklepioną komnatę w kształcie ula.

Umieściwszy stok w kamiennej niszy, oparłem się znużony wędrówką o mur i otarłem pot z czoła. Nikły płomień mego kaganka lizał wilgotne ściany, przesuwając się leniwo po spleśniałych zboczach, zaglądał w cieniste kryjówki. W końcu wpadł jego wydłużony jęzor we wnętrze naprzeciw i oświetlił parę graniastych przedmiotów jakby z przegniłego drzewa.

Postąpiłem parę kroków w tę stronę, by je zbadać dokładniej. Były jakieś wielkie skrzynie okute mocno po węglach, lecz z góry otwarte, bez wiek. Gdy chciałem pochylić się nad jedną z nich, uderzył mnie z boku łagodny modroślakowy blask. Odwróciwszy się, spostrzegłem, że owa niebieska poświetała szła z końca długiej, wąskiej szyi będącej dalszym odgałęzieniem podziemia. Widocznie komnata nie stanowiła jego etapu końcowego, lecz drugim ujściem

przechodziła w dalszą sieć krętych krużganków. A może właśnie ów korytarz, z którego końca padało światło, był ostatnią odnogą podziemnego labiryntu, z której wychodziło się już na świat i słońce? Tylko w takim razie skąd to światło błękitne? Czyżby refleks nieba odbity od klasztornych murów lub od któregoś z pozostałych witraży?

Zresztą stąd nie było widać żadnego otworu u wylotu szyi; światło zdaje się szło spoza załomu ściany, która skręcała pod kątem. I stamtąd zza węgła padał dziwny blask i oświetlał część sklepienia. Zaciekawiony tym nowym szczegółem, postanowiłem zapuścić się aż do końca szyi w nadziei, że może wyjdę drugą stroną z podziemia. Tymczasem jednak należało przegłądać skrzynie.

Zanurzyłem rękę w najbliższą, błędząc palcami w ciemności. Wtem natrafiłem na jakiś twardy, gładki przedmiot. Chwyciłem i wyciągnąłem z głębi: była kość ludzka; mała, wąska piszczel. Pochyliłem się ze stokiem nad skrzynią i wtedy spostrzegłem we wnętrzu całe stopy dziecięcych szkieletów. Leżały zrzucone bezładnie jedne na drugich, wśród jakichś przegniłych łąchów, cuchnących szmat, strupieszających całunów...

Wypadłem z grobowca niewiniątek, pędem przebiegłem głuche galerie i ślepe chodniki i po schodach wydobyłem się na świat...

A teraz siedzę tu, przy biurku u siebie, i trzęsę się w podrzutach febry. W głowie zamęt, w żyłach gorączka. Patrzę na ścianę przed sobą i szukam profilu Westalki-diablicy. — Rzecz dziwna! Nie ma jej już! Zniknęła bez śladu. A wraz z nią i „motyw przewodni”. Ściana jest czysta i pusta. *Tabula rasa!* Czyżby nareszcie historia skończona?

5 sierpnia

Zdenerwowany tym, co ujrzałem w grobowej komnacie, długo nie mogłem usnąć. W końcu nad ranem zmorzył mnie sen ciężki, przesycony scenami ponurej grozy.

Śniło się podziemie klasztoru i jego rozgałęzione bez końca korytarze. Jednym z nich, w krwawym świetle pochodni, posuwał się orszak zakonników i mniszek. Szaty ich były ciemne, powłóczyste, żałobne — twarze szczelnie ukryte w kapturach. Szli wydłużoną linią w milczeniu.

W odstępach między jedną pochodnią a drugą po dwóch mnichów niosło na barkach jakieś ciężary owinięte w czarne, spadające ku ziemi całuny. Wtem odwinęło się jedno żejło i spod niego wychyliła się sztywnie wyciągnięta trupio blada rączka dziecka...

Kondukt skręcił w znany mi korytarz wiodący do grobowca w kształcie ula. Tu klasztorni żałobnicy rozpostarli całuny i zaczęli po nich staczać zwłoki do skrzyń. Jedna z mniszek

przypadła odruchowo do z wolna spadającego ciała i przywarła doń ustami... Ktoś łkał cicho w ciemnościach...

Nagle przodownica orszaku, smukła i gibka jak pinia, odwróciła się i odrzuciwszy woal, spojrzała w mą stronę.

Zadrzałem. Westalka!

A ona, wskazując palcem w błękitny zakręt galerii, skinęła mi głową:

— Pójdź! Pójdź za mną, gościu!

I zaczęła oddalać się w głąb korytarza majestatycznym, harmonijnym krokiem.

— Nie, nie pójdę za tobą! — krzyknąłem, broniąc się z całych sił przed czarownym nakazem.

I z tym okrzykiem na ustach obudziłem się...

A jednak czuję, że mimo wszystko pójdę tam, pójdę, bo muszę. Niech się co chce dzieje! Pójdę dziś jeszcze przed wieczorem...

Epilog wydawcy pamiętnika

Z początkiem sierpnia roku 1880 w Paryżu zniknął bez śladu powszechnie ceniony architekt Tadeusz Śnieżko. Odkrycie nastąpiło przypadkowo, dzięki jednemu ze znajomych, panu Z., który zaniepokojony dłuższą nieobecnością Śnieżki w resursie, udał się do jego mieszkania, by go odwiedzić. Tu dowiedział się od sąsiada i dozorca domu, że już od dłuższego czasu nikt Śnieżki nie widział. Zamknięte szczelnie drzwi mieszkania wyważono. Wewnątrz inżyniera nie było. Pan Z. znalazł tylko na biurku pamiętnik pisany ręką Śnieżki z końcową datą 5 sierpnia. Treść manuskryptu dostarczyła pewnych wskazówek co do kierunku, w jakim należało rozpocząć poszukiwania. T. Śnieżko uległ, zdaje się, w ostatnich czasach rozstrojowi nerwowemu i unikał ludzi, znać świadomy swego stanu. Za to odbywał częste wycieczki do ruin starego klasztoru trapistek, sterczących w niewielkiej odległości od jego mieszkania. Tam też skierowano pierwsze kroki. Lecz wszelkie wysiłki policji spełzły na niczym: Śnieżki nie odnaleziono. Przypuszczano tylko, że zginął gdzieś w labiryncie podziemnych chodników, w które obfitują podwaliny klasztorne...

Dopiero w rok później przypadek odkrył tajemnicę. Pewnego dnia jakaś staruszka, zbierająca zioła wśród ruin na szkarpie południowej, ujrzała na kracie okna, u wylotu jednego z lochów klasztornych, wychyloną na zewnątrz głowę kościotrupa.

Wiadomość o okropnym odkryciu rozeszła się szybko po mieście i zaalarmowała władze. Przybyła natychmiast komisja stwierdziła tożsamość zwłok zaginionego przed rokiem Śnieżki. Wybito wyłom w murze i przez otwór dostano się do wnętrza. Po zbadaniu miejsca doszły władze policyjne do przekonania, że Śnieżko uległ nieszczęśliwemu wypadkowi. Prawdopodobnie, zwiedzając podziemia, zablądził w nieznany sobie korytarz i tu spadł, staczając się gwałtownie w dół po pochyłym terenie aż do zakratowanego okna. Dziwnym trafem głowa nieszczęśliwego przesunęła się przez otwór w kracie, wybity znać w dawniejszych już czasach przez jakąś zabląkaną kulę. Śmierć nastąpiła, zdaje się, w ten sposób, że Śnieżko, oprzytomniawszy po upadku, usiłował uwolnić się z kleszczów, które dławiły mu szyję; szarpnął się więc i rzucił wstecz — lecz to go zgubiło; wygięte na zewnątrz ostrza wyłamanej kraty wbiły mu się w krtań i przecięły tchawicę. Wyzionął ducha wśród najokropniejszych męczarni, zawieszony ledwo parę cali nad ziemią, z głową przewleczoną przez żelazne pręty.

Na tropie Cthulhu

Geneza najpopularniejszego Przedwiecznego z literackiej mitologii

H. P. Lovecrafta

Howard Phillips Lovecraft w liście do Harolda S. Farnessa tłumaczył, jaki cel kryje się w tworzeniu przez niego literackiej mitologii. Dzięki niej jego opowieści miały poruszać ludzi, odpowiadając zarówno ich emocjonalnym, jak i duchowym potrzebom we współczesnym, zdominowanym przez naukę świecie, przejmując funkcję dawnych, infantylnych i niewiarygodnych już, naturalnych mitologii.¹ Świat, który stworzył, jest fascynujący. Cthulhu, Shub-Niggurath, Yog-Sothoth, Starsze Istoty, Wielka Rasa, Latające Polipy, Shoggothy są jego oryginalnymi tworam.

Zapytany przyznawał wprost, że wszystko to jest fikcją, wykreowaną w głównej mierze przez niego, ale również przez jego kolegów po piórze.²

Mimo to jego mitologia zaczęła żyć własnym życiem.

Neil Gaiman we wstępie do zbioru opowiadań Howarda Phillipa Lovecrafta o tytule *Sny o terrorze i śmierci* wspomina, że na jednym z konwentów fantastyki poświęconym m.in. bohaterowi tego artykułu pewien szczupły, starszy dżentelmen z widowni wstał i spytał dyskutantów, czy zastanawiali się nad teorią, którą on sam wyznawał: że Wielcy Przedwieczni [...] wykorzystali po prostu biednego [...] Lovecrafta, by przemówić do świata i szerzyć wiarę w samych siebie poprzedzającą ich nieunikniony powrót.³

To nie jest odosobniony przypadek.

Peter J. Carroll, okultysta, jeden z prekursorów magii chaosu, pisze całkiem serio, że według niego *Necronomicon* jest dziełem gnostycznym (ponieważ w Damaszku, gdzie miał się narodzić, działało sporo gnostyków), a więc zakładał jego realne istnienie na planie fizycznym⁴ (w przeciwieństwie do późniejszych wyznawców tego nurtu, którzy wierzyli jedynie w istnienie tej księgi na planie astralnym⁵). W środowisku okultystycznym nie był on odosobniony.

¹ H. P. Lovecraft, *List do Franka Belknapa Longa, 22 lutego 1931* [w:] *Najlepsze opowiadania. Tom I*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2008, s. 371.

² S. T. Joshi, *H.P. Lovecraft. Biografia*, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2010, s. 851, 873.

³ Neil Gaiman, *Rzecz o snach i koszmarach* [w:] H. P. Lovecraft, *Sny o terrorze i śmierci*, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2008, s. 8-9.

⁴ Peter J. Carroll, *Psychonauta, czyli Magia Chaosu w teorii i praktyce*, wyd. Okultura, Warszawa 2006, s. 183.

⁵ Krzysztof Azarewicz, Dariusz Misiuna, *Wstęp* [w:] El Hazzared, *Necronomicon czyli Księga umarłego Prawa*, Wydawnictwo FOX, Wrocław 2000, s. 19.

Co ciekawe, nawet jeden z korespondentów Lovecrafta, William Lumley, wierzył w prawdziwość tej osobiwej literackiej mitologii. Także wtedy, gdy sam jej autor wraz ze współautorami zapewniali go, że sami wszystko zmyślili. Lumley stwierdził wówczas: *Możemy sądzić, że piszemy fikcję literacką, a nawet nie wierzyć w to, co piszemy, lecz w gruncie rzeczy mówimy prawdę – wbrew samym sobie, służąc nieświadomie za posłańców Tsathogguy, Croma, Cthulhu i innych sympatycznych dostojników z zewnątrz.*⁶

Lovecraft otwarcie naśmiewał się z podobnych teorii: *Lumley jest wyjątkowym przeżytkiem mistycznego dzieciństwa dziejów ziemi – kombinacją bezcennej łatwowierności i wspaniałego Munchausenizmu... Jest on święcie przekonany, że wszyscy członkowie naszego gangu [...] są prawdziwymi agentami niewidzialnych Mocy wykorzystujących nas do rozpowszechniania idei, których zakres pojmowania jest zbyt mroczny i głęboki dla człowieka... W rzeczy samej – Bill twierdzi, że w pełni zidentyfikował mojego Cthulhu i Nyarlathotepa... a więc może on mi o nich powiedzieć więcej, niż ja sam wiem.*⁷

Mitologia literacka Lovecrafta, mimo absurdalnych okoliczności narodzin, zyskała rzesze autentycznie w nią wierzących i wyznawców. Do dziś można spotkać ludzi myślących podobnie jak W. Lumley. Jak to możliwe?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, potrzeba dokładniejszych badań nad strukturą tej mitologii, wartościami, które niesie i jej funkcjami adaptacyjnymi, na co – niestety – nie ma miejsca w tym artykule⁸. Niemniej mitologia H. P. Lovecrafta, choć oryginalna, jest wciąż ciekawym konglomeratem znanych mitów i ich twórczym przetworzeniem, co ułatwiło jej zaszczepienie się w naszej kulturze – bez tego nie miałyby większych szans powodzenia. Niektórzy bogowie, jak Hypnos, Dagon czy Nodens, przeniesieni zostali wprost z wcześniejszych wierzeń (co nie oznacza, że nie zostali zmodyfikowani). Znalezienie genezy innych, jak Yog-Sothoth, Nyarlthotep czy Cthulhu, wymaga bardziej wnikliwych badań.

Bluźnierczy Cthulhu jest z pewnością najbardziej intrygującym i najpopularniejszym bóstwem z całego panteonu, po raz pierwszy opisanym w opowiadaniu *Zew Cthulhu* powstałym w roku 1926. Choć jego sylwetka jest w pewien sposób antropoidalna, posiada głowę ośmiornicy z twarzą pełną macek, tułowiu gąbczastym i pokrytym łuskami, ogromnych szponach na przednich

Także w: Phil Hine, *Pseudonomicon*, wyd. Okultura, Warszawa 2006.

⁶ S. T. Joshi, *op. cit.*, s. 873.

⁷ *Lumley - an unique survival from the earth's mystical childhood - a combination of priceless credulity and gorgeous Munchausenism... He is firmly convinced that all our gang [...] are genuine agents of unseen Powers in distributing hints too dark and profound for human conception and comprehension. Indeed – Bill tells me that he has fully identified my Cthulhu and Nyarlathotep... so that he can tell me more about 'em than I know myself.*

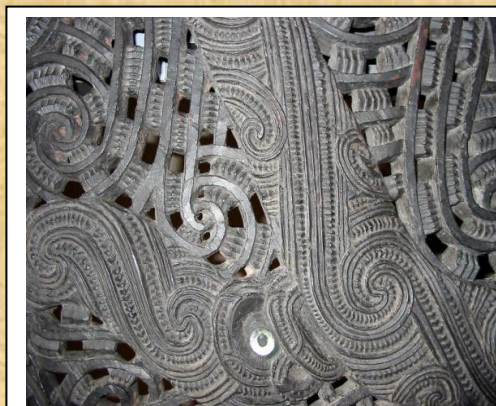
Daniel Harms, John Wisdom Gonce III, *Necronomicon Files: The Truth Behind Lovecraft's Legend*, wyd. Red Wheel/Weiser, Boston 2003, s. 99.

⁸ Temat ten szerzej poruszam w książce „Groza jest święta”.

i tylnych łapach i długich, wąskich skrzydłach z tyłu.⁹ Przybył z gwiazd w czasie, gdy ludzi jeszcze nie było na Ziemi i wraz ze swoim potomstwem opanował pewien ląd pośród bezmiarów Pacyfiku, zakładając na nim miasto R'lyeh. Prowadził wówczas wojnę z (również przybyłymi z kosmosu) Starszymi Istotami. Z bliżej nieznanego powodu jego ziemia uległa nagłemu zatopieniu, pogrążając w odmętach samego Cthulhu.¹⁰ Choć wydaje się martwy, tak naprawdę wciąż żyje i śni. Kiedy gwiazdy znajdą się w odpowiednim położeniu, Cthulhu znów wyjdzie z głębin, aby zapanować nad naszym światem. Już raz to zrobił w pierwszej połowie XX wieku, gdy R'lyeh na krótki okres czasu wynurzyło się, ale został chwilowo pokonany przez norweskiego kapitana Gustava Johansena.¹¹ Kiedy znów się pojawi, nastąpi kres obecnej cywilizacji i kres ludzkości, choć jego wyznawcy twierdzą, że *czas ten [ich ponownego panowania] łatwo będzie rozpoznać, ponieważ ludzie staną się podobni do Wielkich Starych Bogów; wolni i swobodni, poza zasięgiem dobra i zła, odrzucą wszelkie prawa i zasady moralne, będą krzyczeć, zabijać i pławić się w radości. Wyzwoleni Starzy Bogowie nauczą ludzi jak krzyczeć, jak zabijać, jak radować się i bawić, a cała ziemia rozgorzeje ofiarą całopalną ekstazy i wolności.*¹²

Cthulhu posiada wyznawców na całym świecie. Jego kult ma powstawać efemerycznie w różnych zakątkach globu, być starym jak ludzkość, a wiedza go dotycząca przekazywana jest w tajemnicy. Często wpływa na ludzi, przemawiając do nich w czasie ich snu. Wszyscy świadkowie rytuałów ku czci Cthulhu wspólnie przyznają, że są one okrutne i przerażające.

Z pewnością jedną z istotnych inspiracji dla Lovecrafta była istota zwana Krakenem, będąca wielkim ośmiornicopodobnym stworzeniem potrafiącym nawet zatapiać statki na morzu, o której z przerażeniem przez wiele wieków szeptali marynarze. Przez długi czas istnienie Krakena stawiano na równi z istnieniem jednorożców i smoków, wyśmiewano ludzi wierzących w niego, a samą jego postać zaliczano do ciekawostek kryptozoologicznych. Taki stan rzeczy trwał, dopóki nie odkryto i nie opisano gatunku kałamarnicy olbrzymiej, a następnie jeszcze większej kałamarnicy kolosalnej. Jako dziecko Howard uwielbiał recytować wiersz o tym niezwykłym, legendarnym stworzeniu.¹³ Kraken, choć budził przerażenie, był tylko niezwykłym zwierzęciem, daleko



Kanaloa

⁹ H. P. Lovecraft, *Zew Cthulhu* [w:] *Najlepsze Opowiadania. Tom II*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2008, s. 205.

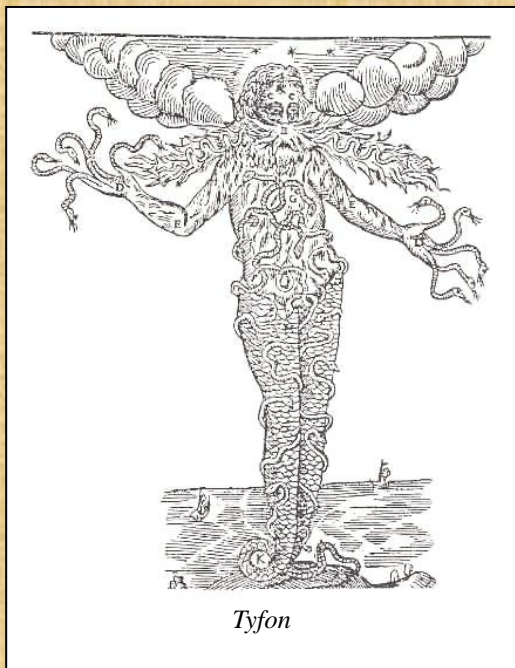
¹⁰ H. P. Lovecraft, *W górach Szaleństwa* [w:] *Najlepsze opowiadania. Tom I*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2008, s. 303-304.

¹¹ H. P. Lovecraft, *Zew Cthulhu* [w:] *Najlepsze Opowiadania. Tom II*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2008.

¹² *Ibidem*, s. 215.

¹³ Robert M. Price, *The Other Name of Azathoth* [w:] *The Cthulhu Cycle*, wyd. Chaosium, Oakland 1996.

było mu do postaci boskiej czy prawdziwie demonicznej. Postać Cthulhu to coś znacznie bardziej niepokojącego niż on.



Tyfon

Niektórzy poszukując genezy najslynniejszego z Wielkich Przedwiecznych, wskazują na hawajskiego boga Kanaloa. To jedna z nielicznych postaci sakralnych przedstawianych w postaci ośmiornicy. Ponadto włada on magią, ustanawia porządek gwiazd na niebie. Jego odpowiednik z panteonu mieszkańców Markizów, Tanaoa, był ponadto bogiem *pierwotnych ciemności*, który został zepchnięty do głębin oceanów, gdzie panuje *ciemność i cisza*.¹⁴

Postać powyższego boga, jeśli chodzi o atrybuty, oczywiście pokrywa się z Cthulhu w pewnych sferach, ale nie we wszystkich. Cthulhu to coś więcej niż ośmiornica, nie zamierza wiecznie żyć w głębinach i zagraża

ludzkości, czego nie można powiedzieć o Kanaloa. Lovecraft ponadto nie interesował się zbytmitologią ludów Pacyfiku...

... w przeciwieństwie do mitologii greckiej, rzymskiej, semickiej czy mezoamerykańskiej. W większości znanych mi mitologiach naturalnych pojawia się pewien szczególnie podobny element. Postać demona, boga (lub bogini) przyjmującego postać węża lub smoka, żyjącego w podziemiach lub w głębinach oceanu, który najczęściej uosabia chaos, zło i zagraża ludzkości. Występuje m.in. w mitologii greckiej (jako Tyfon), sumeryjskiej (jako Tiamat), anatolijskiej (jako Ilujanka), egipskiej (jako Apop), skandynawskiej (jako Jormungand), azteckiej (jako demon Cipactli, choć także pozytywny bóg Quetzalcoatl, czyli „Pierzasty Wąż”, posiada wiele jego cech¹⁵) czy (co najciekawsze i zapewne powiązane z mitologią Cthulhu) jako Lewiatan – smok z Apokalipsy św. Jana.

W większości tych mitologii wąż-smok uosabiający chaos musiał zostać pokonany, by świat mógł zacząć spokojnie istnieć.

¹⁴ Jan Knapert, *Mitologia Pacyfiku*, Dom wydawniczy REBIS, Poznań 2001, s. 197 i 433.

¹⁵ Ten bóg w powyższym kontekście jest szczególnie interesujący, ponieważ z niektórych azteckich mitów wynika, że brzydził się on ofiarami z ludzi, a wielokrotnie przypominał nawet chrześcijańskiego Chrystusa – stąd niektórzy badacze mitologii azteckiej twierdzą, że takowych mu nie składano. Skąd inąd jednak wiemy, że jednak to m.in. dla niego zabijano chłopca lub dziewczynkę w miesiącu *Hueytozoztli* i to m.in. dla niego topiono człowieka, któremu następnie wrywano serce, w miesiącu *Etzalcualiztli*.

Bardzo interesującym fragmentem opisującym Cthulhu jest moment jego chwilowego unieszkodliwienia. Został on przebity kadłubem statku rzez kapitana Johansena, w wyniku czego jego forma uległa chwilowemu rozproszeniu, a dopiero gdy statek był w odpowiedniej odległości, ponownie przybrał pierwotną postać. Czy takie chwilowe pokonanie Wielkiego Przedwiecznego nie wydaje się dziwne i zbyt proste? Dlaczego potężny Cthulhu miałby zostać pokonany w tak trywialny sposób?

Otóż jeśli porównamy Cthulhu do egipskiego wodnego, węzowatego demona chaosu Apopa, sprawa staje się jasna. Apop był cyklicznie pokonywany przez Seta (lub Horusa), przebijany statkiem dysku słonecznego lub włócznią kogoś z jego załogi. Johansen nieświadomie odtworzył właśnie ten rytuał i podobnie jak Horus unieszkodliwił akwaticznego boga chaosu.¹⁶



Thor walczący z Jormungandem w czasie Ragnaroku



Archanioł Michał walczący z siedmiogłowym smokiem – ilustracja sceny z Apokalipsy św. Jana

Według skandynawskiej *Eddy Poetyckiej*, gdy nastąpi zmierzch bogów, Ragnarok, będący jednocześnie końcem tego świata, wąż Jormungand (zwany też Midgardsormem) wyłoni się z oceanu i zacznie wypluwać z siebie jad, która pokryje ziemię i niebo. Nawet potężny bóg Thor, który w końcu zabije demona, umrze w wyniku działania jego trucizny.¹⁷ Nietrudno dostrzec tu podobieństwo do zagrażającego powstania Cthulhu.

Z kolei w Apokalipsie św. Jana znajdziemy takie oto fragmenty:

I inny znak ukazał się na niebie: Oto wielki Smok barwy ognia¹⁸ [...] I nastąpiła walka w niebie: Michał i jego aniołowie mieli walczyć ze Smokiem. I wystąpił do walki Smok i jego aniołowie, ale nie przemógł. I został

¹⁶ Gerhard J. Bellinger, *Leksykon mitologii. Mity Ludów i narodów świata*, wyd. Muza SA, Warszawa 2003, s. 32.

¹⁷ Pod redakcją Macieja Krzywdy-Pogorzelskiego, *Religia. Encyklopedia PWN. Wersja 1.0* [CD-ROM], wyd. PWN, Warszawa 2003.

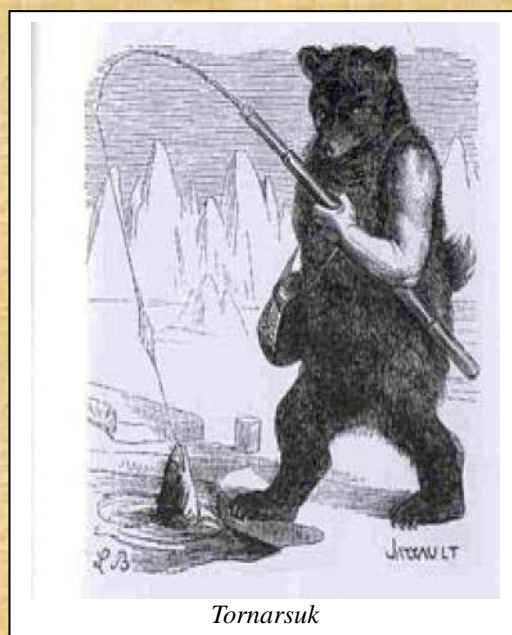
¹⁸ *Apokalipsa św. Jana 12, 3* [w:] *Pismo Święte Nowego Testamentu*, wyd. Pallottinum, Poznań 1997, s. 800.

strącony wielki Smok, Wąż Starodawny, który zwie się diabeł i szatan, zwodzący całą zamieszkałą ziemię, został strącony na ziemię, a z nim strąceni zostali jego aniołowie.¹⁹ [...] Biada ziemi i morzu – bo zstąpił do was diabeł, pałając wielkim gniewem, świadom, że mało ma czasu.²⁰

I ujrzałem Bestię wychodzącą z morza [...] ²¹. A smok dał jej swą moc, swój tron i wielką władzę. I ujrzałem jedną z jej głów jakby śmiertelnie zranioną, a rana jej śmiertelna została uleczona. A cała ziemia w podziwie powiodła wzrokiem za Bestią; i pokłon oddali Smokowi.²² [...] A dano jej usta mówiące wielkie rzeczy i bluźnierstwa.²³

Nietrudno dostrzec podobieństwo Cthulhu do Smoka i Bestii, zstępującego z gwiazd na ziemię wraz ze swoimi dziećmi, toczącego wojnę ze Starszymi Istotami, wyłaniającego się z morza, zagrażającego ludziom, zwodzącego ich, który mówi wielkie rzeczy i bluźni. Ponadto Cthulhu wydaje się martwy, ale wcale taki nie jest (jaki mówi słynny dwuwiersz: *Nie jest umarły ten, który spoczywa wiekami...*²⁴), podobnie jak jedna z głów Bestii, która wydawała się śmiertelnie zraniona, a okazuje się cudownie uleczona.

W tym momencie dochodzimy do kolejnego elementu zagadki tłumaczącej, jak powstał pomysł Cthulhu. Sam Lovecraft, opisujący jego kult wśród Eskimosów, nawiązuje do boga świata podziemnego, którym jest Tornarsuk (błędnie przez niego nazwany Tornasukiem²⁵). Na pierwszy rzut oka to bardzo dziwne nawiązanie, ponieważ Tornarsuk w żaden sposób nie przypomina Wielkiego Cthulhu – jest przedstawiany jako niedźwiedź, najczęściej z ludzką ręką. Sprawa staje się bardziej zrozumiała, kiedy odkryjemy, czym dla pisarza był eskimoski bóg. Jestem przekonany o tym, że Lovecraft czerpał informację o nim tylko z XIX-



Tornarsuk

wiecznego *Indeksu Piekielnego* autorstwa Jacquesa Auguste'a Simon'a Collin de Plancy (czyt. *Żaka Ougusta Simona Kolą de Plansi*), ponieważ powtarza słowo w słowo to, co autor tej osobliwej encyklopedii o inuickim bóstwie.²⁶ Lovecraft, podobnie jak Jacques Auguste, uważał go za diabła.

¹⁹ *Apokalipsa św. Jana* 12, 7-9 [w:] *Ibidem*, s. 801-802.

²⁰ *Apokalipsa św. Jana* 12, 12 [w:] *Ibidem*, s. 802.

²¹ *Apokalipsa św. Jana* 13,1 [w:] *Ibidem*, s. 803.

²² *Apokalipsa św. Jana* 13, 2-4 [w:] *Ibidem*, s. 803.

²³ *Apokalipsa św. Jana* 13,5 [w:] *Ibidem*, s. 804.

²⁴ H. P. Lovecraft, *Zew Cthulhu* [w:] Sandy Peterson i Lynn Willis, *Zew Cthulhu. Gra fabularna osadzona w światach H. P. Lovecrafta*, wyd. Mag, Warszawa 1998, s. 14.

²⁵ *Ibidem*, s. 12.

²⁶ Jacques Aguste Simon Collin de Palancy, *Dictionnaire Infernal*, Paris 1863, s. 94

Na samym początku opowiadania *Zew Cthulhu* Lovecraft sam daje podpowiedź, skąd czerpał swoje inspiracje, wskazując na książkę *Kult Wiedźm w Europie Zachodniej* autorstwa Miss Murray.²⁷ Autorka, jako etnolog, po wnikliwym przestudiowaniu źródeł z procesów czarownic, wysunęła teorię, że istniał w Europie tajemny kult wiedźm, w którym czczono przedaryjskich i przedchrześcijańskich bogów i boginie płodności, nazywanych przez nową religię diabłami, a co istotniejsze, którym składano także ludzkie ofiary.²⁸

Co ma wspólnego prymitywny sabat czarownic z kultem przybyłego z gwiazd Cthulhu?

Po pierwsze, czczą go najczęściej nie-Aryjczycy lub mieszańcy ras, co dla Lovecrafta, obstającego przy prymitywnej odmianie rasizmu, było już samo w sobie objawem degeneracji i pokrywało się poniekąd z teorią Murray.

Po drugie, Lovecraft bardzo pieczołowicie opisał rytuał ku czci Cthulhu. Przyjrzyjmy się uważniej niektórym jego fragmentom:

Tylko poezja albo obłąd mogły usprawiedliwić wrzaski, jakie docierały do Legrasse'a, kiedy brnęli przez czarne grzędzawisko w kierunku czerwonego blasku i przytłumionego bicia w bębny. Istnieją odgłosy właściwe ludziom i właściwe zwierzętom; straszne jednak są one wtedy, gdy słyszymy głosy ludzkie, a zdają się je wydawać dzikie bestie. Zwierzęca furia i wyuzdana orgia wzbijały się do demonicznych wyżyn, przecinane wyciem i skrzeczącym wrzaskiem najwyższej ekstazy, która rozdzierała i wibrowała w tym spowitym nocą lesie niczym złowroga burza dobywająca się z piekielnych głębi. [...] W naturalnej przesiece, jaką było bagnisko, widniała porośla trawą wyspa wielkości około akra, bez drzew i w miarę sucha. Na niej właśnie podskakiwała i wila się horda ludzkich potworów [...]. Naga gromada hybrydów ryczała, wyla i spazmatycznie wyginała się wokół ogromnego ognia w kształcie pierścienia; gdy rozchylała się zasłona dymu, ukazywał się stojący w samym środku ogniska wielki granitowy monolit, wysoki na jakieś osiem stóp; na jego wierzchołku spoczywała absurdalnie mała i dziwacznie wyrzeźbiona statuetka. Z szerokiego kręgu dziesięciu platform rozstawionych w regularnych odstępach wokół spowitego ogniem monolitu zwisały głową w dół ciała owych mieszkańców osady, którzy zniknęli. Pośrodku tego właśnie kręgu stojący kołem wierni skakali i ryczeli, przesuając się w prawo [a więc, co ważne, w stronę przeciwną niż ruch wskazówek zegara – dop. M. K.] w bezustannych bachanaliach pomiędzy kręgiem ciał i płonącym ogniskiem.²⁹

Porównajmy to z następującymi fragmentami z *Kultu Wiedźm w Europie Zachodniej* Miss Muray:

²⁷ H. P. Lovecraft, *Zew Cthulhu* [w:] Sandy Peterson i Lynn Willis, *op. cit.*, s. 9.

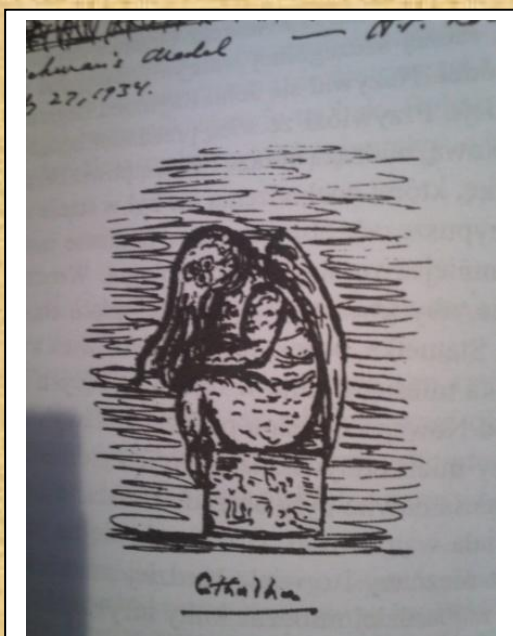
²⁸ Margaret Alice Murray, *The Witch-Cult in Western Europe* [na:] <http://www.sacred-texts.com/pag/wcwe/index.htm> z dn. 29. 08. 2011 r.

²⁹ H. P. Lovecraft, *Zew Cthulhu* [w:] Sandy Peterson i Lynn Willis, *op. cit.*, s. 13.

- [...] wraz ze swymi dwiema córkami i pewnymi innymi osobami, diabelskimi poplecznikami i całym owym gronem, tańczyły razem, wokół wielkiego głazu, pod przewodnictwem Szatana, ich mistrza, przez dłuższy okres czasu.³⁰

- Jonet Lucas została oskarżona o „tańczenie w kręgu tanecznym” podczas tego samego wydarzenia. Beatrice Robbie została „opisana jako notoryczna wiedźma, udająca się, pod przewodnictwem Diabła, jej mistrza, z pewnymi innymi osobami, owymi diabelskimi poplecznikami, do Craigleauche, aby tańczyć tam razem wokół wielkiego głazu przez dłuższy okres czasu i tam Diabeł, jej mistrz grał przed nią”.³¹

- Taniec ów jest dziwny i straszny, a także diaboliczny, polega on na obracaniu się plecami do siebie, braniu innej osoby do ręki i skakaniu wraz z innymi ponad ziemię, następnie potrząsaniu głowami do przodu i tyłu niczym Antychrysty, oraz kręceniu się, jakby owi tancerze byli szaleńcami.³²



Wizerunek Cthulhu narysowany przez Howarda Phillipa Lovecrafta

- Jako że tancerze byli zwrócenii twarzami do zewnętrznej strony kręgu, to znaczy, iż obracali się „przeciwnie do ruchu wskazówek zegara”, t.j. przeciwnie do ruchu słońca.³³

Również w opowiadaniu *Pradawna Magia* Algernona Blackwooda, pisarza uwielbianego przez Lovecrafta, a nawet cytowanego na samym początku *Zewu Cthulhu*³⁴, znajdziemy opis bliźniaczo podobnego sabatu czarownic. Co ciekawe, w opowiadaniu Blackwooda uczestnicy rytuału tańczą dookoła potwornej, monstrialnej postaci siedzącej na tronie, którą jest matka jednej z czarownic.³⁵

W tym miejscu dochodzimy do kwestii statuetek Cthulhu. Posiadać je mieli wyznawcy kultu wiedźm, Eskimosi, tajemniczo miały być powszechne na ziemi od najdawniejszych czasów. Czy historia zna jakieś dziwne statuetki, które ludzie w czasach prehistorycznych przetrzymywali, oddawali im cześć i które związane były z kultem płodności?

³⁰ Margaret Alice Murray, *Kult wiedźm w Europie Zachodniej* [na:] http://www.mrooczlandia.com/magia/publikacje/kult_wiedzm/index.php?wiedzmy=6_9 z dn. 29. 08. 2011 r.

³¹ *Ibidem*.

³² Margaret Alice Murray, *Kult wiedźm w Europie Zachodniej* [na:] http://www.mrooczlandia.com/magia/publikacje/kult_wiedzm/index.php?wiedzmy=6_12 z dn. 29. 08. 2011 r.

³³ *Ibidem*.

³⁴ H. P. Lovecraft, *Zew Cthulhu* [w:] Sandy Peterson i Lynn Willis, *op. cit.*, s. 8.

³⁵ Algernon Blackwood, *Pradawna Magia* [w:] Algernon Blackwood, *Wendigo i inne upiory*, wyd. C&T Toruń, Toruń 2006, s. 125.

Kiedy przyjrzymy się wizerunkowi Cthulhu, narysowanemu przez samego Howarda Phillipsa Lovecrafta³⁶, zauważymy, że jest on, na standardy ludzkie, otyły. Jeśli przyjrzymy się zaś postaciom Wenus neolitycznych, zauważymy znaczące podobieństwo szczególnie w tym aspekcie. Takie wizerunki Magna Mater, czyli *Wielkiej Matki*, bogini, której największą cześć oddawano prawdopodobnie w czasach prehistorycznych, znajdziemy zarówno wśród wykopalisk europejskich, jak i u Eskimosów (ichniejsze położne w trakcie odbierania porodu trzymają je w dłoniach³⁷) – dokładnie tak, jak statuetki Cthulhu w twórczości Lovecrafta. Zwróciłem już uwagę na to, że Algernon Blackwood, opisując sabat wcześniej niż Lovecraft, umieścił właśnie taką boginię w miejscu, w którym później Lovecraft ulokował statuetkę Cthulhu. To z pewnością nie jest przypadek.

Lovecraft oczywiście znał kult Magna Mater. Wyraźnie do niego nawiązuje w opowiadaniu *Szczury w Murach*, gdzie wspomina także opisywaną w *Złotej Gałęzi* autorstwa J.G. Frazera frygijską boginię Kybele.³⁸ Nie bez powodu na początku opowiadania *Zew Cthulhu* również wspomina dzieło Frazera³⁹. W kontekście Magna Mater i jej korelacji z Cthulhu bogini Kybele jest szczególnie ciekawa. Jej wierni tańczyli w orgiastycznym tańcu przed jej ołtarzem ściekającym krwią ofiar. Mężczyźni, którzy chcieli być jej kapłanami, odcinali sobie penisy, rzucając je na ołtarz. Często już po



rytualnym szale popadali w depresję, a ich tragiczny stan ducha (o czym pisał Frazer i o czym wspomniał Lovecraft w opowiadaniu *Szczury w murach*) opisał w smutnym poemacie rzymski pisarz... Katulus⁴⁰. Podobieństwo imion Cthulhu i Katulus nie wydaje się być przypadkowe. Podobnie z pewnością nie bez znaczenia jest to, że Cthulhu w okresie od 22 marca do 2 kwietnia zsyła chorobliwe sny, potrafiące odebrać nawet świadomość (poza tym, wg Lovecrafta, okres ten charakteryzuje się np. narastającym niepokojem w Indiach, orgiastyczną aktywnością kapłanów voodoo na Haiti, wyjątkową aktywnością kryminalną na Filipinach etc.)⁴¹, natomiast

³⁶ H. P. Lovecraft, *Zew Cthulhu* [w:] *Najlepsze Opowiadania. Tom II*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2008, s. 204.

³⁷ Andrzej Szyjewski, *Etnologia Religii*, Zakład Wydawniczy >>NOMOS<<, Kraków 2001, s. 216.

³⁸ H. P. Lovecraft, *Szczury w murach* [w:] *Najlepsze opowiadania. Tom I*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2008, s. 31, 48 i 61.

³⁹ H. P. Lovecraft, *Zew Cthulhu* [w:] Sandy Peterson i Lynn Willis, *op. cit.*, s. 9.

⁴⁰ J. G. Frazer, *Złota Gałąź*, wydawnictwo KR, Warszawa 2002, s. 278-283.

⁴¹ H. P. Lovecraft, *Zew Cthulhu* [w:] Sandy Peterson i Lynn Willis, *op. cit.*, s. 9.

dość krwawe rytuały ku czci Attisa, kochanka Kybele, trwały w Starożytnym Rzymie od 22 do 27 marca⁴².

Związek Cthulhu z Magna Mater i jej neolitycznymi wizerunkami zauważył także inny pisarz horrorów, który nieznacznie rozwinął jego mitologię, Graham Masterton. W powieści *Drapieżcy lovecraftowscy Wielcy Przedwieczni* (a przynajmniej dwaj z nich – Cthulhu i Yog-Sothoth) zostają ponownie urodzeni przez kobietę (wyglądającą dosłownie jak wymienione wcześniej prehistoryczne statuetki), która także tutaj jest *Wielką Matką*. Masterton pisze: *Na stosie szmat, poplamionych materaców i porozdzieranych poduszek leżała potwornie spuchnięta, naga kobieta. Jej brzuch wyjął się do olbrzymich rozmiarów; a co jeszcze bardziej przerażające, skóra na nim bez przerwy poruszała się i zmieniała kształt, tak jakby jej łono skrywało jakąś dużą, szukającą dróg ucieczki istotę. Olbrzymie były również piersi – z pewnością nie zdołałbym unieść nawet jednej z nich na mojej tacce. A szyja nabrzmiała do tego stopnia, że malutka twarz przypominała maskę marionetki.*⁴³

Jak widzimy, Lovecraft stworzył postać Cthulhu, czerpiąc obficie z demonologii i informacji o kultach i bogach, które uznawał za groźne, bluźniercze (wielokrotnie używa tego słowa w swojej prozie... pomimo nazywania siebie ateistą) i obce. Źródła, na które wskazuje, świadczą o tym, że przynajmniej częściowo był on świadomy elementów składowych, na bazie których wykreował Wielkiego Cthulhu. Dzięki tak dalece idącej modyfikacji demonów i bogów z mitologii naturalnych mógł dostosować swoją własną mitologię do obecnego świata i ówczesnego stanu wiedzy ludzkości, tak by stanowiły raczej jej uzupełnienie, a nie zaprzeczenie. Obserwując, jak wielką karierę zrobił jego panteon, ilu ludzi korzysta z niego we własnej twórczości, ilu w niego realnie uwierzyło, można śmiało powiedzieć, że na tym polu odniósł sukces.

Mikołaj Kołyszko

⁴² J.G. Frazer, *op. cit.*, s. 279-282.

⁴³ Graham Masterton, *Drapieżcy*, wyd. Świat Książki, Warszawa 1994, s. 297.

Bibliografia:

1. *Pismo Święte Nowego Testamentu*, wyd. Pallottinum, Poznań 1997.
2. Gerhard J. Bellinger, *Leksykon mitologii. Mity Ludów i narodów świata*, wyd. Muza SA, Warszawa 2003.
3. Algernon Blackwood, *Wendigo i inne upiory*, wyd. C&T Toruń, Toruń 2006.
4. Peter J. Carroll, *Psychonauta, czyli Magia Chaosu w teorii i praktyce*, wyd. Okultura, Warszawa 2006.
5. Robert Andrzej Dul, MaDar SC (Katarzyna Liwak-Rybak), *Mitologie Świata. Ludy Oceanii*, wyd. New Media Concept sp. z o.o, Warszawa 2007.
6. Maria Frankowska, *Mitologia Azteków*, Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1987.
7. J. G. Frazer, *Złota Galąz*, wydawnictwo KR, Warszawa 2002.
8. Daniel Harms, John Wisdom Gonce III, *Necronomicon Files: The Truth Behind Lovecraft's Legend*, wyd. Red Wheel/Weiser, Boston 2003.
9. El Hazzared, *Necronomicon czyli Księga umarłego Prawa*, Wydawnictwo FOX, Wrocław 2000.
10. Phil Hine, *Pseudonomicon*, wyd. Okultura, Warszawa 2006.
11. Michel Houellebecq, *H. P. Lovecraft. Przeciw światu, przeciw życiu*, Wydawnictwa W.A.B., 2007.
12. S. T. Joshi, *H.P. Lovecraft. Biografia*, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2010.
13. Jan Knapert, *Mitologia Pacyfiku*, Dom wydawniczy REBIS, Poznań 2001.
14. Pod redakcją Macieja Krzywdy-Pogorzelskiego, *Religia. Encyklopedia PWN. Wersja 1.0 [CD-ROM]*, wyd. PWN, Warszawa 2003.
15. H. P. Lovecraft, *Coś na progu*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 1999.
16. H. P. Lovecraft, *Essays and Letters of H. P. Lovecraft*, wyd. Dodo Press, Milton Keynes 2010.
17. H. P. Lovecraft, *Nadnaturalny horror w literaturze*, wyd. Scutum, Warszawa 200.
18. H. P. Lovecraft, *Najlepsze opowiadania. Tom I*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2008.
19. H. P. Lovecraft, *Najlepsze opowiadania. Tom II*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2008.
20. H. P. Lovecraft, *Opowieści o makabrze i koszmarze*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2007.
21. H. P. Lovecraft, *Sny o terrorze i śmierci*, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Poznań 2008, s. 8-9.
22. Graham Masterson, *Drapieżcy*, wyd. Świat Książki, Warszawa 1994.
23. Margaret Alice Murray, *Kult wiedźm w Europie Zachodniej* [na:] http://www.mrooclandia.com/magia/publikacje/kult_wiedzm/
24. Margaret Alice Murray, *The Witch-Cult in Western Europe* [na:] <http://www.sacred-texts.com/pag/wcwe/index.htm> z dn. 29. 08. 2011 r.
25. Sandy Peterson i Lynn Willis, *Zew Cthulhu. Gra fabularna osadzona w światach H. P. Lovecrafta*, wyd. Mag, Warszawa 1998.
26. Michał Pietrzykowski, *Mitologia starożytnej Grecji*, Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1983.
27. Maciej Popko, *Mitologia hetyckiej Anatolii*, Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1980.
28. Robert M. Price, *The Cthulhu Cycle*, wyd. Chaosium, Oakland 1996.
29. Jacques Aguste Simon Collin de Palancy, *Dictionnaire Ifernal*, Paris 1863.
30. Andrzej Szyjewski, *Etymologia Religii*, Zakład Wydawniczy >>NOMOS<<, Kraków 2001.

Źródła Ilustracji:

- <http://en.wikipedia.org/wiki/File:CarvingWakaTaua.jpg> z dn. 29. 08 .2011 r.
- http://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Plik:Typhon_from_Kirschner.jpg&filetimestamp=20050908181935 z dn. 29. 08 .2011 r.
- http://en.wikipedia.org/wiki/File:Johann_Heinrich_F%C3%BCssli_011.jpg z dn. 29. 08 .2011 r.
- http://pl.wikipedia.org/w/index.php?title=Plik:Saint_Michel_combattant_le_dragon.jpg&filetimestamp=20050702144128 z dn. 29. 08 .2011 r.
- Jacques Aguste Simon Collin de Palancy, *Dictionnaire Ifernal*, Paris 1863, s. 61.
- H. P. Lovecraft, *Najlepsze Opowiadania. Tom II*, wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2008, s. 204.
- Andrzej Szyjewski, *Etymologia Religii*, Zakład Wydawniczy >>NOMOS<<, Kraków 2001, s. 217.
- Andrzej Szyjewski, *Etymologia Religii*, Zakład Wydawniczy >>NOMOS<<, Kraków 2001, s. 407.

HORRORNA ROZTOCZU.PL

Horror na Roztoczu Insomnia



BESTIARIUSZ POTWORNIE FANTASTYCZNY

KOSTNICA PRZEJMUJĄCĄ SIĘCIĄ

Lastinn.info SPOŁECZNOŚĆ RPG

Skafander Gazeta Akademicka

LubieHrubie.pl

LUBELSKI kurier

SZORTAL UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SIĘCIACH

WWW.EZAMOSC.PL REGIONALNY PORTAL INFORMACYJNY

KulturaInfo.pl wszystko GRA www.wszystkogra.org

HISTERIA Wpadłeś w nią i TY

roztocze.net ZAMOJSKI DZIENNIK INTERNETOWY

nie gęsi i swoich autorów mają

BRAMVOROZY.PL

Autorzy365

ZAMOŚCIA.pl życie

TVP LUBLIN

OKIEM Na HORROR www.facebook.com/okiem.na.horror

EXPRESS - MIEJSKI.PL

naszemiasto

Szufladopółka blog Zaczynajmy Gwarzyć

tpi tomaszowski.com.pl

zwierzyniec24.pl

ZWK ZACZYTANY W KSIĄŻKACH

urani.pl portal społecznościowy

www.ARENA

Gazeta zamojska NIEZALEŻNY TYGODNIK POWIATU ZAMOJSKIEGO

PARTNERZY



STRASZNE-HISTORIE.PL

ODWAŻYSZ SIĘ?!





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

